W NUMERZE:

Cena wody

Dotychczas w ciągu roku wodociąg otrzymywały dwie wsie. Gdyby utrzymano te tempo, budowa wodociągów w województwie miejskim trwałaby do... XXIII wieku...

(Ryszard Binkowski)

Edukacja intymna

... „Za późno dowiedziałem się, że miłość nie polega na braniu, ale również na dawaniu" — wyznaje np. jeden z młodych uczestników ankiety na temat życiowych potknięć i błędów.

(Jerzy Witczak)

To, co jest

Nie sposób opędzić się od dręczącego przekonania, że to, co jest siłą tych filmów, staje się zarodkiem ich słabości. Demonstracja „tego co jest", fascynuje odkryciem... oczywistości.

(Tadeusz Szczepański)

POZA TYM:

CZY AJENT MUSI KRAŚĆ.

Eugeniusza Iwanickiego

NA DYSTANS.

Zbigniewa Wojciechowskiego

RECENZJE, FELIETONY.

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 39 (1138) ROK XXII 30 WRZEŚNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

Foto: Archiwum

W tym roku akademickim łódzkie wyższe uczelnie wkraczają w 35 rok swego istnienia. Dziś są one już trwałym elementem krajobrazu zemysłowej Łodzi i odgrywają ogromną rolę w jej rozwoju społeczno-gospodarczym. Łódzkie środowisko akademickie i naukowe z roku na rok wzbogaca swym dorobkiem potencjał intelektualny i kulturalny miasta i regionu. Osiągnięcia naszych naukowców w wielu dyscyplinach są szeroko znane i wysoko cenione nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Miarą oceny ich pracy było otwarcie w Łodzi Oddziału Polskiej Akademii Nauk.

NAUKA–MIASTU

Rozmowa z sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR — tow. JERZYM GRABOWSKIM

— Towarzyszu Sekretarzu, w środowiskach akademickich w kraju, w tym również w łódzkim, już od pewnego czasu odbywa się szeroka dyskusja nad nakreśleniem modelu przyszłego szkolnictwa wyższego, odpowiadającego z jednej strony założeniom edukacji narodowej a z drugiej — potrzebom rozwijającego się społeczeństwa socjalistycznego. Czy można już mówić o pewnych wnioskach wypływających z tej dyskusji?

— Dyskusja nad perspektywicznym modelem szkoły wyższej ma na celu wypracowanie koncepcji funkcjonowania uczelni do roku 2000. Jest to temat nader ważny dla całego środowiska pracowników nauki, także w naszym mieście, jako że dotyczy możliwości dokonywania zmiany profilów i rozmiarów kształcenia, metod kierowania i zarządzania szkołami wyższymi, wzrostu znaczenia samorządności uczelni. To tylko wybrane problemy podnoszone w trakcie dyskusji, ale na jej podsumowanie jest jeszcze za wcześnie. Niemniej można stwierdzić, iż konieczność zajęcia stanowiska wobec przytoczonych zagadnień spowodowała w środowisku akademickim znaczne ożywienie, wymianę poglądów, polemiki, co w sumie przyczynia się do lepszego, bardziej precyzyjnego określenia miejsca szkolnictwa wyższego w życiu kraju.

— W jakim kierunku pójdzie to unowocześnianie modelu strukturalno-programowego w Politechnice Łódzkiej, Uniwersytecie Łódzkim i w innych łódzkich uczelniach akademickich?

— W tej chwili można powiedzieć, że zmiany modelowe pójdą w kierunku poszerzenia wiedzy studentów o nowych odkryciach naukowych, preferencji dla samodzielnego myślenia, własnych poszukiwań i pracy naukowej. Będzie konieczne rozwijanie kształcenia kadr naukowych oraz kadr ze specjalizacjami zawodowymi, modernizacji studiów dla pracujących. Ponadto zostaną poszerzone funkcje pozadydaktyczne uczelni, a więc nastąpi dalszy rozwój badań naukowych. Aby uczelnie mogły te zadania w pełni wykonać, zwiększą się kompetencje rektorów i kolegialnych organów szkoły wyższej.

— Jak Towarzysz Sekretarz ocenia stopień rozwoju badań podstawowych w PŁ i UŁ oraz efektywność innych badań naukowych z punktu widzenia potrzeb społeczno-gospodarczego rozwoju miasta, regionu i kraju?

— Nie wdając się w szczegółowe oceny, uważam, iż prawidłowy rozwój nauki wymaga harmonijnego rozwoju badań podstawowych i aplikacyjnych. Jednakże aktualne potrzeby kraju wymagały w ostatnich latach szybkiego rozwoju badań stosowanych, których efekty byłyby jak najszybciej przydatne gospodarce narodowej. Z tego zadania łódzkie uczelnie wywiązują się należycie — 60 procent ich potencjału badawczego przeznaczono na tematy centralnie sterowane. Wyniki tych badań są znaczne w kraju, wysoko cenione i dają dobre świadectwo pracy łódzkich uczonych.

Pragnę podkreślić, że nie oznacza to zaniedbania badań podstawowych, które decydują o poziomie i randze naukowej naszych uczelni, a jestem przekonany, iż zarówno Uniwersytet

Dalszy ciąg na str. 3

TADEUSZ GICGIER

RODZINA Z LILIJKĄ W HERBIE

Będąc w Piotrkowie Trybunalskim, otrzymałem do wglądu w Zarządzie Wojewódzkim ZBoWiD-u dokument następujący:

„Ja, jako uczestnik Szarych Szeregów — od grudnia 1939 r. do 17 stycznia 1945 r. oświadczam, że ob. Ireneusz Sierko, syn Jana, urodzony 12 stycznia 1914 r. w Kamieńsku jest mi znany osobiście jako uczestnik Szarych Szeregów Roju „Metal" Ośrodka „Ogórki". Z wymienionym utrzymywałem ścisły kontakt pełniąc funkcję w Szarych Szeregach jako Komendant Roju „Metal", a on w tym czasie pełnił funkcję Komendanta Ośrodka „Ogórki" — Kamieńsk. Rozkazem Szarych Szeregów Ul „Warta" Nr 5 z dnia 11.I.1945 r. „Renowi" przyznano stopień harcmistrza Rzeczpospolitej".

Oświadczenie podpisał **Witold Stasiewicz** pseud. „Żelko" mieszkający w Radomsku.

Ziemia Radomszczańska znana jest z uczestnictwa w walce z okupantem, istnieje na ten temat wiele publikacji. W pamięci ludzi zapisał się oddział partyzancki GL im. gen. Bema, ale i liczne oddziały partyzanckie AK i jednostki BCh. Zresztą prawie całe społeczeństwo tego regionu brało udział w walce z najeźdźcą hitlerowskim. W uznaniu dla tych czynów, Rada Państwa nadała w lipcu 1969 r. Powiatowi Radomszczańskiemu Order Krzyża Grunwaldu II Klasy.

Ale tutejsza młodzież harcerska — Szare Szeregi? Ten rozdział walki jest mało znany, a z pewnością również godny upamiętnienia. Postanowiłem więc odszukać „Rena" czyli **Ireneusza Sierko.**

* * *

Pojechałem do Kamieńska i zakwaterowałem się w miejscowym hoteliku. Chciałem zasięgnąć języka co do osoby pana Ireneusza. Okazało się, że, owszem, znają go w Kamieńsku, ale to jest Stary Kamieńsk, a pan Ireneusz mieszka w Nowym Kamieńsku. Tyle, że to nie jest już Nowy Kamieńsk, ale Gomunice. Lubimy zmieniać nazwy, choć nie zawsze wiadomo, dlaczego?

Duży, przysadzisty, drewniany dom przy ul. 1 Maja, ogrodzony od ulicy drucianą siatką. Za domem kilka grządek, uprawianych prawdopodobnie przez lokatorów. Warzywa, sporo kwiatów. Po prawej stronie placyku rząd komórek.

Pana Ireneusza zastaję w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Jest również jego żona, Irena, i syn, Włodzimierz. I tu przyjemne zaskoczenie: pani Irena, konspiracyjna „Ewa", to osoba, z którą spotykałem się wielokrotnie przy okazji różnych terenowych imprez kulturalnych. I ona, i jej syn byli wówczas organizatorami tych imprez. Zapamiętałem zwłaszcza bardzo udaną inaugurację Dni Oświaty, Książki i Prasy, jaka odbyła się swego czasu w Klubie Zakładowym w sąsiednim Wojciechowie.

Rzecz jasna, że ta znajomość ułatwia mi rozmowę.

— Może pani powie mi na wstępie — mówię do pani Ireny — jak doszło do poznania z przyszłym mężem, w jakim to było czasie, w jakich okolicznościach?

— Takim miejscem, gdzie spotykaliśmy się — wspomina pani Irena — **była drużyna harcerska w Kamieńsku, którą prowadził dr Kotarbiński. Renek był przybocznym, a ja wodzem zuchów, jak to**

Dalszy ciąg na str. 4

JUBILATKA CZYLI KONIEC SAMOTNOŚCI

Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi, placówka zasłużona dla polskiej i nie tylko polskiej kultury, obchodzi swoje trzydziestolecie. Jej powstanie w Polsce Ludowej było ukoronowaniem wysiłku samotników, takich choćby jak jeden z najwybitniejszych twórców filmu biologicznego Karol Marczak, którzy przez cały okres istnienia II Rzeczypospolitej, borykając się z trudnościami finansowymi i technicznymi z uporem chcieli wprząc celuloidową taśmę w proces narodowej edukacji. Ich marzenia, samozaparcie, entuzjazm dla tej wielkiej sprawy miały przynieść plon dopiero w warunkach nowej rzeczywistości społecznej. Nie sądźmy zresztą, że dokonało się to automatycznie. A jednak w trudnych warunkach powojennej odbudowy ludowe państwo przejęło mecenat nad dotychczasowymi poszukiwaniami entuzjastów filmu oświatowego zapewniając im twórczy rozwój, możliwości produkcyjne, zaplecze badawcze.

Formuła film oświatowy to pojęcie bardzo szerokie. Mieszczą się w nim i obrazy pomocne w procesie nauczania bezpośrednio sprzężone z programami szkolnymi, i filmy popularyzujące różne dziedziny wiedzy, nauki, sztuki, i filmy artystyczne przepojone szlachetną pasją edukacyjną, i surowe rejestracje typu instruktażowego Nie wyczerpuje to bynajmniej zagadnienia, jak tego dowiedli najwybitniejsi z twórców filmu, filmu oświatowego odważnie rozszerzając obszar swojej penetracji i przekraczając wyznaczane im, przez definicję, zadania Ale wszystkie te próby podporządkowane zostały naczelnemu celowi, jakim jest kształcenie współczesnego Polaka, dostarczanie mu całego pakietu przemyśleń własnych i materiału do refleksji nad granicami ludzkiego poznania, nad kształtem świata i ojczyzny, nad sobą samym

Trzydziestolecie to okrągła, gładka rocznica, a przecież rozwój filmu oświatowego nie nastąpił wcale gładko i bez wstrząsów, chociaż byliśmy często, od samego właściwie początku, wzorem dla innych Świadczą o tym liczne, międzynarodowe laury, będące nie tylko wyrazem uznania dla poszukiwań polskich twórców, ale często jedynym źródłem informacji o ich kraju, o humanistycznym modelu kultury jaki proponowali na festiwalowych salach, o dokonaniach polskiej sztuki i nauki.

Już w roku 1946 zrealizowany pod mecenatem Instytutu Filmowego w Łodzi, który stanowił zaczątek przyszłej Wytwórni Filmów Oświatowych powołanej formalnie do istnienia 29 grudnia 1949 r., film Jarosława Dąbrowskiego „Wieliczka" odniósł wielki sukces w Cannes zdobywając Grand Prix. Otwiera ten tytuł długą listę filmów nagrodzonych na internacjonalnych konkursach i popularyzowanych w całym świecie. Tylko w latach 1957—60, prawda, że owocnych w dokonania i pomysły, filmy WFO zdobyły pięćdziesiąt pięć liczących się międzynarodowych nagród. Znane były dobrze w salach festiwalowych Moskwy, Cannes, San Sebastian, Oberhausen, Mar del Platta, Krakowa.

Te i wcześniejsze sukcesy, rozbudziły zainteresowanie społeczeństwa tą nie zawsze dostatecznie docenianą produkcją, którą nie zawsze potrafimy zdyskontować i popularyzować. Są to dziesiątki tysięcy metrów taśmy filmowej, ale jest to przede wszystkim talent i pasja twórców takich choćby jak nieżyjący już Włodzimierz Puchalski, który z kamerą w ręku wyprawiał się na długie miesiące na bezkrwawe łowy podpatrując świat przyrody, takich choćby jak Aleksandra Jaskólska, która także święciła największe triumfy w dziedzinie filmu przyrodniczego, chociaż chętnie sięgała po tematy z innych dziedzin. Był czas, że film oświatowy stanowił jedyną wizytówkę, jedyny w świecie ślad istnienia polskiej kinematografii wysforowując się daleko przed niedoskonałe próby fabularne, które nie potrafiły przekroczyć granicy jednego kontynentu. I dziś jego rola jest nie mniejsza, choć nie musi już samotnie dźwigać obowiązków reprezentowania polskiej kultury.

Atakując odległe problemy kosmosu film oświatowy zawsze mocno stąpał po ziemi nie rezygnując z zapisu otaczającej nas rzeczywistości, włączał do swoich poszukiwań współczesną tematykę społeczną, polityczną i gospodarczą obrazującą przemiany w naszym kraju i świecie, od którego nigdy się nie odgradzał.

Kiedy się patrzy na długą listę realizatorów, którzy nie wiążąc się na zawsze z jubilatką, tu przecież stawiali swoje pierwsze kroki, tu nakręcili pierwsze, profesjonalne metry taśmy uderza od razu, że nie brakuje na niej w zasadzie ani jednego liczącego się dziś w naszej kinematografii nazwiska twórców filmów fabularnych Wytwórnia Filmów Oświatowych otwierała zawsze swe podwoje dla twórców młodych, absolwentów szkoły filmowej, z którą łączą ją żywe kontakty, ale w latach ostatnich przyciąganie najzdolniejszych absolwentów i umożliwianie im profesjonalnego debiutu uczyniła kamieniem węgielnym swej polityki. Ten proces zachęcania przyniósł doskonałe rezultaty jak tego dowodzą kolejne laury na najbardziej liczącym się festiwalu krajowym w Krakowie, który od lat już stanowi pole konfrontacji najważniejszych dokonań w dziedzinie krótkiego metrażu Łódzka wytwórnia nie jest tam bynajmniej biednym Kopciuszkiem tęsknym okiem spoglądającym na królewicza, który odmieni jej los na lepsze. Dokonania łódzkiego filmu oświatowego, nieustanne próby odnowienia i uatrakcyjnienia gatunku, zaangażowanie i dociekliwość twórców, a także ciężar gatunkowy przedstawianych problemów i spraw mówią niedwuznacznie, że jubilatka nie tylko okrzepła przez tych trzydzieści lat, ale także ma niespożyte siły To dobrze, że swoje umysły i talenty poświęciła szlachetnej edukacji, że spełnia swoje zadania odpowiedzialnie i z pasją. Życzę twórcom filmu oświatowego, aby nie zasypiali gruszek w popiele, aby ich poszukiwania były obecne w sercach ludzi, a laury sypały się na nich jak manna. Nie z nieba, ale z rzetelnego wysiłku.

JERZY DARNAL

NIEDZIELA DLA NAS

Foto: R. Łucyszyn

Jak Polska długa i szeroka, a także tam wszędzie, gdzie Polacy pracują na zagranicznych budowach, w niedzielę, 23 września 1979 roku pracowaliśmy w czynie partyjnym. Dzięki naszej pracy powstały nowe parki, tereny rekreacyjne, boiska, drogi, uporządkowano place budów, a także dano znaczne ilości nowej produkcji.

W Łodzi „Stomil" dał dodatkowo 10 tys. par obuwia gumowego, Spółdzielnia im M. Buczka — 11 kompletów mebli, ZTJ „Brokat" — 15 tys metrów tkanin jedwabnych, „Zenit" — 30 tys. par skarpet. I tak można byłoby mnożyć przykłady nie tylko z Łodzi. Bo tak pracowano w Piotrkowie Trybunalskim, Skierniewicach, Sieradzu, Radomsku. Tomaszowie Mazowieckim i w wielu innych miastach Tak pracowano też na wsi, gdzie porządkowano drogi, budowano stadiony, wykańczano przedszkola czy domy ludowe.

Pracownicy przemysłu spożywczego dali wiele ton poszukiwanych mrożonek i konserw. Pracownicy budownictwa wykonali konstrukcje pod nowe domy, co przyśpieszy ich oddanie do użytku Stoczniowcy pracując w czynie partyjnym przyśpieszyli budowę statków. W pracach dla nas nie zabrakło też łódzkich dziennikarzy, którzy pracowali przy porządkowaniu terenów wokół rozbudowywanego ŁDK.

W czynie partyjnym pracowali też żołnierze Ludowego Wojska Polskiego.

Pracowaliśmy wszyscy, komu tylko zdrowie i siły pozwoliły, kto chciał pracą potwierdzić swój udział w realizacji stojących przed nami zadań, swoją współodpowiedzialność za kraj. Pracowaliśmy wszyscy i każdy z nas ma kolejny kawałek miasta, wsi, jakiejś drogi, budynku, o którym może powiedzieć: — to moja robota! I to się liczy.

(lw)

„TEATR MÓJ WIDZĘ PRZEKORNY"

Za życia wywoływał tyleż podziwu co kontrowersji, by po śmierci stać się od razu klasykiem. Za życia zaznał rozkoszy sławy i goryczy upokorzeń Dziś nie sposób widzieć teatr bez sztuk **JERZEGO SZANIAWSKIEGO.** Przed ostatnią wojną rozentuzjazmowana Warszawa nazywała go „Czarującym Sfinksem", powojenna krytyka nadała mu przydomek „Jerzego Milczącego". Jeśli mówił to w sobie, nie do siebie Słuchał. Słuchanie to także rodzaj rozmowy. Jeśli się otwierał to jedynie w listach do przyjaciół. Prosił o cukier, tytoń, atrament, papier, mąkę.. W tych krótkich epistołach stawał się bezbronny, czasem bezradny.

W latach pięćdziesiątych został posądzony jako hołdujący irracjonalnej ideologii. Ktoś wówczas bardzo wielki, a przecież bardzo mały, usiłował odsunąć Szaniawskiego od teatru. To tak jakby odsunąć Europę od Azji czy Ziemię od Słońca. Ówczesnym specom od kultury wydawało się, że skoro Szaniawskiego się przemilczy, to tym samym się go wykreśli z kultury Ale teatr był w nim, jak on jest dziś w teatrze.

Kiedy umarł nie znalazł się nikt, kto zadbałby o rękopisy zgromadzone w Zegrzynku. Dopiero ogień trawiący dworek pisarza stał się alarmem i i jak większość alarmów — spóźnionym.

Pięć lat temu kraj obiegła sensacja: w Zduńskiej Woli są rękopisy Jerzego Szaniawskiego! Pierwsi zjawiają się naukowcy co dla rękopisów ma kapitalne znaczenie. Bogactwo tego co zastają przechodzi wszelkie oczekiwania. Są to bowiem zbiory największe w kraju. Niektórzy od razu zaczynają się zastanawiać jaki może mieć związek Zegrzynek ze Zduńską Wolą, miastem choć pięknym, lecz nie na tyle teatralnym by Szaniawski lokował w nim swoje archiwum.

Sprawa okazała się prozaiczna i czysto ludzka. Jerzy Szaniawski darzył gorącą i szczerą przyjaźnią **LEONA PIETRZYKOWSKIEGO,** wykładowcę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, a pochodzącego ze Zduńskiej Woli. Sam Pietrzykowski zmarł tragicznie przed dwudziestu siedmiu laty, lecz pozostałe po nim papiery znalazły się w posiadaniu jego rodzeństwa, siostry Ireny i brata Tadeusza do dziś mieszkających w Zduńskiej Woli. Wśród tych papierów są cenne rękopisy znanych sztuk Szaniawskiego, jego listy i listy do niego a także fragment nie znanej sztuki pt. **„Profesor Tutka znał rodzinę dowcipnych".** Są tu także teksty miniatur o Profesorze Tutce, które dość mocno odbiegają od tego co drukował „Przekrój" i co zostało wydane w formie książkowej, bowiem ówcześni redaktorzy dość beztrosko poczynali sobie z tekstami autora „Zeglarza". (Warto wspomnieć, że jest przygotowywane pełne, poprawione wydanie „Profesora Tutki").

Tak więc są tu rękopisy **„Dwóch teatrów", „Fortepianu"** (wersja mocno zmieniona), **„Kowala, pieniędzy i gwiazd", „Chłopca latającego",** rękopisy części esejów z książki **„W pobliżu teatru"**, fragment pracy o Juliuszu Osterwie, rękopisy słuchowisk radiowych **„Służbista", „W lesie"**, maszynopisy i egzemplarze suflerskie **„Murzyna", „Ewy", „Mostu"**, brulion listu do Aleksandra Zelwerowicza, wiele sztuk z poprawkami i uwagami zarówno Szaniawskiego jak i Pietrzykowskiego, wiele listów Szaniawskiego do Leona Pietrzykowskiego, które są bogatym przyczynkiem nie tylko do dziejów przyjaźni tych ludzi lecz posiadają spore znaczenie dla historyków literatury, wiele fotografii pisarza wykonanych przez Pietrzykowskiego Tomasza Prażmowskiego Wiesława Stradomskiego. Osobny dział stanowią listy pisane przez wybitnych ludzi sceny i literatury: **Arnolda Szyfmana, Wojciecha Brydzińskiego, Adama Grzymałe-Siedleckiego, Wilama Horzycę,** przez wielkiego aktora francuskiego **Louisa Jouveta** (chodziło o wystawienie **„Dwóch teatrów"** we Francji), druki ulotne, zaproszenia teatralne oraz wzruszający list-elegia przesłany przez Szaniawskiego do rodziców Leona Pietrzykowskiego po jego tragicznej śmierci.

Pierwsza wystawa spuścizny po wielkim pisarzu odbyła się w Zduńskiej Woli, w tamtejszej Bibliotece Publicznej w marcu 1975 r., w piątą rocznicę śmierci Jerzego Szaniawskiego. W dwa lata później Irena i Wojciech Pietrzykowscy przekazują archiwum brata Leona Pietrzykowskiego Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zduńskiej Woli.

Tu chciałbym wspomnieć o ludziach, którzy przyczynili się do odnalezienia zbiorów archiwalnych i spowodowali, że stały się one przedmiotem badań naukowców Bodaj pierwszym był **Stanisław Fuks** prowadzący w Polskim Radiu informację filmową, a także córka nieżyjącego prof. Jana Zygmunta Jakubowskiego **Jadwiga Jakubowska**, która nie tylko prowadzi badania nad odnalezionymi dokumentami, lecz pisze na ten temat pracę doktorską. O zbiorach Pietrzykowskiego pisał także **Feliks Rajczak**, patronujący wszystkim przedsięwzięciom kulturalnym na terenie Zduńskiej Woli.

Zgodnie z życzeniem autora „Mostu" by zbiory jego przyjaciela Leona Pietrzykowskiego pozostały w Zduńskiej Woli, w Miejskiej Bibliotece Publicznej, gdzie są przechowywane, otwarto wystawę ocalałych pamiątek, a także odbyła się uroczystość nadania bibliotece imienia Jerzego Szaniawskiego.

(E. I.)

II WOJNA ŚWIATOWA

Z przeszło rocznym poślizgiem ukazał się kolejny zeszyt cennej publikacji KAW poświęconej II wojnie światowej, wydarzeniom na frontach, w gabinetach dyplomatów i w salach międzynarodowych konferencji sojuszniczych. Już pierwszy zeszyt zatytułowany **„Marsz ku wojnie"** zniknął w jednej chwili z kiosków mimo sporego, bo stutysięcznego przecież nakładu. Zachęcony tym powodzeniem wydawca podwoił liczbę egzemplarzy zeszytu drugiego, ale i to wydaje się stanowczo za mało: nakład rozszedł się błyskawicznie. Cykliczna publikacja **„II Wojna Światowa"** utrafiła bowiem w dziesiątkę odpowiadając na tzw. zamówienie społeczne i choć jest adresowana głównie do młodzieży, chętnie sięgają po nią również ci, którzy wojnę znają z autopsji.

Zeszyt **„Wojna obronna Polski 1939 r."** ukazuje się akurat w czterdziestą rocznicę Września i przynosi pasjonujące relacje z wybranych kampanii, oraz cały plakiet refleksji, jakie się wiążą z tym tematem. Autorem artykułu otwierającego te rozważania i poświęconego strategii dyplomatycznej poprzedzającej wojnę i niemieckim próbom wyłuskania Polski z układów sojuszniczych (dwulicowe zabiegi Mussoliniego o zwołanie międzynarodowej konferencji pokojowej) jest znany historyk **prof. dr Włodzimierz Kowalski.** Z kolei **Tadeusz Jurga** przedstawia wybrane odcinki wojny obronnej Polski poczynając od bitwy granicznej, poprzez słynną bitwę nad Bzurą aż po opór Hubalczyków, którzy nie złożyli broni. Przypomniano bohaterski opór załogi Westerplatte, obronę poczty Gdańskiej, wysadzenie przez polskich saperów mostów w Tczewie, nieugiętą postawę walczącej Warszawy, bitwę pod Kockiem. Znaleziono także miejsce na relacje o walkach polskiego lotnictwa i obronie polskiego Wybrzeża. Autorowi udało się dotrzeć do nie znanych materiałów: cytuje za zachodnioniemieckim tygodnikiem „Quick" relacje żołnierzy kompanii szturmowej hitlerowskiej marynarki, którzy bezskutecznie szturmowali Westerplatte i podkreślają, nawet po latach, bezprzykładne bohaterstwo polskiej załogi. Zwraca na siebie uwagę relacja o kampanii wrześniowej jednego z polskich żołnierzy Karola Lubelczyka, który w cztery lata później ponownie zmierzył się z wrogiem walcząc w szeregach odrodzonego Wojska Polskiego.

Publikacja KAW-u jak zwykle obfituje w bogate, mało znane, a często ujawnione po raz pierwszy materiały ikonograficzne, co jest zasługą całego zespołu redakcyjnego, który stanowią: Andrzej Broniarek, Zdzisław Krzystek, Danuta Kur, Edmund Męclewski, Waldemar Strzałkowski, Michał Wierzchoń i Mieczysław Ziemiański.

Miejmy tylko nadzieję, że na kolejny, zapowiedziany już zeszyt **„W cieniu linii Maginota"** nie będziemy musieli czekać okrągły rok. Gdyby stało się to regułą, całość edycji, obejmującej ponad trzydzieści tomików, ukazałaby się dopiero w XXI wieku.

K. F.

REGULAMIN konkursu literackiego im. Światopełka Karpińskiego

Towarzystwo Przyjaciół Łasku, Kuratorium Oświaty i Wychowania, Zarząd Wojewódzki ZSMP w Sieradzu ogłaszają konkurs literacki dla młodych twórców z woj. sieradzkiego.

Konkursem tym organizatorzy zamierzają uczcić pamięć poety i satyryka **Światopełka Karpińskiego,** urodzonego w 1909 r. w Łasku, a także jubileusz 20-lecia grupy literackiej **„Grabia 59"**, którą tworzyli młodzi poeci wywodzący się z Łasku i okolic.

Na konkurs można nadsyłać poezję, utwory satyryczne, prozę (nie przekraczającą 3 str. maszynopisu) nigdzie dotąd nie publikowane. Prace w 3 egzemplarzach, opatrzone godłem, prosimy nadsyłać w terminie do 30 grudnia 1979 r. pod adres:

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁASKU
98—100 ŁASK, ul. Narutowicza 11

Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię, nazwisko, wiek, adres autora, miejsce zamieszkania lub pracy.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

1. nagroda	**— 3.000 zł**
2. nagroda	**— 2.000 zł**
3. nagroda	**— 1.000 zł**

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie prawo publikacji nagrodzonych i wyróżnionych prac.

KOMITET ORGANIZACYJNY

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAŁOWIECKI JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAIER TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S NOWAK EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

NAUKA — MIASTU

Dalszy ciąg ze str. 1

jak i Politechnika są w pełni przygotowane do przeprowadzenia tego typu badań.

— Wdrażania są najsłabszym ogniwem procesu innowacyjnego w gospodarce. Jak przebiega on w Łodzi?

— Podobnie jak w całym kraju, to znaczy wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Problem wdrożeń był szeroko i wnikliwie dyskutowany w łódzkim środowisku naukowym przed XII Plenum KC PZPR. Wnioski, wynikające z dyskusji, adresowane do władz województwa, są w trakcie realizacji, inne wymagają rozstrzygnięć na szczeblu centralnym.

— Dobrze zorganizowana uczelnia wykonuje w sposób zintegrowany trzy podstawowe funkcje: naucza, wychowuje i prowadzi badania. Czy łódzkie szkoły wyższe realizują tę formułę w stopniu zadowalającym?

— Moim zdaniem, co najmniej dobrze, ale nie oznacza to, że rezygnujemy z dalszych prób intensyfikacji oddziaływania wychowawczego, usprawniania dydaktyki i rozwijania badań naukowych. Przedmiotem szczególnej troski musi być udział wszystkich pracowników uczelni oraz ogniw Socjalistycznego Związku Studentów Polskich w kształtowaniu, zgodnych z zasadami socjalizmu, obywatelskich postaw młodzieży akademickiej.

— W dążeniu do podniesienia jakości kształcenia rozwija się studia przemienne. To interesujące łączenie studiów stacjonarnych z praktyką zawodową i studiami zaocznymi prowadzi od pewnego czasu WIFAMA. Czy zdają one egzamin w praktyce?

— Ten typ kształcenia podjęła przed rokiem Politechnika Łódzka. Z racji specyfiki studiów przemiennych — semestr w uczelni, semestr w zakładzie pracy — pierwszą próbę oceny przydatności tej formy kształcenia można będzie podjąć po III semestrze, czyli w lutym 1980 roku.

— Towarzyszu Sekretarzu, w związku z potrzebą nowych rozwiązań organizacyjnych, zmierzających do zbliżenia nauki do praktyki, mówi się o powołaniu do życia centrów uczelniano-przemysłowych. Czy powstanie takie centrum w Łodzi?

— Warunkiem powołania centrów uczelniano-przemysłowych jest rozbudowana baza materialna uczelni oraz odpowiednia liczba kadry, która by mogła wykonywać zadania produkcyjne. W tej chwili warunek ten w Łodzi jeszcze nie jest spełniany i na razie nie przewidujemy powołania centrum uczelniano-przemysłowego. Natomiast powstanie, z inicjatywy PŁ, forma pośrednia: laboratorium uczelniano-przemysłowe obróbki cieplnej, cieplno-chemicznej i powierzchniowej. Placówka ta będzie opracowywać i pilotować nowoczesne technologie, opracowywać aparaturę i urządzenia oraz kształcić kadry, wdrażające w przemyśle nową myśl techniczną.

— W jakim stopniu uczelnie w Łodzi podejmują działania w dziedzinie pedagogicznego doskonalenia nauczycieli akademickich?

— Stałą formą doskonalenia pedagogicznego nauczycieli akademickich jest roczne studium, które obowiązani są ukończyć nauczyciele podejmujący pracę w uczelni, zwłaszcza młodzi pracownicy.

— W naszych uczelniach akademickich kształci się dla potrzeb całego kraju specjalistów w unikalnych dyscyplinach nauki. Jakie to są dziedziny studiów?

— Włókiennictwo, papiernictwo, chemia spożywcza, technologia chemiczna skóry i garbarstwa, wzornictwo przemysłowe, reżyseria filmowa i telewizyjna.

Unikalny charakter ma łódzki Instytut Medycyny Pracy, kształcący specjalistów nie tylko na potrzeby kraju, ale i zagranicy. Ponadto należy wymienić Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców w Uniwersytecie Łódzkim, przygotowujące młodzież, przede wszystkim z krajów rozwijających się, do podjęcia studiów w polskich uczelniach różnego typu.

— Panuje odczucie, że pozostajemy w tyle za innymi miastami z kraju w dziedzinie kształcenia podyplomowego. Czy planuje się rozwój tej formy kształcenia, np. pracowników inżynieryjno-technicznych, nauczycieli, lekarzy, i in.

— Myślę, że jest to błędne odczucie. Obok studiów doktoranckich, na których stopnie naukowe zdobywają także cudzoziemcy, istnieje cały szereg rocznych studiów podyplomowych dla nauczycieli, inżynierów, pracowników kultury, kadry kierowniczej przemysłu. W samym tylko Uniwersytecie Łódzkim na dziesięciu kierunkach studiów podyplomowych każdego roku kształci się blisko 400, a w Politechnice Łódzkiej prawie 250 słuchaczy.

Ta forma kształcenia będzie rozwijana w związku z wejściem w życie uchwały o specjalizacjach zawodowych.

— Wydaje się, iż wyższe uczelnie w Łodzi prowadzą zbyt słabą działalność w zakresie orientacji zawodowej, wskutek czego młodzież często wybiera kierunek studiów, a nie zawód. Czy podejmie się działania zmierzające do poprawienia sytuacji w tej ważnej dziedzinie?

— Podejmowanie określonych kierunków studiów jest złożonym zjawiskiem i między innymi decyduje o tym swoista moda, np. na kulturoznawstwo, psychologię czy pedagogikę kulturalno-oświatową. W zakresie preorientacji zawodowej wiele do zrobienia mają szkoły, uczelnie, ale także i środki masowego przekazu. Niezbędne jest upowszechnianie w świadomości młodziezy przekonania, że u podstaw wyboru kierunku studiów powinno znajdować się nie tylko zainteresowanie czy zamiłowanie, ale także i znajomość faktu, jaki rodzaj zajęcia czeka na absolwenta po ukończeniu studiów, jakie i gdzie jest zapotrzebowanie gospodarki i kultury narodowej na specjalistów w danej dziedzinie.

Uczelnie starają się prowadzić intensywną działalność w tym zakresie i gotowe są ją dalej poszerzać, ale uważam, iż problematyka poszczególnych zawodów jest rzeczywiście zbyt skromnie upowszechniana wśród młodzieży, stającej przed wyborem określonego kierunku studiów.

— Uniwersytet Łódzki włączył się w proces kształcenia nauczycieli na poziomie wyższym dla potrzeb zreformowanej szkoły dziesięcioletniej. Jak Towarzysz Sekretarz ocenia tę działalność Uniwersytetu.

— Bardzo pozytywnie, wystarczy powiedzieć, że obecnie na 13 kierunkach studiuje prawie 2.000 nauczycieli. Uważam, że jest to szczególne zadanie Uniwersytetu Łódzkiego w zakresie oświecenia publicznego. Zwiększająca się co roku liczba nauczycieli z wyższym wykształceniem świadczy o chlubnym wywiązywaniu się uczelni z tego zadania.

— Czy Towarzysz Sekretarz zechciałby podzielić się z naszymi czytelnikami swoją opinią na temat oddziaływania wyższych uczelni i środowiska akademickiego i naukowego na proces rozwoju oświaty i kultury w Łodzi i regionie?

— Fakt, iż łódzkie uczelnie, nie licząc WAM, skupiają ponad 4 tysiące nauczycieli akademickich i 33 i pół tysiąca studentów waży w sposób bardzo wyraźny na życiu miasta i regionu. Nasi uczeni zaznaczają swoją obecność pracami i badaniami dotyczącymi problemów województwa i nie tylko, w Łodzi odbywają się sympozja i konferencje naukowe, często o poważnym charakterze międzynarodowym, pracownicy łódzkich uczelni prowadzą rozliczne formy szkolenia partyjnego, związkowego, w ramach NOT, PTE, TNOiK, towarzystw naukowych, adresowane do szerokich kręgów mieszkańców Łodzi i sąsiednich województw.

Łódzcy studenci służą swoją pracą miastu nie tylko w trudnych chwilach walki ze śniegiem i mrozem, nie tylko poprzez rozwinięty ruch honorowego krwiodawstwa, czyny społeczne, ale także badaniami w kołach naukowych, działalnością kulturalną, produkcyjną i usługową.

Pracownicy nauki i młodzież akademicka stanowią poważny odsetek publiczności łódzkich teatrów, kin, sal koncertowych, muzeów i wystaw, klientów księgarń, czytelników prasy.

O wyraźnym wzroście kultury umysłowej w naszym mieście świadczy choćby poziom pierwszoklasistów, których rodzice albo sami są absolwentami łódzkich uczelni, albo też byli kształceni przez tych absolwentów w różnych typach szkół.

— Jak przygotowują się łódzkie uczelnie wyższe do VIII Zjazdu Partii?

— W roku akademickim 1979/80 przypada szczególnie doniosłe wydarzenie polityczne — VIII Zjazd PZPR i poprzedzająca go ogólnonarodowa dyskusja nad Wytycznymi. W maju przyszłego roku przypada także 35 rocznica powołania, pierwszych w historii naszego miasta, szkół wyższych — Uniwersytetu i Politechniki.

Pod kierunkiem uczelnianych organizacji partyjnych, we wszystkich szkołach wyższych Łodzi, odbędą się środowiskowe dyskusje nad Wytycznymi na VIII Zjazd. Obok spojrzenia wstecz, podsumowania dotychczasowego dorobku, dyskusja obejmie sformułowania programu realizacji zadań w zakresie pracy ideowo-wychowawczej, naukowej i dydaktycznej, jakie przed szkolnictwem wyższym postawi Zjazd Partii. Przyczyni się do pełniejszego określenia miejsca uczelni w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym.

Na zakończenie rozmowy pragnę, w nowym roku akademickim, życzyć pracownikom naukowym naszego miasta dalszych sukcesów w badaniach i osiągnięć w pracy dydaktycznej, a studentom wytrwałości w zdobywaniu wiedzy i dobrych ocen w indeksach.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Foto: Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

UDRĘKA I LOS DOPEŁNIONY

Poprzednia książka Jean — Raymond Tournoux, znanego francuskiego dziennikarza, kronikarza współczesnego życia politycznego, poświęcona generałowi Charles de Gaulle, doczekała się u nas dwóch kolejnych wydań (1975 i 1977), co świadczy o jej żywym przyjęciu przez polskich czytelników. Tak też zapewne przyjmą oni również i nową pracę tego samego autora, zatytułowaną: „Udręka i los dopełniony", wydaną właśnie (1979) przez Książkę i Wiedzę w tłumaczeniu Adama Galicy, a przynoszącą kronikę francuskiego życia politycznego za lata 1958—1974. Historyczno-polityczne pisarstwo J. — R. Tournoux łatwo zyskuje sobie uznanie zarówno we własnym kraju, jak i za granicą. My w Polsce nie przywykliśmy jeszcze do tego rodzaju opracowań; podobne dziennikarstwo polityczne praktycznie u nas nie istnieje, przynajmniej co się tyczy naszego własnego życia politycznego. Jeżeli już jednak ktoś pokusi się — najczęściej w związku z jakąś rocznicą — o sporządzenie kroniki życia politycznego czasów dopiero co minionych okazuje się, że otrzymaliśmy do ręki montaż z oficjalnych enuncjacji, deklaracji i komunikatów nie wychodzący poza to, co już i tak było znane. Takich prac, jakich próbkę daje J. — R. Tournoux, nie piszą u nas ani dziennikarze, ani politologowie, ani historycy dziejów najnowszych. W rezultacie obraz naszej niedawnej przeszłości, jaki istnieje w literaturze, jest w ogromnej mierze pozbawiony szczegółów, a jednocześnie odpersonifikowany, uogólniający aż do ogólnikowości. Sytuację ratuje raz po raz literatura piękna, której niekiedy udaje się z wcale dobrym skutkiem spenetrować rejony wciąż dla historyka niedostępne. Historycy zaś czasów najnowszych zdają się nawet niekiedy godzić z tego rodzaju sytuacją, gdy powiadają, że trzeba unikać nagannej pogoni za sensacyjnością, zbytniego personalizmu i innych licznych grzechów, które popełnić łatwo, kiedy zaczniemy się zbyt szczegółowo zajmować naszymi dopiero co minionymi dziejami.

O znaczeniu książki J. — R. Tournoux decyduje nie tylko jej tematyka: polityka Francji w czasach de Gaulle'a i jego następcy na fotelu prezydenckim G. Pompidou znaczyła wiele zarówno w Europie, jak daleko poza jej granicami, by usprawiedliwiało to chęć dokładniejszego poznania francuskiego życia politycznego w tamtych czasach. Nader istotny jest tu wszakże sposób opracowania prezentowanych zagadnień: nasycona nieznanymi informacjami narracja, w których zdobywaniu jest autor prawdziwym mistrzem, usilne dążenie by zgłębić racje, kierujące działaniami mniejszych i większych aktorów, przesuwających się na scenie francuskiego życia politycznego. J. — R. Tournoux w niczym nie przypomina licznych, zwłaszcza amerykańskich dziennikarzy politycznych, zastawiających sidła na wszelkie sensacje, nie gardzących plotką i insynuacją, aby tylko ubarwić swą narrację. Francuski autor jest bowiem niezmiernie taktowny i to zarówno do osób, z którymi wyraźnie lub mniej sympatyzuje pod względem politycznym, jak i do tych, które są związane z kierunkami, które J. — R. Tournoux są najwidocznej obce. Swoje credo jako kronikarza czasów współczesnych formułuje w słowach:

„Na podstawie relacji uczestników wydarzeń i nie opublikowanych bądź mało znanych materiałów podjąłem próbę odtworzenia klimatu politycznego naszej epoki. Usiłując raczej wyrwać się z manichejskiej atmosfery cechującej nasz wiek niż pretendując do ferowania bezapelacyjnych wyroków, posłuchałem Spinozy: „Nie oburzać się, lecz zrozumieć".

I choć z przekonań jest J. — R. Tournoux konserwatywnym liberałem, jego intelektualna uczciwość każe mu wyjaśniać m. in. również i takie sprawy, jak polityczne prowokacje montowane przez środowiska prawicy przeciwko kołom lewicowym i ich przywódcom. Francuski dziennikarz, opisując mnóstwo rozmaitych sytuacji i wydarzeń politycznych, ujawniając wiele nie znanych szczegółów, nigdy nie przekracza bariery taktu w przedstawianiu spraw, w których polityka splata się nierozerwalnie z osobistym dramatem człowieka. Czyni tak opisując ostatnie lata rządów de Gaulle'a, czyni tak samo wówczas, kiedy wspomina jako o fakcie politycznym — o „tajemniczej chorobie" trawiącej G. Pompidou, ale nie mówi o niej ani słowa więcej ponad to, co rzekł o niej sam chory prezydent. Oddaje też należny hołd człowiekowi, który miał siłę charakteru, aby mimo trawiącej go śmiertelnej choroby — o której doskonale wiedział — z godnością, mężnie spełniać obowiązki swego urzędu aż do ostatniej chwili. Komuniakt Sekretariatu Generalnego Urzędu Prezydenta Republiki o odwołaniu przez G. Pompidou wszystkich spotkań politycznych na najbliższe dni wydany został 2 kwietnia 1974 roku o godzinie 8 rano. O godzinie 21.55 ten sam Sekretariat podał w kolejnym komunikacie wiadomość o śmierci prezydenta. Sposób w jaki J. — R. Tournoux przedstawił sprawy, w których dramat polityki splótł się z dramatem ludzkim, wystawia mu najlepsze świadectwo jako pisarzowi politycznemu.

Książka J. — R. Tournoux nie epatuje czytelnika nowatorstwem ujęcia, któremu tak chętnie hołdują dziś historycy francuscy. Przeciwnie: jest ona ujęta w najbardziej tradycyjnej, kronikarskiej formie: rok po roku, dzień po dniu. Ale czytając tę kronikę czytelnik zostaje stopniowo wciągnięty w wielkie i mniejsze problemy francuskiego życia politycznego tamtych czasów. Włącza się do nich sam dla siebie niedostrzeżenie: wciąga go do nich nasycona mnóstwem historycznych realiów potoczysta narracja o ludziach i sprawach, udokumentowana powołaniami czy to na dokumenty, czy — bodaj częściej — na osobiste rozmowy autora z aktorami i świadkami wydarzeń. Francuski dziennikarz nie nazywa swej książki historią, woli poprzestać na skromniejszym określeniu: kronika, które też lepiej przystaje do jego dzieła. Ale nie znaczy to, by nie miało ono nader istotnego znaczenia również i dla historii.

LEKTOR

Dalszy ciąg ze str. 1

RODZINA Z LILIJKĄ W HERBIE

się wtedy nazywało. Dojeżdżał do gimnazjum w Piotrkowie, ja natomiast uczęszczałam tam do Seminarium Nauczycielskiego. Jeździliśmy więc razem i często powracaliśmy tym samym pociągiem. Byłam wtedy pierwszy rok w Seminarium, miałam chyba piętnaście lat. I tak wytworzył się pewien sentyment, bo te wspólne podróże, dostarczanie brakujących książek (mój ojciec stracił wtedy pracę i w domu krucho było z pieniędzmi). Te książki przynosił mi od dr Kotarbińskiego on i jego koledzy, także harcerze. Były i zabawy harcerskie, z reguły z jakąś oprawą artystyczną, mazur, polonez, jakaś jednoaktówka, w której braliśmy oboje udział.

Potem tak się złożyło, że gimnazjum, do którego chodził Renek, nawiązało kontakt z naszym Seminarium. Kiedy odbywały się u nas lekcje tańca, to oczywiście z „drugą budą", jak przezwano II Gimnazjum. Spotykałam się więc z nim na tańcach. A później przyszły zabawy organizowane w domu, to nas jeszcze bardziej zbliżyło do siebie, zresztą cała nasza gromadka trzymała się dosyć mocno.

Kiedy wyjechałam do Warszawy, Renek podążył w ślad za mną. No i pobraliśmy się w Warszawie. Było to 14 sierpnia 1939 r., a więc na dwa tygodnie przed wybuchem wojny.

W czasie okupacji powróciliśmy do Kamieńska czyli dzisiejszych Gomunic. No i znów wspólna działalność w harcerstwie: Szare Szeregi. Chyba pan się nie zdziwi, że to związało nas bardzo ze sobą.

— Ja, proszę pana, w czasie okupacji byłem kominiarzem — śmieje się pan Ireneusz. — Bardzo to mi pomogło w działalności konspiracyjnej. Bo gdy mnie gdzieś zatrzymywali, to ja jestem kominiarz, idę robić swoją robotę. „No a dlaczego nie jesteś ubrany po kominiarsku?" — „Bo dzisiaj zbieram nutę". Nuta to była opłata w naturze, pobierana w folwarkach.

Pewnego razu umówiłem się w tej sprawie z Treuhändrem czyli zarządcą pewnego majątku, który znany był z tego, że strasznie gnębił Polaków. Idę do tego folwarku, a tam jeden żandarm stoi, drugi żandarm stoi, a dalej kilku niemieckich policjantów z Gorzkowic. Ludzie mówią do mnie:

— Niech pan tam nie idzie, panie Sierko, bo pana zastrzelą!

Aha, myślę sobie, chyba był zamach na Treuhändera. Trzeba zbadać, czy tego drania łupnęli, a jeśli tak, no to pomyśleć o jakiejś akcji zapobiegawczej, bo na pewno wtedy nastąpią łapanki i represje, może będą wzywać oddziały pacyfikacyjne. Znałem trochę niemiecki: podsłucham, o czym rozmawiają żandarmi, a nuż się czegoś dowiem? No bo wtedy trzeba będzie ostrzec młodzież, żeby jej nie wybili, jak to potrafili robić. Więc idę dalej na ugiętych nogach i czuję, że paznokcie wchodzą mi w dłonie. Mijam tych żandarmów i, o dziwo, żaden mnie nie „haltuje". Ja ich się bałem i prawdopodobnie oni mnie się bali, że mam może jakiś granat czy coś takiego. Podchodzę do tego pałacu, a na tarasie stoi pokojówka i dopiero ona mnie zatrzymała:

— Gdzie pan się pcha?

— Do pana dyrektora.

— Pana dyrektora nie ma.

— A kiedy będzie?

— Nie wiem. Nie wiem.

No więc ja od razu do jednej wsi, do drugiej. Niech młodzież ucieka w lasy, mówię, bo grozi jej niebezpieczeństwo. I rzeczywiście, kiedy znalazłem się niedaleko Gorzkowic, we wsi Szczepanowice, zobaczyłem jadące niemieckie tankietki. Spaliły w odwecie kilkanaście domów.

Drugie zdarzenie. Żona była trochę niezdrowa, nie poszedłem na kominiarkę i po południu prowadziłem z młodzieżą naukę o broni. Uczyłem chłopców ze schematów: miałem schemat Thomsona, Bergmanna, więc posługiwałem się tymi „pomocami naukowymi". Nagle przybiega znajomy i mówi, że idą do nas żandarmi. Więc ja te wszystkie papiery do pieca. A tu, jak na złość, ogień zagasł. Wchodzą Niemcy i od razu do mnie:

— Kennkarte!

— Daję swój dowód, a jeden z nich czyta: Beruf czyli zawód wyuczony: Bahnbeamter. No bo byłem przecież urzędnikiem kolejowym w Warszawie. Zawód wykonywany: Schornsteinfeger, kominiarz. Przeczytał to i zaklął:

— O Verfluchter! Bahnbeamter — Schornsteinfeger? Bahnbeamter — Schornsteinfeger? Wie ist es das?

No, myślę sobie, koniec ze mną, zostałem zdekonspirowany.

— Schprechen Sie deutsch?

— Nein, nein — mówię.

Więc on:

— Dolmetscher, kommen Sie hier!

Tłumacz powiada:

— Majster się pyta (bo wachmistrza żandarmerii nazywali „Meister") dlaczego wy, urzędnik kolejowy, jesteście akurat kominiarzem?

Ja mówię:

— Panowie wiecie przecież o tym, że na moim miejscu mogą pracować tylko urzędnicy narodowości niemieckiej. Więc przyjechałem tu w rodzinne strony i zajmuję się kominiarką. Ale żona moja zachorowała i pewnie ma tyfus, więc zostałem dziś w domu.

Nie wiem, skąd mi taka myśl przyszła do głowy, chyba dlatego, że oni bali się tyfusu jak ognia. No i tak się naradzają: oddać tę Kennkartę, czy nie oddać? Wreszcie mówią: „Aufkleiden!" — to znaczy ubierać się.

— Panowie — ja do nich — sami widzicie tę chorą, ja muszę przecież wezwać lekarza...

Gadają coś do siebie, gadają, w końcu mówią: „Niech on idzie po lekarza..."

To było straszne przeżycie. Bo parę dni przedtem prowadzili obok naszego domu pewnego człowieka, u którego w torbie znaleźli kilka kilogramów rąbanki (tak nazywano w czasie wojny pospółkę). No i tak:

— Los! Weiter!

Podprowadzili go pod las i dosłownie na naszych oczach zastrzelili. Więc mogłem przypuszczać, że jeśli mnie wyprowadzą, spotka mnie to samo. Uratował mnie refleks, ten pomysł z tyfusem żony, no i ten tupet, że się tego tyfusu uparcie trzymałem.

Poszedłem do Kamieńska i tam w rodzinie jednego z moich chłopców, drużynowego „Zawiszaków", częstują mnie herbatą. Chcę ją pić, a tu ręka mi drży, łyżeczka dzwoni o szklankę, zęby mi szczękają. Dopiero wtedy nastąpiła reakcja po wizycie żandarmów w naszym domu.

— Nie wiedziałam, co dalej będzie — ciągnie pani Irena. — Na szczęście, nie robili u nas rewizji, ale to było dla nas i pewne ostrzeżenie. Mieliśmy taki duży okrągły stół i kiedy odbywało się tajne nauczanie albo szkolenie instruktorów, na wierzchu leżały zawsze karty — do gry. A pod serwetą, na takim skrzyżowaniu stołu, siedział nasz chłopak. Miał wtedy cztery lata, a my się nie domyślaliśmy, że on cokolwiek słyszy czy rozumie.

Zdarzało się, że rysunki, szkice broni, wkładaliśmy do butelki i tę butelkę chowaliśmy w piwnicy, między kartoflami. Kiedy potrzeba było kartofli do obiadu, spuszczaliśmy tam naszego Włodzia.

Kiedyś wpada do nas sąsiadka.

— Uciekajcie, żandarmi idą!

Więc tak jak staliśmy, zamknęliśmy szybko mieszkanie, pędem przez las i jesteśmy już na stacji, żeby gdzieś prysnąć pociągiem. A wtedy mój Włodzio mówi do mnie:

— Mamusiu, a ty tę butelkę z papierecznkami wyjęłaś z piwnicy?

Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że mamy bystrego syna, który też bierze udział w konspiracji... Ale i że musimy być na przyszłość ostrożniejsi.

Z tą ostrożnością rozmaicie zresztą bywało. Myśmy na przykład nie zamykali nigdy komórki, a tam w snopku słomy mąż trzymał krótką broń. Było kilka komórek, Niemcy kazali je otwierać, przewracali wszystko, żgali bagnetami, a do naszej komórki nigdy nie zajrzeli. „Aha, komórka otwarta, to tu nie ma czego szukać". A po komórce biegały sobie króliki.

— Ja z naszych akcji bojowych zapamiętałem zwłaszcza dwie — mówi pan Ireneusz. — Jedną, w październiku 1944, na posterunek Wehrmachtu w Nowym Kamieńsku, kiedy to zdobyliśmy sporo broni i niemieckich mundurów, które przekazaliśmy następnie naszym oddziałom leśnym. Do żołnierzy Wehrmachtu nie strzelaliśmy, szło bowiem o to, żeby „rozwarstwić" Niemców, nie usposabiać źle przeciwko nam wojska.

Druga akcja miała na celu zdobycie maszyny do pisania, potrzebnej do wydawania biuletynu i „fabrykowania" ulotek. W zdobycznych niemieckich mundurach wkroczyliśmy do Urzędu Gminy w Gorzkowicach i zabraliśmy stamtąd maszynę, oznajmiając po niemiecku, że rekwirujemy ją dla SS. A „SS" to był kryptonim Szarych Szeregów. Zanim niemieccy urzędnicy zorientowali się w naszym fortelu, maszyna znajdowała się już w obozie AK.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o jednym zdarzeniu. Otóż w Fabryce Ceraty w Wojciechowie służbę wartowniczą pełnili żołnierze z tzw. Legionów Wschodnich. Gdy w roku 1944 rozpoczęła się letnia ofensywa radziecka, nawiązali oni z nami kontakt, chcąc uciekać do lasu. Porozumieliśmy się w tej sprawie z dowództwem AK, a także z dowódcą radzieckiego oddziału desantowego, majorem „Markowem" (pseudonim Semena Nowosada), który działał na naszym terenie. Po uzyskaniu zgody dopomogliśmy w ucieczce około trzydziestu Turkiestańczykom. Z bronią zabraną z fabryki przeszli oni do partyzantki radzieckiej.

* * *

Siedzimy przy stole i delektujemy się mocnym aromatem herbaty, zaparzonej przez panią Irenę. Pani Irena, jakby chcąc otrząsnąć się z wojennych wspomnień, wraca do czasów swej młodości.

— W piotrkowskim Seminarium mieliśmy świetną nauczycielkę języka polskiego, panią Aleksandrę Matusiakową, która do dziś mieszka w Piotrkowie. To rzadki przypadek: nie obrzydzała nam ona literatury, ale uczyła zamiłowania do niej, zwłaszcza do poezji. Moją koleżanką szkolną była Seweryna Szmaglewska, późniejsza autorka „Dymów nad Birkenau". Przyjaźniłyśmy się ze sobą, przez jakiś czas mieszkałyśmy razem w internacie, a nawet było coś w rodzaju rywalizacji między nami w zespole redakcyjnym szkolnej gazetki. A po ukończeniu Seminarium prowadziłam z koleżankami i kolegami zajęcia w Uniwersytecie Robotniczym.

Trzeba trafu, że kiedy zaraz po wyzwoleniu, w styczniu 1945, wychudzona i wymizerowana zgłosiłam się do Inspektoratu Szkolnego w Piotrkowie, zastałam tam właśnie jednego z tych kolegów. To on z miejsca do mnie:

— Koleżanko, jakże się cieszę, że was znowu widzę! Musicie jechać na wieś, szkoły ruszają. Pożyczam rower, jedźcie zaraz do Sycek Szlacheckich.

To było jakieś dwadzieścia kilometrów za Piotrkowem. Pojechaliśmy z mężem „na rozpoznanie". Zbiera się gromada dzieci: siedem lat i dziesięć lat, i czternaście lat — pierwsza klasa. Wtórny analfabetyzm. Kobiety obejmują nie mnie, tylko męża, bo myślą, że pan nauczyciel przyjechał, pan kierownik.

— Panocku, błagamy, zostańcie u nas! Był tu już jeden nauczyciel — uciekł, była nauczycielka — uciekła.

Zatrzymaliśmy się na nocleg i rozmawialiśmy z mężem prawie do białego rana. Zostać — nie zostać? Mój obowiązek — zostać. Co robimy?

I zostałam tam z dzieckiem. Rezultat był taki, że mąż, który znowu pracował w Warszawie, raz w tygodniu przyjeżdżał do Moszczenicy i przez lasy wędrował do nas. Wędrował z plecakiem, w którym przynosił nam trochę prowiantu. A czasy były niespokojne, w lasach ukrywało się sporo różnych elementów, więc za każdym razem drżałam, czy męża nie spotka coś złego.

Mieszkałam w małym pokoiku u gospodarza z synem i dosłownie głodowaliśmy, bo przez jakieś pół roku nie dostawałam pensji. Aż któregoś dnia, kiedy gospodyni usłyszała, jak syn woła: „Mamo, chleba! Nie jedliśmy kolacji, nie jedliśmy śniadania" — zebrała wieś, opowiedziała wszystkim o naszej sytuacji i od tej pory mieliśmy już co jeść.

A skończyła się ta epopeja tak, że kiedyś na lekcji usnęłam z głową na pulpicie i spałam z półtorej godziny. Dzieci siedziały cicho, mój Włodzio między nami. Budzę się, a tu miotają mną dreszcze. Przynoszą termometr, mierzę temperaturę: 40 stopni.

Pojechałam do Piotrkowa. Zbadali mnie, prześwietlili, i mówią: „Ma pani zmiany w lewym płucu". No i trzeba było zakończyć naukę w wiejskiej szkole. Ale przez ten czas, w ciągu kilku miesięcy, do czerwca, uczyłam na kilka zmian, podzieliłam dzieciaków na grupy i ci najstarsi zrobili trzy-cztery klasy. Więc nic dziwnego, że ludzie ze wsi żegnali mnie ze łzami w oczach, dali wóz, a na odjezdnym mówili do mnie:

— Pani powróci! Pani musi do nas powrócić!

Obiecałam, że jeśli tylko będą mogła, to wrócę, bo chyba by mnie od siebie nie puścili.

— No a ja — wtrąca pan Ireneusz — zaraz po wyzwoleniu zgłosiłem się na wezwanie dyrekcji PKP w Warszawie, gdzie objąłem kierownictwo referatu wojskowego. Trudno było jednak znaleźć mieszkanie w zburzonej Stolicy. Męczyły mnie te ciągłe dojazdy, więc gdzieś po roku, na apel władz, żeby zagospodarowywać Ziemie Zachodnie, wyjechałem na Dolny Śląsk, do Trzebnicy, gdzie też wkrótce przybyła z synem żona. Miałem za sobą studia ekonomiczne, więc zostałem mianowany dyrektorem Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej. A że w Warszawie ukończyłem Szkołę Partyjną, zacząłem potem pracować w Komitecie, najpierw jako sekretarz KP PPS, a potem, po Zjednoczeniu, jako drugi sekretarz KP PZPR. Praca była trudna, wyczerpująca, brakowało kadry, pełniłem swoje obowiązki i musiałem dodatkowo szkolić instruktorów, często wieczorami, do późnej nocy. Na to wszystko nałożyły się jeszcze przeżycia wojenne, tamte nerwowe napięcia, tak, że zapadłem poważnie na zdrowiu i musiałem z funkcji sekretarza zrezygnować. Nie powiem, zajęto się mną bardzo troskliwie, leżałem długo w klinice, jeździłem trzy razy do sanatorium, ale zdrowie już nie wróciło.

— Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w Kamieńsku — mówi pani Irena — zaczęłam pracować jako inspektor szkolny, a potem także jako inspektor do spraw kultury w radomszczańskiej Radzie Narodowej. Organizowałam prelekcje, odczyty, spotkania z ciekawymi ludźmi, zwłaszcza z kręgu literatury. No i działaliśmy z mężem dalej w harcerstwie, to nas angażowało i przy tym odmładzało. A równocześnie było dla nas sprawdzianem, czy teraz, w czasach pokoju, potrafimy w młodzieży wyrobić taką postawę społeczną i obywatelską, jak w czasie wojny. Bo oni, ci dorastający, zaczynali coraz częściej myśleć tylko o korzyściach, o sobie. Trzeba było temu przeciwdziałać, znaleźć jakieś inne, skuteczne metody wychowawcze.

— Pan, panie Włodzimierzu — zwracam się do syna gospodarzy — był chyba najbliższym obiektem oddziaływania rodziców. Jak pan to widzi teraz, kiedy jest pan już człowiekiem dorosłym?

— No cóż, obserwowałem w domu, jak rodzice pracowali, jak spotykali się z młodzieżą i tak jakoś sam, nawet bez ich namowy, zacząłem się w to wciągać, a nawet przewodzić grupie młodzieży harcerskiej, pełniąc różne odpowiedzialne funkcje, począwszy od zastępowego, przybocznego, drużynowego, wreszcie członka komendy hufca. A więc, tak można to nazwać, kontynuowanie pracy rodziców. Potem przyszły obozy harcerskie, również tak, jak to oni zaczynali. Oczywiście, na początku pod komendą rodziców.

— Pobłażali trochę?

— Ani trochę. Pamiętam, w roku 1957 byłem w podobozie ojca na kursie instruktorów w Węgrzynie, w Zielonogórskiem. Mama prowadziła tam drugi podobóz, żeński, no i kiedyś wynikła taka historia, że u dziewcząt zabrakło drzewa na opał, nie było czym w kuchni palić. A ja z kilkoma kolegami miałem służbę na terenie naszego obozu, obóz był na zajęciach. Poszliśmy do tego podobozu dziewcząt, narąbaliśmy drzewa, ale dziewczęta rwały się do przejażdżki po jeziorze i mama jako komendantka prosiła, żeby je łodzią powozić. No a po powrocie do naszego obozu musieliśmy stawić się do raportu. Zostaliśmy ukarani zakazem opuszczania obozu, pływania i służbą poza kolejką w kuchni. Oczywiście kombinowaliśmy jak to młodzi. Kiedy szło się nad jezioro myć kotły, tośmy je specjalnie zatapiali, żeby przy tej okazji się wykąpać.

— No, to i pan ma już co wspominać. Czy jest pan dalej związany z harcerzami?

— Bezpośrednio nie, bo kiedy poszedłem do pracy w zakładzie w Wojciechowie, zostałem wkrótce mistrzem na produkcji, a potem kierownikiem działu. Jest to praca bardzo absorbująca i w związku z tym mam mało czasu. Ale działam trochę w Klubie Zakładowym, więc zapraszają mnie na spotkania i proszą o pomoc właśnie harcerze i zuchy. Co mogę, to zapisuję, rejestruję, robię zdjęcia ze spotkań, z przyrzeczenia zuchów, z zaprzysiężenia harcerzy i z innych imprez harcerskich, które tu się odbywają.

Kiedy przyjeżdżają do nas harcerze na kolonie, młodzież zwraca się do mnie, żeby przyjść do nich na ognisko, opowiedzieć im coś niecoś o regionie, o zajęciach naszych harcerzy, o czasach wojny i okupacji, walki podziemnej. Bo wiedzą, że szczep harcerski Szkoły Zbiorczej w Gomunicach nosi imię Szarych Szeregów.

TADEUSZ GICGIER

„Podchodzą Niemcy i od razu: Kennkarte!"

ANTONI MAJAK

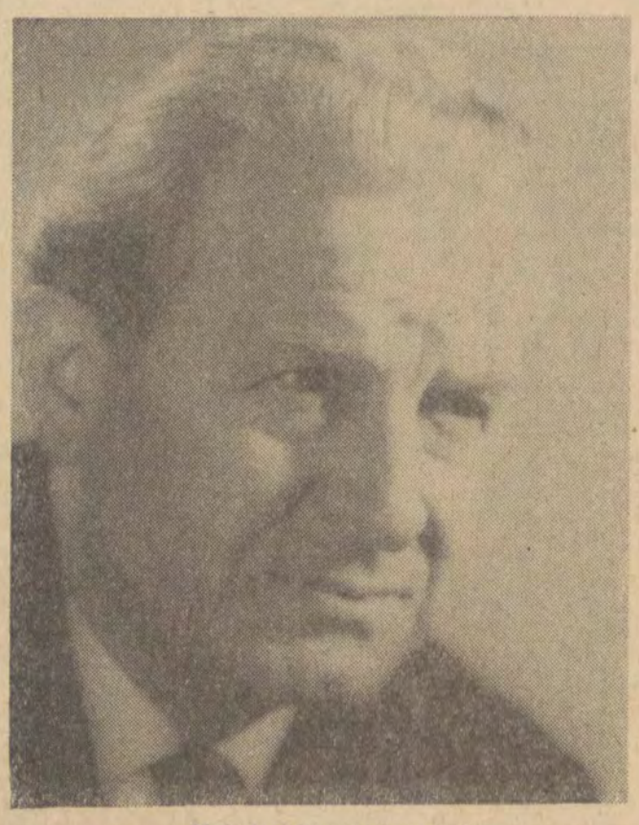

„Moje trzydziestopięciolecie to piękna, pasjonująca przygoda".

Jubileusze skłaniają do refleksji, cichej zadumy nad tym, co minione, przeżyte, nad latami, które wypełniliśmy żywą treścią, które każdy z nas starał się przeżyć najlepiej choćby po to, by jak dzisiaj móc spojrzeć wstecz, wiedząc, że suma doświadczeń i przeżyć nie tylko niczego nie zamyka, ale otwiera naszą wspólną przyszłość.

Moje trzydziestopięciolecie... Jakie to dziwne — teraz, gdy o nim myślę, gdy próbuję analizować określony jego granicami fragment życia, o którym mogę powiedzieć, iż było dobre, bogate, wypełnione rzetelną pracą, aktywnym, choć może skromnym udziałem w tworzeniu tych wartości, którymi wszyscy się szczycimy, uświadamiam sobie pewien paradoks polegający na tym, iż często zdarza się, że te właśnie lata, o których — gdy miną — mówimy z radością, satysfakcją i dumą, zaczynają się czasami w takich miejscach i okolicznościach, z których nic nie wskazuje, iż od nich właśnie będziemy kiedyś liczyć nasze szczęśliwe dni.

Moje trzydziestopięciolecie... Sierpień 1944 roku. Płonąca Warszawa i droga z nią wraz z żoną i małą jeszcze córeczką przez Pruszków do Oświęcimia. Pasmo cierpień niewyrażalnych (jakże niewiele wiedział Dante o piekle!), rozstanie z najbliższymi, których tam właśnie zatrzymano i ja, miotany niepokojem o ich los — na kolejnym etapie „wędrówki" wywieziony z Oświęcimia do następnego obozu koncentracyjnego w Dauttmergen, a tam — ciężka praca w kamieniołomach. To była nieustanna noc, ale zdarzył się w niej jeden wieczór, jeden moment, który utkwił w mej pamięci na zawsze, bo od niego właśnie... Obozowa „Gwiazdka" wtedy mogłem tylko przeczuwać, że to ostatni wojenny grudzień... W naszym baraku „mieszkało" ponad siedmiuset więźniów, wśród nich — ja, zarejestrowany jako „Opern-sänger". Nie mogłem odmówić prośbie współtowarzyszy niedoli bym zaśpiewał kolędę, na którą i „blokowy" wyraził zgodę. Dobre, kojące pieśni popłynęły przez barak. Pamiętam — to była „Cicha noc" i „Gdy śliczna Panna syna kołysała". Coś się wtedy stało w nas wszystkich — powróciła wiara w to, że po nocy nadchodzi dzień, że nasz dzień nadejdzie już wkrótce. Osłabieni — znaleźliśmy w sobie nagle wielką siłę przetrwania, a ja niemal upiłem się tym szczęściem jakie daje świadomość istnienia i przekonanie, że znikną koszmary, że można zacząć życie od nowa... I przyszedł wreszcie ten dzień, mój pierwszy dzień wolności — 22 kwietnia 1945 roku!

Dziś już nie pomnę, w jaki sposób znalazłem się w miejscowości Laucherthal, w obozie przejściowym dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Pamiętam natomiast pierwszy na wolności koncert. To było 3 maja, miejscowa świetlica wypełniła się po brzegi. Wiersze Mickiewicza, Słowackiego, Tuwima recytowali w uniesieniu koledzy-amatorzy, ktoś grał Chopina, a ja śpiewałem pieśni Moniuszki: „Ej, kamraci, ej, najszczersi, wara płakać, broń gotowa..." Ze wzruszenia zamierały nam głosy, płakaliśmy razem z naszymi pierwszymi widzami...

Nasza radość nie mogła być pełna. Przesłaniała ją troska o losy najbliższych.

Wkrótce znalazłem się w Stuttgarcie, dokąd przywiózł mnie oficer łącznikowy misji repatriacyjnej, Czesław Witkowski. Spotkaliśmy tu Michała Ślaskiego (późniejszego artystę Operetki Łódzkiej). W skład założonego przez nas zespołu wokalno-muzycznego weszli również Czechosłowak, Emil Dziadura (skrzypek) i Rosjanin, Georgij Petrow (pianista). W przydzielonym nam „domku z fortepianem" rozpoczęliśmy próby, a UNRRA pomagała w zorganizowaniu działalności koncertowej. Propozycja wstąpienia do tworzącego się właśnie międzynarodowego zespołu artystycznego wydawała się interesująca, ale jej urok zgasł w jednej chwili, gdy radiowa skrzynka poszukiwań rodzin przyniosła najwspanialszą wiadomość: żona i córka żyją! czekają! Najbliższy transport przywiózł mnie do Polski. Do leżącej w gruzach, jak nigdy kochanej Warszawy!

Nie było mojego domu, ale przecież był, tylko tutaj w tym mieście, które z takim trudem, ale i wielką nadzieją budziło się do życia i wszyscy zaczęliśmy je na nowo, z tym zapałem, który kazał nie widzieć owych trudności.

Wtedy wszystko było pierwsze: pierwszy spokojny sen i pierwsza praca. Kazimierz Poreda, ówczesny kierownik artystyczny warszawskiej sceny operowej, zaproponował mi przygotowanie partii Mefista w „Fauście" wkrótce też nadeszło zaproszenie do współpracy z Operą Śląską. To właśnie w jej zespole wystąpiłem po raz pierwszy po wojnie, śpiewając partię Stolnika w „Halce" i z nim związany byłem przez długie lata. Iluż wspaniałych artystów ofiarowało Operze Śląskiej swój talent, ile talentów rozwinęło się w niej dzięki Stefanowi Bellnie-Skupiewskiemu, który obowiązki dyrektora tej placówki umiejętnie łączył ze szlachetną pasją pedagogiczną! Krystyna Szczepańska, Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski, Barbara Bittnerówna, Witold Borkowski — te nazwiska mówią same za siebie. Nazywano nasz zespół „Operą na kółkach"; z Bytomia, który stał się jego siedzibą wyjeżdżaliśmy do wielu miast w Polsce, a premiery sypały się jak z przysłowiowego rękawa. Pełna lista śpiewanych przeze mnie partii byłaby chyba nazbyt długa, wymienię więc tylko kilka: Don Basilio w „Cyruliku sewilskim", Ramfis w „Aidzie", Mefisto w „Fauście", Don Pasquale, Nilakanthe w „Lakme", Kecal w „Sprzedanej narzeczonej" i oczywiście Stolnik w „Halce", Zbigniew w „Strasznym dworze" i Serwacy w „Verbum nobile". Dwutysięczne przedstawienie Opery Śląskiej („Straszny dwór" w premierowej obsadzie) było jej prawdziwym świętem. Nasz kilkuletni już wspólny trud zaowocował bardzo wysokim poziomem tego teatru określanego wtedy mianem najlepszej polskiej sceny operowej. Nagła i zaskakująca wszystkich zmiana dyrekcji, jaka nastąpiła w 1953 nie wyszła Operze Śląskiej na dobre. Moich złych przeczuć nie wzięto pod uwagę i tylko obniżanie poziomu tej świetnej placówki było ich bolesnym dla mnie potwierdzeniem. Czas łagodził nasz żal, a ja znów odnajdywałem w sobie chęć poszerzenia umiejętności warsztatu teatralnego. Podjęte przeze mnie próby reżyserskie (pierwszą była współinscenizacja nowej opery Witolda Rudzińskiego pt. „Janko muzykant") powiodły się całkiem nieźle. Reżyserię „Młodej Gwardii" J. Mejtusa, której polską prapremierę przygotowałem na scenie Opery Bałtyckiej w grudniu 1953 roku, oceniono bardzo wysoko. Przyszły też pierwsze występy zagraniczne. W roku 1954 śpiewałem w Pradze, Libercu i Pilźnie. Pracowałem bez wytchnienia. Wielkie święto dziesięciolecia Opery Śląskiej uczczono wystawieniem „Halki" w mojej reżyserii.

Doświadczenia zdobyte w tym wielce dziś zasłużonym dla kultury polskiej teatrze były niezwykle cenne i przydatne w dalszej działalności artystycznej, którą po latach pracy w Bytomiu kontynuowałem na scenie Państwowej Opery im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu.

Poznań powitałem opracowaną już przeze mnie wcześniej partią Borysa Godunowa, wykonywaną później, między innymi, podczas gościnnych występów w Moskwie. Potem doszła rola Halickiego w „Kniaziu Igorze", partia Kacpra w „Wolnym strzelcu", króla Zygmunta Augusta, w „Buncie żaków", Dalanda w „Holendrze Tułaczu", Chorążego w „Hrabinie" i starego Stieliny w „Krutniawie". Coraz częściej i coraz chętniej poświęcałem się też reżyserii która zawsze interesowała mnie tym bardziej, że dość wcześnie wyrobiłem w sobie pogląd, iż opera powinna być także dobrym teatrem. Mistrzostwo wokalne winno się tu organicznie wręcz łączyć z najwyższym poziomem dramatycznego wyrazu aktorskiego, a praca nad osiągnięciem tej spójności była dla mnie czymś niezwykle pasjonującym i — jeśli wolno nieskromnie odwołać się do wysoko oceniających moją działalność inscenizatorską recenzji reżyserowanych przeze mnie spektakli — przynosiła zawsze ciekawe rezultaty artystyczne, te zaś — co tu ukrywać — wysokie uznanie krytyki i publiczności.

Poznań odwzajemniał mi szczerą sympatię, ale dusza wagabundy i pewne upodobanie do „nieznanego" sprawiły, że przyjąłem propozycję objęcia stanowiska kierownika artystycznego Opery Łódzkiej. Pożegnawszy się Borysem Godunowem i reżyserowanym przez siebie przedstawieniem „Rigoletta" z Poznaniem, w którym przeżyłem niejedno wzruszenie oraz wysłuchawszy słów dyrektora Zdzisława Górzyńskiego, który pożegnał mnie mówiąc: „Idź i Łódź się, bracie", wyruszyłem do owego.. nigdy nie nęcącego mnie miasta. Być może decyzję tę podyktował mi nie bardzo jeszcze wtedy uświadamiany sobie przeze mnie dług wdzięczności, jaki miałem wobec publiczności łódzkiej, która tak gorąco oklaskiwała znacznie wcześniejsze, gościnne występy Opery Śląskiej, z którą śpiewałem tu niejednokrotnie.

Najważniejszy, a przy tym — jak sądzę — najdoskonalszy artystycznie i najdłuższy, bo już wkrótce dwudziestoletni, etap mojej pracy, ów flirt z Łodzią, który szybko przerodził się w trwałe, gorące uczucie, rozpoczął się 1 września 1960 roku.

Temu fragmentowi mojego 35-lecia, które dziś analizuję z pozycji człowieka nazbyt wcześnie chyba zażywającego „zasłużonego odpoczynku", jeśli wziąć pod uwagę siły, jakich łaskawy los ciągle jeszcze mi użycza, nadaję miano najbardziej znaczącego w całym moim życiu.

Przed łódzką sceną operową piętrzyły się trudności, ale cóż bez ich pokonywania warta byłaby nasza praca. Zakasałem więc rękawy i wraz z pełnym zapału, młodym zespołem solistów i chóru przystąpiłem do niełatwego dzieła ugruntowania pozycji opery łódzkiej w kraju. Włodzimierz Ormicki i Mieczysław Wojciechowski zajęli się stroną muzyczną, Feliks Parnell — baletem, a ja reżyserią „Fausta", którego premiera odbyła się 28 listopada 1960 roku. Gorące przyjęcie tego spektaklu utwierdziło nas w przekonaniu, że obraliśmy właściwą drogę, a ja sam zobaczyłem w nim spełnienie cząstki moich marzeń.

Warunkom naszej pracy daleko było do tych, jakie dziś stwarza wspaniały gmach Teatru Wielkiego. Wtedy marzyliśmy tylko o nich, niecierpliwie wyglądając końca budowy. Nie można było jednak tylko czekać, widzowie żądali nowych przedstawień, a znacznie wcześniejsze od udostępnienia całego teatru przekazanie nam w styczniu 1961 roku jego zaplecza dodało nam nowych sił. Jeszcze na scenie Teatru im. Jaracza wystawiliśmy „Casanovę" Różyckiego, ale próby baletu „Fontanna Bachczyseraju" odbywały się już w nowym gmachu, który tak nas zachwycał, że pragnąc najdłużej zachować jego świeżość, dla całego zespołu zakupiliśmy „papcie", by owe wspaniałe podłogi i posadzki wciąż błyszczały i lśniły czystością. Nadanie nam nazwy „Teatru Wielkiego" całemu zespołowi dodało skrzydeł. Stworzyliśmy własną orkiestrę (do tej pory grała dla nas orkiestra Filharmonii Łódzkiej), Feliks Parnell rozbudowywał zespół baletowy, a Mieczysław Rymarczyk powiększał doskonały chór. Nasz zespół wzbogacił się o nowych solistów: Ewelinę Kwaśniewską, Eugeniusza Nizioła i świetnie zapowiadającą się Delfinę Ambroziak. Wkrótce też ówczesne władze miasta podjęły decyzję powierzenia mi dyrekcji teatru, o co, dalibóg, nigdy nie zabiegałem, pochłonięty wyłącznie sprawami artystycznymi, decyzję tę przedstawiono mi jednak jako nieodwołalną, więc przyjąłem ją czując się wobec miasta zobowiązany, tylko zdziwiła mnie nieco opublikowana w czasie mego urlopu, wiadomość o mojej rzekomej rezygnacji ze stanowiska kierownika artystycznego.

No cóż, bywa i tak, pomyślałem sobie i wytrwale pracowałem nadal. Po premierze „Casanovy" i zrealizowanej już ze znanym mi z lat okupacji Zygmuntem Latoszewskim, a planowanej wcześniej „Lakme", odbyły się (wciąż jeszcze na scenie Teatru im. Jaracza i Teatru Nowego) następne premiery w mojej reżyserii: „Rycerskość wieśniacza", „Don Juan", „Verbum nobile", „Legenda Bałtyku" i „Janek". Najważniejszy dzień był jednak przed nami, a gdy nadszedł — radości nie było końca. Otwarcie Teatru Wielkiego. Powierzona mi reżyseria („Strasznego dworu") i udział w inauguracyjnych spektaklach (książę Halicki w „Kniaziu Igorze" i Stolnik w „Halce") dały mi niepowtarzalną satysfakcję i wyjątkową radość z wykonywanej pracy. Swoich emocji i przeżyć z uroczystej inauguracji nie potrafię nawet opisać. Powiem tylko, że było to wielkie, wspaniałe święto. „O mościwi mi panowie, w istnej błąka alteracji moich dzięków przedsięwzięcie, że was tylu w tym momencie rzuca splendor na mój domek" — jakże byłem wzruszony śpiewając te słowa w partii Stolnika w pamiętnej dla wszystkich łodzian „Halce", której premiera otwierająca uroczyście działalność Teatru Wielkiego odbyła się 19 stycznia 1967. To już nie „metaforyczne", ale prawdziwe łzy kręciły się w oku.

Następna fala bardzo osobistego wzruszenia ogarnęła mnie niebawem, gdy w 1968 roku mogłem pokłonić się publiczności obchodząc jubileusz czterdziestolecia pracy artystycznej (partia Johanna Schultza w „Romansie gdańskim" Tadeusza Paciorkiewicza). Klimat, jaki nadano uroczystości jubileuszowej, na zawsze zachowam we wdzięcznej pamięci. Rok później zostałem odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy, a wcześniej — Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim i innymi odznaczeniami.

Dalszymi latami nie mniej intensywnej pracy starałem się wyrazić swą wdzięczność za uznanie, którego tak wielkie dowody okazano mi wtedy. Przyszły więc: trudna zarówno wokalnie jak i aktorsko partia Kuflika w „Tragedyi albo rzeczy o Janie i Herodzie", rola Mefista w reżyserowanym przeze mnie „Fauście", Osmina w „Uprowadzeniu z Seraju", Jowisza w „Orfeuszu w piekle" i Begera w „Białowłosej". Reżyserowałem też „Madame Butterfly", śpiewałem trudną wokalnie partię Roberta w reżyserowanym przez Kazimierza Dejmka „Henryku VI na łowach". Wiele wrażeń przynosiły coraz częstsze występy zagraniczne, podczas których staraliśmy się godnie reprezentować kulturę polską.

Działalność reżyserska pochłaniała mnie w coraz większym stopniu. Ciągłe dyskusje i sygnały o rzekomym kryzysie opery skłaniały do poszukiwań nowych form i rozwiązań inscenizacyjnych. Proponowaliśmy więc widzom (i w procesie tym mam swój bardzo satysfakcjonujący mnie udział) nowe sposoby widowisk operowych organizując przedstawienia plenerowe, których efekty okazały się znakomite. Reżyserowany przeze mnie „Straszny dwór" w murach uniejowskiego zamku i przedstawiony w tej samej scenerii „Faust" spotkały się z olbrzymim aplauzem publiczności. Nasze przedstawienia podobały się nie tylko łódzkim i polskim widzom. Oklaskiwaną je także w Związku Radzieckim, Czechosłowacji, Finlandii, Jugosławii, Grecji i Republice Federalnej Niemiec. Fakt posiadania własnego udziału w krajowych i zagranicznych sukcesach teatru dawał mi zawsze wielką radość. Dziś zaś, gdy los (i nie tylko los) dość brutalnie odsunęły mnie od czynnej pracy w Teatrze Wielkim, tej dawnej radości odpowiada przyjemność kształcenia nowego pokolenia artystów pozostających w służbie Polihymni. Młodzi ludzie chętnie korzystają z moich, zdobytych w ciągu pięćdziesięciu lat pracy, doświadczeń, a ja staram się nauczyć ich wszystkiego co umiem, co wiem o tej trudnej dziedzinie sztuki, którą sobie wybrali, tak jak ja uczyniłem to pół wieku temu. W roku 1978 Minister Kultury i Sztuki przyznał mi nagrodę za osiągnięcia w działalności dydaktyczno-wychowawczej, którą uprawiam od lat w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, gdzie zajmowałem stanowisko docenta. Wcześniej, w 1977 roku, zostałem laureatem Nagrody Miasta Łodzi. Nagrody te są dla mnie źródłem wielkiej satysfakcji, którą przynoszą mi także spotykające mnie nadal wyrazy uznania moich niedawnych widzów. One także łagodzą dojmujący ból, jaki mnie i Teatrowi Wielkiemu przez niedawny, krótki okres czasu zadawano, chcąc przekreślić wszystko, co z takim trudem budowaliśmy, a czyniąc to w imię nowych, sobie tylko wiadomych wartości, które okazały się znacznie mniejsze, niżby to wynikało z „zapowiedzi repertuarowych". Czas łagodzi rany, robi to szybko i skutecznie. Mam więc nadzieję, że Teatr Wielki zabłyśnie znów pełnym blaskiem. W moim trzydziestopięcioleciu ma on szczególne miejsce.

* * *

Moje trzydziestopięciolecie to piękna, pasjonująca przygoda. Szczęśliwe, twórcze lata. Bogate i dla mnie bardzo ciekawe życie. Rozpoczęło się wigilijną kolędą w miejscu i okolicznościach, z których nic nie wskazywało, że od nich liczyć będę owe dobre dni. Tę kolędę śpiewam teraz z moim wnuczkiem. Obchodził niedawno swoje piętnastolecie.

WARSZAWA — AKT PIERWSZY

8 września 1939 roku o godzinie 17.20 od strony Okęcia pojawiły się niemieckie lekkie czołgi. Wojsko polskie powitało je ogniem działek przeciwpancernych. Tak rozpoczęło się oblężenie Warszawy.

Niemcy sądzili początkowo, że Warszawa będzie miastem otwartym. Dowódca 4 Dywizji Pancernej, której lekkie czołgi 8 września 1939 roku podeszły pod Warszawę, generał Georg Hans Reinhardt tak pisał:

„Niezwykłe napięcie panowało w dywizji. We wszystkich oczach panowała dumna radość przeżycia doniosłej chwili wkroczenia do stolicy nieprzyjaciela już w ósmym dniu wojny. Bez rozkazu załogi ozdobiły swe pojazdy rozpoznawczymi chorągiewkami ze swastyką. Nikt nie myślał o poważnej walce. Wielu widziało się już w hotelach i najlepszych kwaterach panami miasta."

Warszawa była pierwszą stolicą nieprzyjaciela zdobywaną w czasie działań wojennych. Do tej pory niemieckie wojska opanowały dwie stolice, gdzie witano ich niemal entuzjastycznie, choć nie wszyscy tak czynili. Była to Praga i Wiedeń. Później wkraczali bez strzału do wielu innych stolic, które ogłoszono miastami otwartymi.

„Tymczasem wyszło inaczej — przyznaje gen. G. H. Reinhardt. — **Silnie broniona barykada na ulicy Grójeckiej zamknęła drogę naszym czołowym czołgom."**

Tak zaczęła się obrona Warszawy w 1939 roku. Tak zaczęło się jej zdobywanie.

W szturmach na Warszawę we wrześniu 1939 roku brało udział: 72 bataliony wojsk różnych specjalności, 99 baterii artylerii lekkiej, 111 — ciężkiej, 3 — najcięższej i 300 samolotów. Po stronie polskiej Warszawy broniło: 43 bataliony różnych broni, 31 baterii artylerii lekkiej, 22 — ciężkiej.

Niemcy każdego dnia oblężenia — jak podaje to w swojej książce **„Obrona Warszawy wrzesień 1939 r." Marian Porwit** — wystrzeliwali na Warszawę przeszło tysiąc ton amunicji. Podaje on również, że 25 września 1939 roku Niemcy zrzucili na Warszawę kilkaset ton bomb.

27 września 1939 roku dowództwo Obrony Warszawy stwierdziło w ostatnim komunikacie wojennym:

„Mimo ogromu nieszczęść duch ludności jest nieugięty. Broniący Warszawy żołnierz nie chce opuścić swych stanowisk."

Rokowania z oblegającymi podjęto **26 września 1939 roku,** ale wtedy Niemcy domagali się bezwarunkowej kapitulacji. Tego dnia i następującej po nim nocy oblężeni kilku kontratakami zadali Niemcom poważne straty, co wpłynęło zdecydowanie na ich stanowisko. Była to już kapitulacja honorowa. Niemcy mogli wkroczyć do Warszawy. Jej obrońcy poszli do niewoli. Ale Warszawa nie poddała się. Zakończył się tylko pierwszy akt jej walki z okupantem. Rozpoczęto organizowanie podziemia zbrojnego. Rozpoczęła się uparta, wytrwała walka podjazdowa z okupantem. I trwała ona mimo wielu ofiar, mimo terroru, aż w sierpniu 1944 roku lud Warszawy jeszcze raz zerwał się do decydującej walki z hitlerowskim okupantem.

Kiedy upadło powstanie Hitler kazał wymazać Warszawę z mapy Europy. Miała ona być znakiem geograficznym, pustym polem. Dziś żyje i pięknieje, czcząc pamięć tych, którzy walczyli o jej wolność i za nią oddali swe życie.

(LW)

Z PRASY

o Wszystkie rządy przechodzą przez określone etapy. Z początku przeważa wyolbrzymione uczucie radosnego uniesienia, poczucie siły, a nawet wyższość z powodu zwycięstwa odniesionego w wyborach parlamentarnych. Później następuje okres wątpliwości, kiedy problemy którymi powinien zajmować się rząd zaczynają być trudne do rozwiązania.

Rząd Margaret Thatcher wciąż jeszcze znajduje się na pierwszym etapie. Ale świadczyłoby o braku rozsądku zaprzeczanie, że mogą nastać bardzo trudne czasy. Czym nie byłyby one konkretnie wywołane, w pewnym momencie konserwatyści, przynajmniej w ciągu jakiegoś okresu czasu, będą bardzo niepopularnymi w rządzie.

W problemach ekonomicznych M. Thatcher kieruje swoją partią orientując się na jej prawe skrzydło. Zwrotnym punktem w losie rządu może się stać problem inflacji lub bezrobocia, względnie jakiś inny nieprzewidziany czynnik. Niezadowolenie może także objąć frakcję parlamentarną partii konserwatywnej. Właśnie zrozumienie charakteru tego politycznego cyklu zmusza ludzi do pytania: jak będzie funkcjonować M. Thatcher, kiedy zaczną się trudności?

„FINANCIAL TIMES" — LONDYN

o Generał-major Bundeswehry, Gerd Bastian, znów surowo ocenił antyradzieckie wymysły, które nadal rozpowszechniają niektórzy polityczni działacze oraz organa prasowe RFN i poddał krytyce nieokiełznany antykomunizm, ostrzegając przed niebezpiecznymi następstwami tej działalności. Już wiosną tego roku Bastian wywołał wściekłe oburzenie sił prawicowych i kompleksu wojskowo-przemysłowego, występując otwarcie przeciwko łańcuchowej reakcji mitu o „sowieckim zagrożeniu" i oświadczył, że wojskowe wysiłki Związku Radzieckiego noszą charakter obronny.

Teraz generał Bundeswehry, dowódca 12 dywizji pancernej w Dolnej Saksonii, napisał książkę pt. „Zabójcy w mundurach", która traktuje o przestępstwach reżimu nazistowskiego. Poprzedził ją wstępem, w którym bez ogródek osądza antykomunistyczne manewry, przestrzegając przed odrodzeniem się nazizmu. Bastian mówi o celach, które przyświecały hitlerowskiemu Wehrmachtowi i o dokonanych przez niego przestępstwach.

Przechodząc logicznie do współczesności, generał ostrzega przed odrodzeniem się nazistowskiej ideologii w RFN, a przede wszystkim w Bundeswehrze, jak również przed rosnącą gotowością do „podporządkowania się silnej indywidualności".

Jak podkreślała gazeta „Nürnberger Nachrichten", wypowiedzi generała Bastiana świadczą o tym, że w odróżnieniu od innych wojskowych, „wyciągnął on właściwe wnioski z lekcji, jaką dali Niemcom naziści".

„WARHEIT" — ZACHODNI BERLIN

HONGKONG—KOLONIA „NA WYLOCIE"

Hongkong — chińska nazwa: Sjangkang, od dawna był jedną z najważniejszych twierdz brytyjskiego kolonializmu w Południowo-wschodniej Azji. Dziś jest bardziej chiński niż angielski. Rząd Wielkiej Brytanii uznał nawet za stosowne nie podnosić więcej sprawy kolonialnego statusu swojej ostatniej posiadłości na Dalekim Wschodzie. Co więcej, zabronił ostatnio brytyjskim służbom informacyjnym używania słowa „kolonia" w odniesieniu do Hongkongu.

Hongkong w planach Chińskiej Republiki Ludowej odgrywa ogromną rolę. Nie przypadkiem ChRL nazywa tą brytyjską kolonię „chińskim terytorium pozostającym czasowo pod administracją brytyjską". Zdaniem oficjalnych przedstawicieli Zjednoczonego Królestwa stosunki między tą kolonią z 4 i pół milionową ludnością i jej niepokojącym, potężnym sąsiadem nigdy jeszcze nie były tak bliskie i serdeczne, jak obecnie. Od burzliwych wydarzeń 1967 roku, kiedy to za sprawą maoistów zawrzało także na ulicach Hongkongu, wiele się zmieniło. Pekin doszedł do wniosku, że ta kapitalistyczna ścieżka u progu Chin może się okazać pożyteczna również dla stosunków ChRL z Zachodem. Okazja do zamanifestowania dobrych intencji nadarzyła się Chinom w 1973 roku, kiedy arabskie kraje wydobywające ropę naftową wprowadziły embargo na dostawy nafty. Chiny skierowały wtedy do Hongkongu tankowce z paliwem do silników Diesla i inne produkty naftowe. Także brak wody skompensowano dostawami z ChRL.

Chińscy przywódcy uważają, i nie bez podstaw, że Hongkong jest dla Chin o wiele bardziej przydatny jako wolny port, niżby należał do ChRL. W Pekinie i Londynie doskonale wiedzą, że Chiny mogą się rozprawić z brytyjskim panowaniem kolonialnym w Hongkongu jednym pociągnięciem. Ale tego nie robią. Anglicy starają się oczywiście stwarzać pozory, że w kwestii zarządzania w Hongkongu nie prowadzą z Pekinem żadnych konsultacji. Tymczasem ukształtował się już cały system nieoficjalnych kontaktów trzymanych w tajemnicy przez obie strony. Hongkong jest nie tylko ważnym handlowym partnerem Chin, lecz także politycznym oknem na Południowo-wschodnią Azję i świat kapitalistyczny. Ponad 20 milionów Chińczyków rozsianych po różnych krajach Azji z reguły pozostaje w ścisłych kontaktach rodzinnych lub handlowych z mieszkańcami Hongkongu. W ten sposób ta brytyjska kolonia jest ważnym terenem realizacji politycznych planów ChRL.

Anglicy są bardzo zaniepokojeni tym, co może nastąpić po 1997 roku, kiedy upłynie 99-letni termin dzierżawy Hongkongu, zgodnie z porozumieniem z 1898 roku, zawartym między Wielką Brytania i Chinami. „Po „wojnie opiumowej" wyspę Hongkong zajęli Anglicy z prawem wieczystego władania. W 1860 roku dołączono do niej jeszcze „kawałeczek" półwyspu Koulun i szereg pobliskich małych wysepek. Ale podstawową część terytorium obecnego Hongkongu zaanektowały władze brytyjskie na podstawie tzw. dzierżawnego porozumienia o Nowych Terytoriach. Bez tych wydzierżawionych ziem kolonia straciłaby swoją zdolność do egzystencji.

W czasie pobytu biznesmenów z Hongkongu w Chinach, władze pekińskie niejednokrotnie zapewniały ich, że nie zamierzają podejmować jakichkolwiek kroków w celu zmiany statusu Hongkongu. Chińczycy ani razu nie wspomnieli o wygaśnięciu terminu dzierżawy, stwarzając tym samym atmosferę, być może, nie całkiem usprawiedliwionego optymizmu i nadziei na to, że 1997 rok nie przyniesie przykrych niespodzianek. Chiny nie życzą sobie takich zmian w strukturze zarządzania czy też w politycznej orientacji Hongkongu, które by mogły spowodować wykrystalizowanie się w kolonii dążeń do stworzenia niezawisłego miasta-państwa. Określenie „polityka realna" oznacza w rzeczywistości, że angielski gubernator będzie miał swobodę działania w Hongkongu dopóty tylko, dopóki jego zarządzenia nie zaczną godzić w żywotne interesy strony chińskiej.

Na wyspie Czin I, leżącej po zachodniej stronie Zatoki Victorii, prowadzi się pełne rozmachu prace budowlane trzech wielkich obiektów przemysłowych. Wznosi się je w konsekwencji nowej polityki kierownictwa chińskiego. Jej treścią jest nie tylko tolerowanie brytyjskiej kolonii leżącej na brzegu Zatoki Victorii, lecz także przekształcenie wyspy w ośrodek uzupełniający strefę przemysłową tworzoną obecnie w południowych Chinach. Jakie to są obiekty? Przede wszystkim zakłady budowy maszyn, wznoszone kosztem 20 milionów dolarów. Po drugie — warsztaty remontowe (koszt budowy około 30 mln dolarów), w których będzie się remontować i modernizować statki chińskiej floty handlowej. I wreszcie basen portowy, w którym będą cumować zbiornikowce i tankowce. Powstaną tam również wielkie magazyny paliw płynnych. Te ostatnie są kluczowym elementem planu gospodarczego, który zakłada, iż w przeciągu pięciu lat ChRL zawładnie 15-35 procentami miejscowego rynku paliwami do silników Diesla, paliwem lotniczym, naftą i innymi rodzajami produktów naftowych.

Opracowuje się plany wybudowania tutaj również zakładów przemysłowych, przerabiających surowce dostarczane z Chin. W sąsiedniej chińskiej prowincji Huandun stworzy się specjalne strefy eksportowo-importowe z wykorzystaniem zagranicznych inwestycji oraz siły roboczej i materiałów z ChRL. Chińskie inwestycje w Hongkongu lokują się w przeróżnych dziedzinach gospodarki. Ostatnio na przykład w handlowej dzielnicy miasta chińscy agenci handlowi zakupili wiele nowoczesnych gmachów. Latem ubiegłego roku otwarto w Hongkongu nowy, wielki dom handlowy firmy „China Products Corporation", który z miejsca rozpoczął walkę konkurencyjną z dwoma domami handlowymi należącymi do kompanii japońskich.

Głównym koordynatorem inwestycyjnej i handlowej ofensywy Chin w Hongkongu, jak podaje „International Herald Tribune" w wydaniu paryskim, jest organizacja „China Resources Corporation", której ośrodek kierowniczy mieści się w tym samym gmachu, w którym znajduje się Bank Chiński. Oblicza się, że tylko bieżące chińskie inwestycje i transakcje nieruchomościami wyniosą w tym roku ponad 200 milionów dolarów. Oficjalnie, tym coraz bardziej rozrastającym się programem przyciągania chińskich kapitałów kieruje zarejestrowana w Hongkongu „Kiu Kwon Corporation", której akcje trzyma w ręku czterech chińskich biznesmenów, z których dwóch mieszka w Pekinie.

W ciągu pierwszych kilku miesięcy tego roku objętość chińskiego eksportu do Hongkongu wzrosła o 29 proc. Chiny, które bardzo szybko rozszerzają kontakty handlowe z Zachodem, eksportują przez tę brytyjską kolonię tkaniny, gotową odzież, produkty spożywcze, sprzęt techniczny i inne. Od stycznia 1979 roku morski transport Chin do Hongkongu wzrósł prawie o 25 procent, co stanowi wartość około 980 milionów dolarów. Do 1985 roku, jak przewidują ekonomiści, eksport chiński stanowić będzie co najmniej 45 procent ogólnego bilansu handlu zagranicznego Hongkongu. Właśnie przez Hongkong przechodzi ponad 70 proc. chińskiego eksportu przewożonego statkami ChRL. Interesujący szczegół: na masztach chińskich statków, zakotwiczonych w Zatoce Hongkongu, łopocą brytyjskie flagi.

Według najskromniejszych obliczeń, Hongkong codziennie „wstrzykuje" Chinom około 2 milionów dolarów. Handlując z Zachodem i umacniając swoje pozycje na rynkach towarów konsumpcyjnych, na których Hongkong zawsze prowadził nieprzejednaną walkę z konkurentami, Chiny coraz bardziej podporządkowują sobie tę brytyjską kolonię. Będzie ona zawsze odgrywać ważną rolę wygodnego miejsca dyskretnych kontaktów handlowych Chin z określonymi kołami Zachodu.

Rola, jaką odgrywa Hongkong w polityce Chin, zmienia się w miarę kształtowania się koncepcji polityki ekonomicznej rządu ChRL. Niegdyś obiecujący dostawca zagranicznej waluty i „okno" na Zachód, dziś Hongkong przekształca się coraz bardziej w kanał, którym płynie do Chin współczesna technologia, doświadczenia naukowego kierowania produkcją i oczywiście zagraniczne kapitały. Zdaniem miejscowych obserwatorów politycznych, jak również wielu prawników i ekonomistów zatrudnionych w korporacjach w miastach: Victoria i Koulun, Hongkong jest teraz nie tylko chińskim „przedmieściem", lecz także źródłem finansowania programu ekonomicznej modernizacji ChRL. Ale uważają też, że nikt nie jest w stanie przewidzieć rozwoju wydarzeń w 1997 roku, kiedy formalnie wszystkie porozumienia o dzierżawie stracą moc obowiązującą.

JERZY CZECH

Przed setną rocznicą urodzin autora „Szwejka"

U HASZKA W LIPNICY

Byłem tu przed trzema laty. W górującym nad doliną Sazavy potężnym zamczysku, rozpoczynały się dopiero prace konserwatorskie, zaś w gospodzie „Pod Hradem" przesiadywał jeszcze Kliment Stepanek — ostatni z przyjaciół wielkiego pisarza. Przesiadywał tu, bo w gospodzie „Pod Złotą Koroną", tradycyjnym miejscu spotkań Haszka z lipnickimi przyjaciółmi, mieścił się sklep z artykułami chemicznymi, a ze starego lokalu nie ocalało nic, prócz ustnej tradycji, że to właśnie tu...

Kliment Stepanek już nie żyje — zmarł 2 i pół roku temu. Do przyjaźni z Haszkiem nadal przyznaje się sporo starszych osób — mówi sekretarz lipnickiej Rady Narodowej, Franciszek Žateczka. Ale to nieprawda. Stepanek był ostatni i gdyby pożył jeszcze kilka lat, mógłby na powrót siadywać „Pod Złotą Koroną", pod którą zapraszamy pana już za rok.

Rzeczywiście, w historycznym lokalu trwa „totalny" remont, restauracyjka urządzona będzie w stylu, jaki obowiązywał na przełomie wieków, z odtworzeniem wszystkich szczegółów z czasów, gdy pan Jarosław ładował do swej książki świeżo zasłyszane dowcipy. Potem, gdy choroba sprawiła, że nie mógł utrzymać w ręce pióra, dyktował swego „Szwejka" specjalnie wynajętemu kanceliście.

Rękopisy słynnej powieści i innych utworów Haszka znajdą się już za kilka lat w odrestaurowanych salach lipnickiego zamku, obok innych dokumentów i fotografii, przekazanych przez praskie Muzeum Literatury. Autorem scenariusza ekspozycji będzie znany badacz twórczości Haszka, dr Radko Pytlik, który napisał głośną, wydaną niedawno i u nas książkę „Wieczny włóczęga — Jarosław Haszek".

Dr Pytlik przyjeżdża tu bardzo często, zwłaszcza teraz, gdy rozpoczęły się przygotowania do jubileuszu — mówią pracownicy Muzeum Haszka, mieszczącego się w skromnym lipnickim domu u stóp zamku. Niedawno przywiózł ze sobą z Pragi 68-letniego syna pisarza. Wypytywaliśmy go o szczegóły z życia ojca, ale nie pamięta nic lub prawie nic, czemu trudno się dziwić, gdyż prawie go nie znał...

Na kocim bruku rynku w Lipnicy drzemie sobotnie południe; z dwóch autokarów z Brna wysypują się wycieczki. Rokrocznie przyjeżdża do nas przeszło 20 tys. turystów — mówi sekretarz Miejskiej Rady. Niestety, Polaków jest wśród nich niewielu — czasem zabłądzi tu od Havliczkowego Brodu, indywidualny wielbiciel Szwejka, który słyszał i o Lipnicy i o działającym w Pradze Klubie Przyjaciół Haszka, któremu przewodzi oczywiście Radko Pytlik.

Klub ma agendy w wielu, nie tylko czechosłowackich miastach, w Polsce również, jednak siedziba jego była i pozostanie w Pradze. Lipnica to przecież tylko ostatni epizod w burzliwym życiu autora „Szwejka". Haszek przyjechał tu za namową jednego ze swoich przyjaciół, aby odpocząć i już nigdy nie opuścił Lipnicy. Zmarł 3 stycznia 1923 roku, w wieku zaledwie 40 lat. Pochowano go na miejscowym cmentarzyku, a dopiero w kilka lat później wielbiciele jego talentu postarali się o wzniesienie na tym cmentarzyku większego, murowanego nagrobka.

Na cmentarz lipnicki prowadzi wąska dróżka, pełna kałuż i wybojów. Wkrótce dróżka zniknie, w stronę grobu Haszka wieść będzie porządny asfaltowy chodnik. Wraz ze ścieżką zniknie cały cmentarzyk, przeniesiony w inne miejsce. Na starym miejscu pozostanie tylko otoczony wysokimi, specjalnie zasadzonymi drzewami, grobowiec wielkiego pisarza. Idea maksymalnego wyeksponowania autora „Szwejka" jest zrozumiała i realizowana konsekwetnie — przecież sama Lipnica nazywa się już od dawna „Haszkovą Lipnicą", a festiwale jego imienia — wielkie imprezy humoru i satyry, odbywają się tu od 21 lat. XXV festiwal przypadnie właśnie w roku 1983, stając się najważniejszym punktem jubileuszowych obchodów. Przy drodze wiodącej do domku pisarza stanie też jego popiersie, a w starych murach wiekowej twierdzy zamkowej otwarte zostanie muzeum czechosłowackiej satyry i humoru. (PAP)

LESZEK MAZAN

KRONIKA TYGODNIA

Wizyta w Polsce premiera Holandii — Andreasa A.M. van Agta oraz wyjazd z wizytą przewodniczącego Rady Państwa PRL — Henryka Jabłońskiego do Belgii przypominają nam **o roli, jaką we współczesnym świecie w walce o odprężenie i stworzenie podstaw trwałego pokoju odgrywają także liczebnie i terytorialnie małe państwa.** I Holandia i Belgia zajmują w sprawie rozwoju procesu odprężenia jednoznaczne stanowisko, opowiadają się za nim. Rozszerzają też stosunki dwustronne z państwami wspólnoty socjalistycznej. Wspólny komunikat polsko-holenderski **w znacznej części wypełniony jest uzgodnieniami gospodarczymi.** Oto przykłady W toku warszawskich rozmów strona polska przedstawiła ogólne założenia kompleksowego programu „Wisła", wskazując na możliwości w tym zakresie współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Uzgodnioną w związku z tym, że właściwe organizacje i przedsiębiorstwa zostaną poproszone do określenia jej warunków i zakresu. Obaj premierzy ustalili też szczególne dziedziny współpracy: rolnictwo, przemysł spożywczy i elektroniczny. Przedyskutowano sprawę transportu i usług morskich w relacji Polska — Holandia. Przypisano dużą rolę intensyfikacji współpracy między małymi i średnimi przedsiębiorstwami obu krajów. Zawarto umowę o zapobieganiu podwójnemu opodatkowaniu oraz podpisano protokoły dotyczące wejścia w życie konwencji o współpracy w dziedzinie weterynarii i umowy fito-sanitarnej.

Jak z tych licznych przykładów wynika — **współpraca ma konkretny charakter** i w oparciu o wspólne postanowienia **jest możliwa dalsza intensyfikacja dwustronnych stosunków.**

W rozmowach na temat aktualnych zagadnień międzynarodowych premierzy Polski i Holandii podkreślili **znaczenie procesu odprężenia we wszystkich jego aspektach europejskiego bezpieczeństwa i współpracy.** Konieczne jest staranne przygotowanie madryckiego spotkania w 1980 roku sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. Niezbędny jest postęp w dziedzinie rozbrojenia zarówno w odniesieniu do broni nuklearnej jak i konwencjonalnej. Zwrócono uwagę na zagadnienia związane z przyszłoroczną konferencją w sprawie przeglądu stosowania układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. Mówiono o doniosłości układu SALT II dla odprężenia militarnego. Oczywiście, tematem dyskusji były także wiedeńskie rokowania na temat redukcji sił zbrojnych w Europie środkowej, które powinny przynieść konkretne rezultaty.

Mówiono ponadto o roli ONZ, sytuacji na Bliskim Wschodzie oraz aktualnych wydarzeniach w Azji Południowo-Wschodniej i w Afryce.

Żywe są również nasze kontakty z Belgią. Początkiem ich nowego etapu była wizyta w tym kraju pod koniec 1973 roku Edwarda Gierka. Kiedy w półtora roku później gościł w Polsce premier Belgii — mógł powiedzieć: „Gdyby wszystkie rozmowy międzynarodowe przebiegały w tak dobrej atmosferze, jak obecne w Warszawie, z pewnością w świecie panowałoby już całkowite odprężenie."

Rozwój w dziedzinie stosunków politycznych przyniósł też **ożywienie na polu współpracy gospodarczej.** Mamy dziesięcioletni układ gospodarczy (obowiązujący do 1983 roku), działa mieszana komisja, której celem jest inicjowanie rozwoju kontaktów w dziedzinie przemysłowej i naukowo-technicznej. Ważną funkcję spełnia ponadto wymiana kulturalna.

Trwająca w Belgii wizyta przewodniczącego H. Jabłońskiego z pewnością przyniesie określenie możliwości dalszego pogłębienia dwustronnych stosunków i posłuży przedyskutowaniu najważniejszych aktualnych problemów międzynarodowych.

Poprzedni i bieżący tydzień mijają więc pod znakiem ważnych rozmów, które jednocześnie dają świadectwo naszej aktywności międzynarodowej i rozległości stosunków Polski.

A teraz poświęćmy jeszcze nieco miejsca **rozpoczętej właśnie XXXIV sesji ONZ.**

Przewodniczącym Zgromadzenia Ogólnego NZ został ambasador Tanzanii — S.A. Salim, pierwszy czarny przewodniczący od 10 lat, a liczba członków Organizacji wzrosła do 152 przez przyjęcie państewka Saint Lucia.

Na porządku dziennym, jak zazwyczaj ponad stupunktowym, znajdują się najważniejsze problemy międzynarodowe, a wśród nich przede wszystkim: rozbrojenie, światowa sytuacja gospodarcza, zagadnienie bliskowschodnie...

Komentatorzy zachodni piszą, że **tegoroczna sesja będzie trudną.** Rzeczywiście niektóre tematy mogą wywoływać kontrowersje. Zaczęło się zresztą od sprawy reprezentacji narodu Kampuczy. Chociaż reżim Pol Pota przestał istnieć na początku roku, w ONZ są nadal jego przedstawiciele. Dyskusja, jaka wywiązała się zaraz po otwarciu sesji, została przerwana skierowaniem sprawy do Komitetu Akredytacyjnego, aby nie blokować obrad. Nie zmienia to faktu, że na sali siedzą dyplomaci nikogo już nie reprezentujący.

W. SŁAWSKI

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

NA DYSTANS

Na przystanek przy zbiegu Zielonej i Żeromskiego podjechała „trzynastka". Wysoki barczysty mężczyzna spostrzega tramwaj. Od przystanku dzieli go nie więcej, niż pięćdziesiąt metrów. Ludzie wsiadają do wagonów. Motorniczy musi czekać na zmianę świateł. Mężczyzna zrywa się do biegu. Szybko pokonał kilka metrów i rezygnuje z próby dogonienia tramwaju. Jeszcze rok temu biegłby dalej. Jeszcze pół roku temu pokonanie tego dystansu nie sprawiłoby mu trudności. Teraz nie chce ryzykować. Teraz ten kawałek betonowej drogi, po której od przeszło trzydziestu lat doganiał stojące na przystanku tramwaje, wymaga już wysiłku, który odczuwa „co pół roku jest gorzej, wiem o tym i dlatego się oszczędzam" — mówi, świadomy nieuchronności skutków czasu, który odbiera siły nawet najmocniejszym.

Dlatego ostatnio przestał jeździć z drużyną. Czasu ma sporo, bo jest na emeryturze. Taki wyjazd na mecz byłby jakąś rozrywką, ale on woli zostać w domu. Czasem go ciągnie, chciałby pojechać z chłopcami z Widzewa, weszli do pierwszej ligi, przydałoby się im pomóc, wesprzeć młodych swoim doświadczeniem, życzliwą radą, ale cóż robić, gdy podróże go męczą. A poza tym nerwy. Niejeden raz widział, gdy takich jak on, kibiców po sześćdziesiątce, karetka pogotowia zabierała z hali. Młodszy od niego o dwadzieścia lat Włodek Tomaszewski, trener Widzewa, opłacił wejście do ligi blisko półrocznym pobytem w szpitalu.

W swoim życiu dość się najeździł. Zjechał całą Europę. Najlepiej zna Skandynawię. Tylko na Wschodzie nie był. I gdyby chciał jeszcze w życiu gdzieś pojechać, to do Soczi na wypoczynek, albo do Moskwy na Olimpiadę. Gdyby miał taką możliwość, pięciu minut by się nie zastanawiał.

Na razie jeździ tylko niedaleko, na swoją działkę we Wrzącej, do Pałacu Sportowego i na Widzew, do „kiszki", do hali „Wimy" poczciwej drewnianej staruszki, która jeszcze stoi przywołując wspomnienia, a obok której w pawlione walczą pięściarze Widzewa.

W „kiszce", ze względów bezpieczeństwa, nie wolno rozgrywać spotkań z udziałem publiczności. Ale staruszka jeszcze służy bokserom, którzy trenują tu każdego popołudnia Dawniej w latach trzydziestych, gdy zaczynał trenować Pisarski, ćwiczyło się opodal, w piwnicach „Wimy", obecnych Zakładów 1 Maja.

Zaczął w „Sokole". Najpierw, jak każdego młodego chłopaka, ciągnęło go do piłki nożnej. Nawet nieźle mu szło. Namawiali go do „kopanej" nie tylko chłopcy z Wólczańskiej, ale i ówczesny skarbnik ŁKS, p. Feja, który mieszkał w tym samym domu, pod numerem 75, a którego trzech synów grało w ŁKS. Sport dla nich, dla piętnastolatków z Wólczańskiej, Gdańskiej, z Karolewa był wszystkim. Wypełniał im cały wolny po nauce czas. Na pobliskim placu Hallera grali w co się dało. Trenowali wszystkie dyscypliny i ta wszechstronność, zdaniem Pana Józefa, była podstawą jego późniejszych sukcesów. Grał w siatkówkę, koszykówkę, obowiązkowo w szczypiorniaka. Do dziś w rodzinnym albumie przechowuje zdjęcie drużyny ŁKS, która zdobyła mistrzostwo okręgu. Na niewielkiej fotce, wśród stojących w szeregu zawodników, można rozpoznać sylwetkę przyszłego wicemistrza Europy. W „Sokole" pływał, biegał, skakał, grał w ping-ponga. Nawet później, gdy bez reszty poświęcił się pięściarstwu, nie przestał biegać. To był nieodłączny element treningu bokserów. W dorocznym biegu sztafetowym Pabianice — Łódź, długości 12 kilometrów, startowali także bokserzy. Ich ambicją było dorównać lekkoatletom. Każdy z zawodników musiał przebiec 2 kilometry. Pisarski na swoim odcinku nigdy nie tracił dystansu do biegaczy. Lubił biegać, bo jest to sport indywidualny. To głównie zadecydowało, że zaczął uprawiać boks. W piłce nożnej czy w innych grach zespołowych na końcowy rezultat ma wpływ postawa, forma wszystkich kolegów z drużyny. A w boksie wszystko zależy od niego. O wszystkim decyduje się samemu. Na nikogo nie można się oglądać, na nikogo liczyć. Sukces osiągną ci, którzy włożą więcej pracy, są bardziej wytrwali.

Pod koniec lat dwudziestych, na początku trzydziestych przed wejściami do łódzkich kin pojawiły się plakaty ze zdjęciami walczących bokserów. Wyświetlano filmy, których bohaterami byli Dempsey i Carpantier. Patrzyli z plakatów wspaniale zbudowani, waleczni, wzbudzając powszechny zachwyt. Filmy te cieszyły się, zwłaszcza u młodych, niesłabnącym powodzeniem. Pisarski mógł je oglądać bez końca. Zwłaszcza obraz z Carpantierem. Podziwiał tych wspaniałych mężczyzn, nie, niepokonanych championów. A gdyby tak spróbować swoich sił?

Tak trafił na pierwszy trening. Spóźnił się, bo uczył się po południu w szkole zawodowej. Gdy wszedł na salę, wszyscy koledzy, ponad trzydziestu chłopców, było już rozebranych. Instruktor Jan Gryc był surowy. Lubił dyscyplinę i wymagał jej od chłopców. Więc gdy spostrzegł szczupłego chłopaka, który próbował pospiesznie zdjąć ubranie, powiedział krótko:

— Ty możesz się nie rozbierać, z ciebie i tak nic nie będzie.

Pisarski zapamiętał dobrze te słowa. Ubodły go boleśnie. Jeszcze w domu zastanawiał się: Skąd instruktor może wiedzieć, że ze mnie nic nie będzie? Przecież mam 176 cm wzrostu, tyle co Carpantier. Wynajdywał argumenty, chcąc się utwierdzić, że instruktor nie ma racji, że się pomylił.

Zaciął się i postanowił udowodnić mu, że go skrzywdził. I ten upór, złość sprawiły, że trenował jak nikt, zapamiętale. Szybko robił postępy, co go jeszcze bardziej utwierdzało w postanowieniu. Do ćwiczeń ze skakanką trener nie był mu potrzebny. Mógł to robić w domu, na podwórku. U znajomego kowala zamówił specjalne ciężarki, które podnosił w domu, by wyrobić sobie mięśnie. Potem już, gdy miał ręce silniejsze, z ciężarkami tymi ćwiczył walkę z cieniem. Podpatrywał starszych, doświadczonych kolegów, przede wszystkim Seweryniaka, który z chęcią z nim sparował. Ćwiczyli na matach z wielbłądziej wełny. Na takiej macie, chcąc się poruszać, trzeba podskakiwać, „tańczyć", nie można posunąć nogi, gdyż napotyka ona na zbyt duży opór. Z perspektywy lat, w tym Pan Józef upatruje swoją dobrą pracę nóg. A poza tym miał się na kim wzorować.

Niedoścignionym technikiem był wtedy Majchrzycki. Jego zwody, uniki czyniły go nieuchwytnym dla przeciwnika. Już później, gdy Pisarski walczył na ringu, spotkał się z Majchrzyckim. Przez trzy rundy Majchrzycki nie dawał mu się trafić. Pisarskiemu wydawało się, że już dopadł poznaniaka w narożniku, że już zada mu całą serię ciosów, a ten zawsze w niezrozumiały dla niego sposób, zdołał się wywinąć z opresji. Po walce niepocieszony Pisarski prosi kolegów, by mu powiedzieli i pokazali jak Majchrzycki to robi. Na treningu analizowali walkę Majchrzyckiego i wreszcie rozszyfrowali jego sztuczki. Już wiadomo było, że Majchrzycki przy wyjściu z narożnika stosuje krok nożycowy. Przez trzy miesiące ćwiczył Pisarski ten krok, aż go opanował bezbłędnie. Albo inne, mniej lub bardziej dozwolone sztuczki. Chcąc zdeprymować przeciwnika, niektórzy zawodnicy starali się jak najszybciej trafić go w nos tak silnie, by krew pociekła. Można było to zrobić łatwiej, stosując mniej siły, a tylko lekko przekręcając rękawicę w momencie, gdy dotykała nosa przeciwnika. Można też było umiejętnie odgiętym kciukiem naruszyć, wywinąć powiekę przeciwnika. Te wszystkie niedostrzegalne dla obserwatorów walki sztuczki wymagały już nie godzin, a tygodni i miesięcy ćwiczeń. Pisarski znalazł w sobie tyle siły, samozaparcia, by być jednym z trzech, którzy zostali z 35-osobowej grupy, która zaczęła na początku trenować. W tym czasie czesał się jak Carpantier, z przedziałkiem pośrodku i we wszystkim naśladował swego mistrza.

Powoli krystalizował się styl walki Pisarskiego.

Na dystans.

Pisarski najpierw walczył w wadze piórkowej, potem w lekkiej, a następnie w półśredniej. W tej ostatniej wadze w 1933 roku zdobył po raz pierwszy tytuł Mistrza Polski. W tym samym roku zadebiutował w reprezentacji Polski w meczu z Czechosłowacją. Spotkanie odbywało się w Poznaniu w Hali Targowej. Tuż przed wejściem na oficjalną prezentację, stremowany debiutant zdejmował bluzę od dresu. Schylił głowę i chroniąc włosy przed potarganiem uczynił to tak pechowo, że gdy ją wyprostował, z całej siły uderzył o żelazne kręte schody prowadzące na galerkę. Zdążył przykryć ręką krwawiącą ranę, powiedzieć kapitanowi Nałęczowi, prezesowi WOZB, że jest kontuzjowany i osunął się na podłogę. Stracił przytomność. Konsternacja. Kto zastąpi Józka? Wszyscy szukają Arskiego z Warty — Poznań. Powinien być na widowni. Powitanie i prezentacja pięściarzy odbywa się bez Pisarskiego. Widownia już wie o wypadku debiutanta. W tym czasie lekarz opatrzył ranę. Arski już się odnalazł. Ale debiutant nie chce tracić szansy. Pisarski oświadcza, że jest gotów do walki i nie godzi się, by go ktokolwiek zastępował. Z plastrem na głowie wychodzi na ring, by skrzyżować rękawice z Kurtem Starym. Publiczność gotuje debiutantowi owację. Uskrzydlony przyjęciem walczy z polotem i wygrywa pojedynek jednogłośnie. W szatni, napięcie ustępuje, stres, który trzymał zawodnika, mija i Pisarski ponownie traci przytomność.

Ten pierwszy, choć zwycięski pojedynek, był jakby zapowiedzią licznych pechowych kontuzji, które nie opuszczały Pisarskiego.

Zaraz po wojnie, w rewanżowym meczu z Czechosłowacją, w lutym 1946 roku, w pojedynku z Skudrikiem zadaje silny cios z dołu, który Czechosłowak blokuje łokciem.

— Słychać było suchy trzask, jakby ktoś złamał kij od szczotki — wspomina Pisarski. — **Poczułem silny, kłujący ból. Przypomniał mi się pojedynek z Węgrem, Lajosem Szigettim, w grudniu 1933 roku, podczas meczu Warszawa — Budapeszt. Wtedy też po moim ciosie pękła mi kość promieniowa prawej ręki. Tamtą walkę wygrałem, operując do końca rundy tylko lewą ręką.**

W Pradze Feliks Stamm przerwał pojedynek. Do chwili pechowej kontuzji Pisarski prowadził na punkty. W Polsce przyznawano zwycięstwo temu, kto do chwili przerwania walki miał przewagę, był lepszy. W Pradze sędziowie przyznali zwycięstwo Skudrikowi przez t.k.o.

Po tej walce red. Jarosław Niecięcki za pośrednictwem „Dziennika Łódzkiego" zorganizował zbiórkę pieniędzy na kontuzjowanego boksera.

Pisarski, 19 marca 1945 roku, w swoje imieniny powrócił do Łodzi z obozu w Niemczech. Nie miał mieszkania. A gdy je już otrzymał, nie miał mebli, a i na opłacenie lekarza brakowało środków. Ubezpieczalnia Społeczna dopiero zaczynała się organizować. Pieniądze zbierano w łódzkich fabrykach, napływały także datki od indywidualnych ofiarodawców.

Jeszcze niesprawny bokser, z ręką w gipsie, rewanżował się łodzianom szkoleniem najmłodszych. Ukończył kurs instruktorski, który prowadził Tomasz Konarzewski i rozpoczął ćwiczenia z grupą młodzieży w YMCA i ŁKS.

ŁKS miał w tym czasie bardzo silną sekcję bokserską, która w sezonie 1947/48 wywalczyła tytuł Drużynowego Mistrza Polski. Finałowy pojedynek odbywał się na świeżym powietrzu, na boisku, a właściwie lodowisku ŁKS. Przeciwnikiem łodzian był zespół MKS „Gdańsk". Zwyciężyli łodzianie 11:5. Pisarski walczył z Szymankiewiczem. Zawodnikiem szybkim, silnie bijącym z obu rąk. Gdańszczanin wsławił się pokonaniem znanego radzieckiego championa Ogurienkowa. Ale w Łodzi zszedł z ringu pokonany.

To spotkanie, jego niepowtarzalna aura, wielkie emocje, które nie wszyscy kibice wytrzymali, w trakcie walk jeden z kibiców zmarł na atak serca, pozostało w pamięci Józefa Pisarskiego jako jedno z silniejszych przeżyć w karierze sportowej. Ale najczęściej wspomina Dublin, kwiecień roku 1939, Mistrzostwa Europy.

W finale zmierzył się z Estończykiem, Radzikiem. Silny, krępy Estończyk wygrywał większość walk przed czasem. Pisarski boksował czujnie. Cały czas zbierał punkty i kontrolował poczynania przeciwnika. W drugiej rundzie tak nieszczęśliwie postawił nogę, że ześliznęła się z maty i wpadła między listwę okalającą ring, zrywając z nogi naskórek. Kontuzja nie była groźna, ale bardzo bolesna. Do końca rundy przekuśtykał. Pechowy krok pozbawił Pisarskiego jego najgroźniejszej broni. Doskonałej pracy nóg, która pozwalała mu na idealne wyczucie dystansu.

— Bo w boksie najważniejsze — powiada — **to dobra praca nóg. Ręce biją same, automatycznie, tylko je trzeba dobrze podprowadzić nogami.**

W przerwie Stamm rozmasował stłuczoną nogę i już w trzeciej rundzie było znowu dobrze. Sędziowie orzekli jednak, że Radzik był lepszy. Pan Józef do dziś nie jest przekonany czy mieli rację.

Srebrny Puchar, który otrzymał za zdobycie tytułu drugiego pięściarza w Europie w wadze średniej, stoi na biurku pośród innych trofeów sportowych. Na ścianach dyplomy za Mistrzostwa Polski, jest także obraz z podpisami członków polskiej ekipy na Olimpiadzie w Berlinie w roku 1936, której był członkiem. Jest także zdjęcie, na którym Pisarski jest łudząco podobny do Carpantiera. W koszulce sportowej, z obandażowanymi dłońmi, w postawie bokserskiej, z lewą ręką wyciągniętą lekko do przodu, z prawą ochraniającą szczękę. Włosy uczesane w przedziałek pośrodku głowy. Jak jego mistrz, którego chciał naśladować.

— Czy panu to się udało? — pytam.

— Bo ja wiem. Ja teraz na wszystko patrzę inaczej — odpowiada Pan Józef. — **Do wszystkiego trzeba mieć dystans. — Do boksu też.**

Wyścig po latach

Mijają szybko lata młodości i trzeba kończyć sportową karierę. Różne są okoliczności rozstania z bieżnią kolarskim torem, szosą, ringiem, boiskiem. Wielu byłych sportowców zostaje trenerami działaczami sportowymi, wychowawcami młodych. Czasem wyjdą jeszcze na boisko oldboye aby młodym pokazać, jak się niegdyś w piłkę nożną grywało. Piękne to i wzruszające widowiska. Nie w każdej dyscyplinie to możliwe. A niekiedy weteranów sportu bierze chęć, aby znów spróbować swoich sił, swoich umiejętności choć wiedzą, że z młodymi im się już przecież nie można równać. Mimo to chciałoby się przypomnieć sportowej widowni, przypomnieć dawne, wspaniałe lata.

Starzy kolarze są w szczególnej sytuacji. Śledzą kolarskie zmagania w telewizji czytają o tym w prasie Nie mają wiele okazji do spotkań, do powspominania świetnej przeszłości, bo przecież wiele kolarskich imprez dzieje się za granicą, a i krajowe różnie wytyczone mają trasy.

Z takich właśnie przesłanek narodził się piękny projekt zorganizowania w Łodzi „WYŚCIGU 35-LECIA". Pomysł taki powstał wśród grona instruktorów kolarstwa a jego gorącym orędownikiem stał się instruktor kolarski Bogdan Lorenc. Z pomysłem tym udał się najpierw do KS Społem, a kiedy pomysł chwycił do jego realizacji włączył się również KS Włókniarz.

„WYŚCIGIEM 35-LECIA" zainteresowano Polski Związek Kolarski oraz rozesłano zaproszenia do 80 klubów, w których są sekcje kolarskie. W klubach tych pracują lub działają byli kolarze. O nich przede wszystkim tu chodzi. Oni mają stawić się w Łodzi 6 października 1979 roku, aby przypomnieć sobie swoje dawne kolarskie wyczyny. Będzie to wszakże nie tylko okazja do wspomnień, do spotkania po latach, ale też okazja do ścigania się na rowerze, jak za dawnych lat bywało. W „WYŚCIGU 35-LECIA" mogą wziąć udział wszyscy byli zawodnicy, którzy ukończyli 30 lat i od trzech lat nie uprawiają już czynnie kolarstwa. Będzie to więc okazja do zobaczenia byłych mistrzów, do przypomnienia sobie dawnych sław.

Z okazji tegorocznych mistrzostw świata w Holandii mogliśmy w telewizji zobaczyć i usłyszeć Stanisława Królaka, który obok Stanisława Szozdy komentował wyczyny naszych obecnych asów. A inni? Czy ich wszystkich dobrze pamiętamy?

Bohaterami wielu etapów w Wyścigu Pokoju byli kiedyś Elek Grabowski i Mieczysław Wilczewski. Oni to obaj zwyciężyli w 1954 roku na etapie z Warszawy do Łodzi. Mieczysław Wilczewski był pierwszy, a Elek Grabowski — drugi. W wyścigu tym Stanisław Królak zwyciężył dopiero na X etapie w Pardubicach.

W tym czasie w polskiej drużynie jeździł też Marian Więckowski. W 1956 roku jechał w drużynie, która pomagała Stanisławowi Królakowi wygrać IX Wyścig Pokoju Dziś Marian Więckowski jest szefem wyszkolenia PZKol. i wybiera się na „WYŚCIG 35-LECIA" do Łodzi.

Na starcie nie zabraknie też chyba Jerzego Beka. Pochodzi on z rodziny kolarskiej. Jego ojciec Alfred Bek był trzeci na mistrzostwach świata w jeździe za motorem, jeszcze przed II wojną światową. Jerzy Bek był mistrzem Polski w latach: 1947, 1949 1950, 1953. Był zawodnikiem „Włókniarza" i „Włókniarza — ŁKS".

Kolarstwo uprawiał też syn Jerzego Beka — Andrzej. W 1970 roku wraz z J. Kotlińskim zdobył mistrzostwo Polski w wyścigach tandemów.

Warto tu też przypomnieć Stanisława Gazdę, który w 1963 roku wygrał Wyścig Dookoła Polski. Sześciokrotnie startował w Wyścigu Pokoju. W 1962 roku w XV Wyścigu Pokoju zajął trzecie miejsce. Wygrał też w tym wyścigu VII etap w Brnie. W 1961 roku zdobył mistrzostwo Polski w wyścigu przełajowym.

Czterokrotnie w Wyścigu Pokoju startował Zygmunt Hanusik. Był w drużynie, która w 1968 roku zajęła pierwsze miejsce oraz był trzeci w XXIII WP w 1970 roku kiedy to pierwsze miejsce zdobył Ryszard Szurkowski.

Czy ich wszystkich zobaczymy na starcie w Łodzi 6 października 1979 roku? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Do organizatorów napływają zgłoszenia. Wśród zaproszonych są między innymi: Marian Więckowski Jerzy Bek, Lucjan Józefowicz, Wojciech Otrębski, Włodzimierz Łoś, Zdzisław Szałek, Stefan Bartnik, Jan Kost, Stanisław Poniedziałek Jerzy Jankowski, Zygmunt Hanusik, Maciej Janiec, Stanisław Gazda i wielu innych. Wszyscy którzy zechcą i będą mogli spotkać się w Łodzi na „WYŚCIGU 35-LECIA". Czekamy.

B. M.

RYSZARD BINKOWSKI

CENA WODY

W przerwie narady, na której omawiano szeroko problem aktywizacji kobiet wiejskich, usłyszałem za kulisami następujący dialog:

— *Zastanawiam się, czy to wszystko ma sens? Czy nas należy uaktywniać? Przecież wszyscy chyba wiedzą, że na nas spada ciężar prowadzenia gospodarstwa? Która z nas ma czas biegać na pokazy, wystawy i demonstracje? I po co?*

— *Trzeba zrealizować program oświaty pozaszkolnej, napisać sprawozdanie...*

— *Że w takiej a takiej wsi opracowano temat: „Potrawy z drobiu w żywieniu rodziny wiejskiej"! Albo, że wszystkie kobiety potrafią już wypiekać ciasto. Moja matka przekazała mi przepisy, które są lepsze niż te w gazetach.*

Do tych cierpkich uwag, chyba niezbyt sensownych, przyłączyła się trzecia z kobiet. Powiedziała rzeczowo:

— *Nie wydaje mi się, aby to była tylko „sztuka dla sztuki". Bo na przykład dobrze jest wiedzieć, co można zrobić na mikserze, albo jak posługiwać się nowoczesną pralką automatyczną. Sprzedawca nie zawsze potrafi wyjaśnić, jak wykorzystać urządzenie. Powinniśmy w gospodarstwach stosować jak najwięcej takich urządzeń. Szkopuł w tym, że ich nie ma. A jeżeli nawet są, to nie załatwiają sprawy, żeby nasze życie stało się lżejsze. Jak na przykład robić pranie i utrzymać w czystości rodzinę? To jest problem. Na wsi w każdym domu powinna być woda, która jest potrzebna nie tylko do mycia pleców i szorowania garnków po obiedzie.*

Poprosiłem tę kobietę o wyjaśnienie. Odparła krótko:

— *Proszę pana, co z tego, że ja nauczę się posługiwać mikserem? Ja tego nie wykorzystam, po prostu nie chce mi się ze zmęczenia. Mam sześćdziesiąt świń i codziennie dźwigam dwieście wiader wody...*

O znaczeniu wody w normalnym funkcjonowaniu życia wsi właściwie nie trzeba nikogo przekonywać. Warto jednak dla zobrazowania tej sprawy zacytować wypowiedź rolnika spod Dłutowa, z którym rozmawiałem zbierając materiał do reportażu o innej tematyce.

— *W czasie okupacji byłem wywieziony na roboty do Austrii, gdzie podpatrzyłem hodowlę krów. Postanowiłem założyć taką hodowlę u siebie. Ale u nas były same małe obórki, a w nich po dwie, trzy liche krówki. Pierwszy we wsi zbudowałem dużą murowaną oborę. Był szum i śmiechy. Kiedy założyłem wodociąg w oborze i automatyczne poidła, szum był jeszcze większy. Bo w naszej wsi krowy wracające z pastwiska piły wodę z rowów lub kałuż, albo dawało im się pić z wiadra pod studnią. Tymczasem krowa musi napić się tyle, ile potrzebuje jej organizm. Ten warunek spełnia automatyczne poidło. A chłop dawał krowie dwa wiaderka wody i myślał, że to wystarczy. Kiedy padają deszcze i krowy jedzą mokrą trawę, dostają rozwolnienia, a mleko traci na wartości. Ja w niepogodę trzymam krowy w oborze i daję siano, bo mogę im zapewnić odpowiednią ilość wody. Zimą chłopu nie chciało się nosić dziesiątków wiader wody do oboru, wypędzał więc krowy pod studnię, do napełnionego koryta. Zwierzęta wychodziły z ciepła na mróz i dostawały zapalenia płuc...*

Wszystko zaczyna się i kończy na wodzie. Dziś trudno sobie wyobrazić postępową wieś bez elektryczności, kanalizacji, melioracji i wodociągów. Niepodobna myśleć i mówić o nowoczesności, gdy wodę trzeba nosić wiadrami z odległych często studni.

Można było wyhodować dwie świnki i pięć kaczek, które taplały się w gnojówce, o ile, rzecz jasna, nie zdechły w tych warunkach, albo nie zaraziły ludzi. Ferma kacza licząca 100 sztuk i chlewnia z kilkuset tucznikami w takich warunkach nie może istnieć. To samo dotyczy dużych obór. Do końca 1980 roku w województwie miejskim powstanie 2300 dużych gospodarstw specjalistycznych, dla których potrzebne są maszyny rolnicze, ale przede wszystkim woda.

Aby zaktywizować setki gospodarstw małych, głównie poprzez rozwój upraw warzyw gruntowych i hodowlę królików, należy zapewnić stały dopływ wody. Warzywa trzeba podlewać. A króliki? Wbrew utartym przekonaniom każdy nowoczesny hodowca wie, że zarówno owce jak i króliki muszą mieć dostęp do świeżej wody. Opowiadał mi lekarz weterynarii, że w pewnym momencie stracił wiarę we własne umiejętności, nie potrafiąc od razu wyjaśnić przyczyn masowego padania owiec w pewnym gospodarstwie indywidualnym. Dopiero po kilku dniach stwierdził całkowite odwodnienie organizmu u zwierząt. Rolnik przyznał się, że owce nie piły wody, bo dotąd we wsi tego nie praktykowano...

Wzrost pogłowia krów do 40 tys. sztuk w 1980 roku oraz wzrost wydajności mleka i stworzenie tzw. pierścienia mlecznego w województwie miejskim uzależnione jest od wody. Produkcję zwierzęcą i roślinną tworzą ludzie. Osiem tysięcy właścicieli gospodarstw jest w wieku powyżej 55 lat, a połowa z nich przekroczyła wiek emerytalny. Czy ci ludzie są w stanie dźwigać wiadra wody ze studni, żeby właściwie obsłużyć inwentarz? A te setki kobiet, które prowadzą samotnie gospodarstwa w rodzinach dwuzawodowych? Im także nie jest łatwo...

Ale z wodą także nie jest łatwo. Niska średnich opadów atmosferycznych oraz znaczne uprzemysłowienie powoduje, iż w województwie łódzkim zaznacza się poważny deficyt wody.

Aktualnie w 102 wsiach występuje ciągły i okresowy deficyt wody.

Badania fizykochemiczne i bakteriologiczne prowadzone stale przez służbę sanitarno-epidemiologiczną wykazują, że woda z wodociągów publicznych pod względem bakteriologicznym i chemicznym nie budzi zastrzeżeń. Stwierdza się, że nie zauważono dotąd „przekroczeń najwyższych dopuszczalnych stężeń zanieczyszczeń". Mimo to mieszkańców Łodzi dopinguje się poprzez prasę: *„Wodę pij tylko po przegotowaniu"*.

W Łodzi z wodociągów publicznych korzysta 90 proc. mieszkańców, w Pabianicach i Zgierzu już o kilka procent mniej, a wodociągi w Głownie, Ozorkowie, Strykowie czy Aleksandrowie zaopatrują w wodę jedynie ograniczone rejony, głównie te, gdzie powstają nowe osiedla mieszkaniowe.

Wyobraźmy sobie więc, co się dzieje w 11 gminach województwa miejskiego, gdzie z 23 wodociągów korzysta zaledwie 31 wsi, czyli 7 procent z 444 miejscowości. Reszta korzysta ze studni przydomowych, o złym stanie sanitarno-technicznym, pijąc wodę zanieczyszczoną metalami ciężkimi, detergentami oraz pestycydami.

Ktoś powie, że to przesada, skąd zaraz detergenty i pestycydy? Ano, jak ktoś założy sobie w domu wodę i kanalizację na własny rachunek, to po kryjomu, w nocy kopie rowek, kładzie dreny, przysypuje ziemią i odprowadza ścieki do najbliższej rzeczki. Albo bezpośrednio podtruwa najbliższego sąsiada, bo gleby mamy liche, łatwo przepuszczalne.

Poza tym studnie na wsi są nieodpowiednio zlokalizowane, na przykład znajdują się zbyt blisko gnojownika lub szamba. Są nieszczelne, płytkie, nie ma wokół nich utwardzonych terenów oraz stałych urządzeń higienicznych do pobierania wody. Tak więc problem zaopatrzenia ludności w wodę właściwej jakości i czerpania jej w odpowiednich warunkach na wsiach aglomeracji łódzkiej nabiera szczególnego znaczenia.

Koszt instalacji urządzenia wodno-kanalizacyjnego w zagrodzie rolnika jest bardzo wysoki. Tańsza byłaby budowa wspólnych ujęć wodnych dla kilku gospodarstw specjalistycznych, np. we wsiach towarowych, nastawionych na tę samą produkcję. Według prostego, logicznego rozumowania najtańszy byłby wodociąg dla całej wsi. Ale tutaj w grę wchodzi tzw. zwartość zabudowań, są bowiem wsie, gdzie gospodarstwa rozrzucone są na dużej przestrzeni i dzielą je odległości po sto, dwieście i więcej metrów. Wtedy koszt inwestycji niepomiernie wzrasta.

W związku z tym zachodzi pilna potrzeba wykonywania urządzeń zbiorowego zaopatrzenia w wodę korzystając z podziemnych ujęć studziennych oraz istniejących wodociągów miejskich znajdujących się w pobliżu wsi. W ten sposób wodociąg otrzymała wieś Bychlew pod Pabianicami.

Należy także pogłębiać i odmulać istniejące studnie we wsiach o rozrzuconej zabudowie.

Dlaczego trzeba imać się środków najprostszych? Otóż wyliczono, że aby w pełni wykonać program budowy wodociągów, co można zakończyć dopiero w roku 2000, należy przeprowadzić 634 km sieci wodociągowej, wybudować 53 stacje wodociągowe i odwiercić 50 studni głębinowych. Orientacyjnie koszt tego przedsięwzięcia wyniósłby miliard złotych. Dotychczas w ciągu roku wodociąg otrzymywały dwie wsie. Gdyby utrzymano to tempo, budowa wodociągów w województwie miejskim trwałaby do... XXIII wieku... Ostatnio jednak podjęto decyzje, które powinny przyspieszyć sprawę. Dotyczą one zwiększonego udziału czynów społecznych, zagwarantowania fachowego wykonawstwa i zapewnienia niezbędnych materiałów budowlanych. Postanowiono także unikać błędu, jakim była niekompletność dotychczasowych wodociągów wiejskich: sieć podstawowa nie miała tzw. przyłączy do zagród, przez co, co trzecie gospodarstwo w zasięgu wodociągu nie było i nie jest do niego podłączone. Obecnie specjalna ustawa nakłada na wykonawców obowiązek jednoczesnej budowy sieci i przyłączy z punktem czerpalnym w zagrodzie, i to w takim miejscu, jakie wskaże użytkownik.

Na uwagę zasługuje fakt, że dotychczas czyny społeczne dofinansowywane były w 50 proc. Teraz państwo bierze na swe barki 70 procent kosztów inwestycji. To w znacznym stopniu powinno zachęcić rolników do podejmowania czynów społecznych i szybszej budowy wodociągów. Jak podają w Wojewódzkim Zarządzie Inwestycji Rolniczych, 30-procentowy wkład rolnika będzie wynosić 20 tys. złotych, a więc gra jest warta świeczki. Z tej ustawy skorzystały już wsie: Bromisin i Kalino (gm. Rzgów), Rudniczek (gm. Głowno) oraz Piątkowisko w gminie Pabianice, które dzięki czynom społecznym uzyskały własne wodociągi.

Program zakłada, że do roku 2000 wodociągi otrzyma 90 procent wsi województwa miejskiego. Jest to zamierzenie niezwykle śmiałe, chociaż na pewno nie usatysfakcjonuje wszystkich, wielu bowiem rolników będzie czekać na wodociąg po kilkanaście lat. Aby wszystko się udało, urzędy gminne muszą dołożyć starań, żeby czyny społeczne zostały należycie wsparte środkami finansowymi, zapewnieniem materiałów budowlanych i dobrym, fachowym wykonawstwem.

Wodociągi to palący problem, ale przy okazji warto zwrócić uwagę na fakt, że obecnie nie wystarcza tylko mieć wodę, trzeba także racjonalnie nią gospodarować i oszczędzać.

Przed wiekiem na terenie dzisiejszej aglomeracji istniało około 150 niewielkich zbiorników wodnych. Część ich można odbudować tanim kosztem, ale one nie zapewnią zapasu wody. Dlatego też planuje się budowę systemu zbiorników retencyjnych na Nerze i Dobrzynce: Zalew Charzewski (lutro wody około 160 ha) oraz Rzgów i Gospodarz.

Musimy sobie zdawać sprawę, że te nowe zbiorniki spełnią swoje zadanie tylko wówczas, gdy zdecydowanie zmienimy stan wód powierzchniowych w województwie. Ner np. jest tak zanieczyszczona ściekami wielkomiejskimi, że jej trujące wyziewy odczuwa się jeszcze na Warcie pod Poznaniem, a zgierski „Boruta" systematycznie płaci grzywny i równie systematycznie zatruwa Bzurę, w której, podobnie jak w Nerze, nie istnieje już życie biologiczne. Ogólnie aż 60 zakładów przemysłowych zanieczyszcza wody podłódzkich rzek. Stąd wniosek, że szybka budowa grupowej oczyszczalni ścieków jest sprawą niezwykle pilną. Taka oczyszczalnia rozwiąże problem jedynie w części województwa. Na pozostałym terenie za sumę 290 milionów złotych trzeba będzie wybudować 11 lokalnych oczyszczalni i 7 przepompowni oraz 85 km sieci kanalizacyjnej do odprowadzania ścieków.

Jak widać, woda na wsi stała się bogactwem równie cennym co ziemia. Ludzi przybywa, a ziemi i wody wciąż ubywa...

JERZY WITCZAK

EDUKACJA

Śmiało można powiedzieć, że Polska stała się krajem młodych rodzin. Na drogę do ślubnego kobierca wchodzą bowiem kolejne roczniki wyżu demograficznego, co sprawia, że liczba zawieranych obecnie u nas małżeństw w przeliczeniu na 1000 mieszkańców, należy do najwyższych w Europie. W Polsce żeni się i wychodzi za mąż ponad 9 osób na 1000, podczas gdy np. we Francji tylko 7, w rozwiniętej Szwecji — zaledwie 5. Ponad 600 tysięcy ludzi, corocznie wydeptuje ślubne kobierce. Z badań wynika, że 85—90 procent nowożeńców stanowią ludzie młodzi, którzy nie ukończyli 30 roku życia. Jesteśmy więc w tym względzie społeczeństwem wyjątkowym. Młodzi masowo wypowiadają sakramentalne „tak" i przechodzą progi do dorosłego życia. Nikt ich w zasadzie o nic nie pyta, nawet o to, jak sobie wyobrażają małżeństwo i życie rodzinne. Panuje atmosfera pełna abstrakcyjnej wiary w odpowiedzialność, zaufanie i przygotowanie młodych ludzi do życia we dwoje, a później troje, czworo etc. Mogłoby się więc wydawać, że uporaliśmy się w naszym kraju z jednym z najtrudniejszych problemów społecznych, jakim jest od wieków dla wszystkich państw świata, przygotowanie młodzieży do dorosłego, dojrzałego życia — do budowania własnego małżeństwa i rodziny.

„Za późno dowiedziałem się..."

Niestety. Jest to wizja przyszłości i to bardzo odległej. Stwierdza to nieubłaganie stale wzrastająca liczba rozwodów niedawnych nowożeńców, rosnąca statystyka dzieci niechcianych i niekochanych, alarmujące opinie pracowników „Telefonów zaufania" i poradni przedmałżeńskich — o występujących podstawowych brakach w intymnej edukacji młodzieży. Działacze Towarzystwa Planowania Rodziny od dawna, informują opinię publiczną, szkołę, wychowawców, organizacje młodzieżowe że wbrew pozorom, wbrew powszechnym wyobrażeniom na temat uświadomienia i dojrzałości współczesnej młodzieży — najczęściej jest ona nieprzygotowana do dorosłego życia. Młodzi ludzie niewiele wiedzą o kulturze współżycia seksualnego, a ich wiadomości z zakresu problemów świadomego macierzyństwa i ojcostwa, małżeństwa i rodziny równają się niemal zeru albo oparte są na błędnych przesłankach. Ta świadomość poważnych niedostatków w przygotowaniu młodych do pełnienia obowiązków rodzicielsko-rodzinnych każe z niepokojem patrzeć na interesujące dzisiaj wszystkich wychowanie w rodzinie, wychowanie dla rodziny i społeczeństwa. Jakże bowiem mówić o perspektywie szczęśliwego i trwałego małżeństwa, o pełnieniu przez rodzinę tak ważnej funkcji wychowawczej, gdy młodzi ludzie dopiero po zawarciu małżeństwa, a częściej dopiero po założeniu rodziny — przystępują do nauki życia, miłości, rodzicielstwa, współżycia seksualnego itp. „Za późno dowiedziałem się, że miłość nie polega na braniu, ale również na dawaniu" — wyznaje np. jeden z młodych uczestników ankiety na temat życiowych potknięć i błędów, której omówienie zawiera książka Z. Pietrusińskiego pt.: „Czego dowiedziałem się za późno?".

Bocian ciągle przynosi dzieci.

Brak przygotowania młodych do życia małżeńskiego i rodzinnego potwierdzają badania naukowe, statystyki sądowe, wizyty w poradniach. Dlaczego tak się dzieje? Przecież już w końcu lat sześćdziesiątych doszliśmy w naszym kraju do wniosku, że trzeba zerwać z tak często stosowaną dawniej strusią metodą „chowania głowy w piasek" i dawać młodym rzetelną i zdrową edukację seksualną, podstawy wiedzy o małżeństwie i życiu rodzinnym. Do przeszłości przecież już należą czasy, kiedy oskarżano ludzi, którzy zapoczątkowali w Polsce Ludowej wychowanie seksualne i rodzinne, o moralną deprawację młodzieży. Już od kilku lat, przygotowanie do życia w rodzinie stało się integralną częścią programów całego procesu wychowawczego polskiej młodzieży, w którym powinny aktywnie uczestniczyć głównie dwa podstawowe środowiska wychowawcze: rodzina i szkoła. Wszyscy znawcy tematu, eksperci zgodzili się, że szkoła powinna przygotować młodzież nie tylko do pełnienia określonej roli zawodowej, ale także do roli żony i matki, męża i ojca. Zgodziła się z tym stanowiskiem sama szkoła, a przecież powszechnie dzisiaj wiadomo, że tego nie robi.

Komisja Wychowania Seksualnego i Rodzinnego Zarządu Głównego Towarzystwa Planowania Rodziny opracowała w 1978 roku raport o planowaniu rodziny, poradnictwie przedmałżeńskim i rodzinnym oraz wychowaniu seksualnym w naszym kraju. Z materiału wyraźnie wynika, że systematyczne zajęcia z wychowania seksualnego prowadzono tylko w 18,7 proc. 8-letnich szkół miejskich i 9,3 proc. szkół wiejskich tego typu. Całkowity brak takich zajęć występuje w 48,8 proc. miejskich szkół 8-letnich i w 70,0 proc. 8-latek wiejskich. W pozostałych szkołach zajęcia poświęcone problematyce seksualnej organizuje się jedynie sporadycznie. Warto dodać, że 13 z badanych województw nie mogło w ogóle określić (choćby szacunkowo) stopnia upowszechniania wychowania seksualnego w szkołach 8-letnich, tłumacząc się często komentarzem: **„Kuratorium nie zajmowało się dotąd wychowaniem seksualnym w szkołach podstawowych". „Nigdy dotąd nie omawiano tego problemu w naszym województwie".**

W tej sytuacji trochę wiadomości z tej dziedziny, które uzyskuje młodzież na lekcjach „Nauki o człowieku" nie można uznać za wystarczające ani w aspekcie informacyjnym, ani tym bardziej wychowania seksualnego i przygotowania do życia w małżeństwie i rodzinie.

Czy nauczyciele się wstydzą?

Sytuacji w tym zakresie specjalnie nie poprawia szkoła średnia, która już przecież uczy ludzi w wieku 15—19 lat. Wprowadzony w 1973/74 roku do szkół ponadpodstawowych przedmiot „przygotowanie do życia w rodzinie" zdążył już praktycznie daleko odejść od pierwotnych i słusznych założeń programowych oraz rozczarować oczekującą go z niecierpliwością młodzież. A przecież z tym eksperymentalnym przedmiotem wiązano wiele nadziei, miał on bowiem, łącznie z lekcjami anatomii, autentycznie przygotować młodzież do przekroczenia progu życiowej dojrzałości. Między innymi zapoznać ją z problemami stosunków seksualnych, erotyzmu w małżeństwie, funkcjami współczesnej rodziny, odpowiedzialnością rodzicielską itp. Okazało się jednak po 5 latach prowadzenia tych zajęć, że w dalszym ciągu duży odsetek młodych ludzi nie ma zielonego pojęcia o wielu podstawowych sprawach z tego zakresu, nie bardzo zdaje sobie sprawę z konsekwencji „uprawiania miłości", a przyszłe postępowanie w małżeństwie i życiu rodzinnym pozostaje ciągle abstrakcyjnym pojęciem w umysłach młodych. W świetle raportu ZG TPR przedmiot powyższy prowadzony jest w 60 proc. liceów ogólnokształcących, 44 proc. techników i zaledwie 17 proc. zasadniczych szkół zawodowych. Niezależnie więc od mankamentów samego przedmiotu, stopień jego upowszechniania daleki jest od zadowalającego. Najmniej jest on rozpowszechniony w szkołach zasadniczych, gdzie jak wiadomo młodzież zdradza objawy wielkiej dezorientacji w sprawach własnego życia płciowego i gdzie najczęściej występują niepożądane zjawiska w tym zakresie.

W dalszym ciągu nie ma wśród nauczycieli chętnych do brania tego przedmiotu na swoje barki, a kandydatów do prowadzenia zajęć dobiera się według ich stanu cywilnego, a nie wykształcenia. Najczęściej zaś podejmują się prowadzenia przedmiotu na kategoryczne polecenie dyrektora szkoły. A przecież wbrew obiegowym opiniom, nie musi powstawać nowa specjalność nauczycielska (specjalista do przysposobienia do życia w rodzinie), lecz powierzywszy główną opiekę najrozsądniejszemu i najbardziej „czującemu" sprawę nauczycielowi — cieszącemu się zaufaniem młodzieży, przedmiot ten realizować można przy pomocy różnych nauczycieli, a także ludzi spoza grona nauczycielskiego, zapraszanych przez dyrektora czy opiekuna tych zajęć (np. lekarza, a także rodziców o specjalnościach zgodnych z poszczególnymi problemami zajęć).

Im mniej będzie rutyny i „sztywniactwa" w organizacji tych zajęć, im szerszy krąg osób oddziaływających tym lepiej dla samego celu. Zrozumiałe przecież, że przygotowanie do życia w rodzinie wielu nauczycielom nastręcza trudności. W dodatku niezbędnym przymiotem pedagoga jest w tym wypadku zgodność między tym, co

EUGENIUSZ IWANICKI

CZY AJENT MUSI KRAŚĆ?

Światowa tendencja ciągłego podwyższania cen ropy naftowej spowodowała niemało zamieszania: niemal we wszystkich krajach ograniczono prędkości samochodów, w niektórych zaczęto nawet racjonować etylinę, w innych zastosowano jeszcze bardziej drastyczne środki pozwalając poruszać się pojazdom o numerach parzystych jedynie w dni parzyste, a z numerami nieparzystymi w dni nieparzyste. Ale najważniejszym posunięciem było i jest nadal podnoszenie cen benzyny i pozostałych paliw pochodnych ropy naftowej. Paliwo stało się nagle przysłowiowym języczkiem u wagi całej gospodarki. A skoro tak, stało się jednocześnie jednym z najbardziej potrzebnych, pożądanych i niezbędnych produktów, który można zawsze sprzedać, bowiem setki tysięcy samochodów musi poruszać się po drogach. Z tego faktu dość szybko wyciągnęli dla siebie wniosek niektórzy ajenci zatrudnieni w stacjach CPN, oraz kierowcy z przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych. Im wyższa cena jednego litra etyliny czy oleju napędowego, tym większa pewność, że rynek wchłonie każdą ilość pochodzącą z kradzieży. Benzyna zawsze była przedmiotem nieuczciwego handlu, teraz chętnych do jej przywłaszczania jest coraz więcej, bo benzyna — to pieniądze, bardzo duże pieniądze.

Przedsiębiorstwo Obrotu Produktami Naftowymi CPN w Łodzi posiada 99 stacji paliw na terenie pięciu województw (miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego, skierniewickiego i płockiego) i zatrudnia 450 ajentów. Na ten rok zaplanowano sprzedaż prawie za 4 mld zł, z czego połowa ma wpłynąć do kasy od prywatnych użytkowników samochodów (do tego należy dodać jeszcze 56 mln zł za artykuły motoryzacyjne). Ponadto przedsiębiorstwo CPN prowadzi obroty hurtowe na dużo większą skalę (m.in. zaopatruje w paliwo przemysł, transport oraz PKP w całym kraju) bowiem łódzki CPN jest największym przedsiębiorstwem tego typu w Polsce.

Z wymienionych 99 stacji jedna trzecia to stacje całodobowe, pracujące na 2 lub 3 zmiany. Co najmniej połowa stacji CPN została wybudowana w ostatnich latach i są to stacje spełniające określone wymogi (co najmniej 2 dystrybutory na każdy rodzaj paliwa, posiadają wiaty zabezpieczające przed opadami atmosferycznymi, wygodne pomieszczenia magazynowe, podjazdy, wydzielone wysepki pod dystrybutory, węzeł sanitarny itp.).

W tej chwili Łódź ma dość dobrze rozwiniętą sieć stacji CPN, gdyż ostatnio oddano do użytku 6 nowych, a w październiku zostanie ukończona budowa kolejnej. W niedalekiej przyszłości oddane będą dalsze dwie na Retkini, dwie na Starowej Górze na trasie do Piotrkowa, stacja na Widzewie—Wschodzie oraz dwie przy wylocie na Warszawę. Jeszcze nie tak dawno pozbawiona stacji paliw trasa szybkiego ruchu Warszawa — Katowice ma ich już pięć.

Wszystkie stacje paliw CPN są oddane w ajencję. Co 6 tygodni przedsiębiorstwo CPN w Łodzi szkoli około 40 osób dla obsługi tychże stacji. Jednak rotacja ajentów jest dość znaczna — ok. 80 proc. w krótkim czasie zostaje albo zwolniona przez przedsiębiorstwo, albo sami odchodzą, albo zamyka ich prokurator. Zostać ajentem nie jest trudno, wystarczy przejść dwutygodniowe przeszkolenie (bezpłatne), posiadać 10 tys. zł gotówki oraz wekslowe zabezpieczenie na 100 tys. zł, nienaganną opinię z ostatnich pięciu lat pracy, wykształcenie zawodowe lub średnie i nie być karanym sądownie.

Wynagrodzenie ajenta pozostaje w ścisłej zależności z jego pracą i jest oparte na prowizji od wielkości sprzedaży. Prowizja nie jest stała lecz degresyjna, tj. im wyższe obroty tym procent prowizji maleje. Gdyby procent ten był stały, wówczas zatrudnienie można byłoby ustalać proporcjonalnie do obrotów. Jednak w oparciu o obowiązujące w tym względzie tabele prowizyjne suma prowizji przy dużych obrotach jest barierą zabezpieczającą przed zwiększeniem zatrudnienia na stacjach CPN. Czyli mówiąc prościej: im mniej ludzi obsługuje stację paliw, tym większe są ich zarobki, bo suma do podziału jest związana z obrotem. Dlatego też widzi się nieraz na dużych stacjach, np. przy alei Włókniarzy — Lutomierskiej, że bez względu na długość kolejki samochodów ustawionych po benzynę, przy dystrybutorach pracuje dwóch ludzi, choć mogłoby pracować czterech, czy nawet ośmiu. Lecz dzielić zarobek na dwóch to nie to samo co na ośmiu, a że kierowcy się denerwują? Kogo to obchodzi?

Praca w stacji CPN jakby predestynuje do dokonywania nadużyć, choć są tacy, co nie ulegają pokusie łatwego wzbogacenia się. W sytuacji, kiedy cysterna przywożąca paliwo wlewa do podziemnych zbiorników nie litry a kilogramy, już zarysowuje się niebezpieczna przesłanka do nadużyć. Litr etyliny w zależności od panującej na zewnątrz temperatury posiada różną wagę, a dystrybutory są tak „ustawione" że mają pewną tolerancję przy wydawaniu paliwa i odbiorca otrzymuje określoną ilość benzyny w litrach i te litry w zależności od pory dnia i pory roku mają różną wagę. Tak więc nie zawsze otrzymujemy swoje np 20 litrów etyliny 94 lecz powiedzmy o ten litr czy półtora mniej, choć płacimy za całe 20 litrów.

Oczywiście bylibyśmy nie w porządku twierdząc, iż każdy ajent zatrudniony na stacjach CPN jest złodziejem. **Zastępca Prokuratora Wojewódzkiego JACEK RZĄDKOWSKI** oraz **Naczelnik Wydziału Śledczego Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi STANISŁAW KRÓL** udostępniając mi akta oskarżenia powiedzieli, że tylko w latach 1978/79 było 6 postępowań karnych o kradzież paliw przeciwko 63 osobom, którym zarzuca się przywłaszczenie benzyny lub pieniędzy w wysokości 3.770 tys. zł!

Zastanawiał mnie także mechanizm przestępstwa i w swojej naiwności — nie bez wpływu są tu lektury klasyków powieści kryminalnych, a także porucznikó w Columbo i Kojaka — sądziłem, że trzeba nie lada sprytu i przebiegłości by coś ukraść, sfałszować, przywłaszczyć. Jednakże czytając akta Wojewódzkiej Prokuratury w Łodzi przekonałem się, że byłem w błędzie: sposoby kradzieży są prymitywne, powiedziałbym nieprzemyślane, a nawet wręcz głupie. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego że pierwsza lepsza kontrola położy kres ich nieuczciwej działalności.

Ale niech przemówią fakty.

Akt oskarżenia z dn. 15 sierpnia br. przeciwko nieuczciwym operatorom sprzętu technicznego (spycharki, koparki itp.) z **Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Przemysłu Maszynowego „Budomasz" w Łodzi.** Główny oskarżony **Lesław U.**, swą „działalnością" objął także **Mazowieckie Przedsiębiorstwo Gospodarki Maszynami Budownictwa „Budopol" w Mińsku Maz., oddział Gospodarki Maszynami w Łodzi, Łódzkie Przedsiębiorstwo Instalacji Przemysłowej „Instal"** oraz **Zakłady im. Strzelczyka.** W wymienionej sprawie aktami oskarżenia objęto 16 osób, choć najbardziej kryminalną przeszłość posiada szef złodziejskiego gangu, Lesław U., który w kolizję z prawem wchodził już wielokrotnie. W październiku 1974 r. Lesław U. włamał się w nocy do stacji benzynowej w Głogówku (woj. opolskie) skąd skradł pieczątki oraz kilkadziesiąt bloczków rachunków na kupno paliwa. Pieczątkę przerobił w ten sposób, że zamiast „Opolskie Przedsiębiorstwo Produktów Naftowych CPN — Stacja Benzynowa nr 250" wstawił słowo „Łódzkie", a przestawiając cyfry otrzymał nowy numer 205. Teraz już mógł spokojnie wystawiać fikcyjne kwity za zakupione paliwo, które realizował w kasie „Budomaszu". W tym czasie operatorzy spycharek, koparek i innego sprzętu mechanicznego nagminnie zawyżali w swoich raportach dziennych ilości godzin pracy sprzętu, aby w ten sposób wygospodarować nadwyżki paliwa. Jednak wkrótce okazało się, że tych nadwyżek nie daje się łatwo sprzedać, gdyż nie ma amatorów na olej napędowy. Wówczas Lesław U. zaproponował im interes: będziecie realizować rachunki za paliwo w naszej kasie. Za każdy rachunek na 200 l oleju napędowego Lesław U. otrzyma 500 zł, zaś za rachunek na 400 l etyliny — 1.000 zł.

W ten sposób w ciągu lat 1974—1979 Lesław U. sfałszował ponad tysiąc rachunków na różne sumy od 1.400 zł do 3.600 zł. Kiedy organa ścigania dokonały kontroli w „Budomaszu" w Łodzi Lesław U. wraz z Marianem B. włamali się do pomieszczeń przedsiębiorstwa, skradli część fikcyjnych rachunków i dziennych raportów pracy sprzętu mechanicznego a następnie koparką „Białoruś" wywieźli je na usypisko śmieci w pobliżu ulicy Zakładowej i tam oblawszy olejem — spalili. Mimo to inspektorzy organów ścigania ustalili, że w ciągu pięciu lat Lesław U. i jego wspólnicy wyłudzili od „Budomaszu" w Łodzi kwotę co najmniej 1.626 tys. zł.

Inny akt oskarżenia z sierpnia tego roku zarzuca pracownikom — ajentom **Stacji Benzynowej CPN**, mieszczącej się przy ul. **Tuwima nr 7** sprzeniewierzenie państwowego majątku na ponad pół miliona złotych. Proceder był prosty: ajenci skupywali etylinę od kierowców z jednostek gospodarki uspołecznionej płacąc im po 6 zł za litr etyliny „78" i po 8 zł za litr etyliny „94". Następnie tę etylinę sprzedawali prywatnym odbiorcom po cenie nominalnej, uzyskując w ten sposób dla siebie zysk po 3 zł na każdym litrze. Jak z tego wynika, w całej Łodzi i województwach obsługiwanych przez łódzki CPN obowiązuje jednakowa taksa: 3 zł od litra dla ajenta, a 6 i 8 dla kierowcy lub kierownika czy brygadzisty zajmującego się transportem w zakładzie pracy.

Organa ścigania są zdania, że pozostawienie nadwyżek etyliny ajentom przez kierowców z jednostek gospodarki uspołecznionej jest zjawiskiem nagminnym i nienowym. Nadwyżki te bowiem pochodzą z oszczędności, których kierowcy nie ujawniają w przedsiębiorstwie na skutek fałszowania zapisów w kartach drogowych.

Na stację CPN przy ul. Tuwima 7 przywozili paliwo kierowcy z **Zakładu Gazownictwa w Łodzi, Zakładu Energetycznego Łódź—Miasto**, a także z innych przedsiębiorstw.

Rok temu (sprawa w toku) wytoczono akt oskarżenia przeciwko 13 osobom, które wyłudziły z państwowej kasy ponad sześćset tysięcy zł. Ale tu mechanizm przestępstwa był nieco inny. Główny oskarżony **Kazimierz W.** brygadzista działu transportu **Łódzkich Zakładów Cewek Przędzalniczych** odpowiedzialny za zakup i rozliczanie się kierowców z gotówki i zakupu paliwa wszedł w porozumienie zarówno z wyżej wzmiankowanymi kierowcami jak i z ajentami stacji CPN. Ci ostatni sporządzali rachunki na zakup etyliny, olejów i innych akcesoriów samochodowych wpisując do tychże dokumentów numery rejestracyjne samochodów, których kierowcy rzekomo pobrać mieli paliwo, choć w rzeczywistości żadnej sprzedaży nie było. Kazimierz W. na podstawie tych lipnych rachunków pobierał z kasy przedsiębiorstwa pieniądze.

Tu także, jak i w poprzednim przypadku obowiązywała ta sama taksa: za każdy litr (ówczesne ceny: etylina „78" — 9 zł, etylina „94" — 11 zł) wpisany do rachunku i pozostawiony w stacji CPN Kazimierz W. płacił ajentom z sum pobranych zaliczek po 3 zł, uzyskując w ten sposób dla siebie po 6 i 8 zł w zależności od etyliny, natomiast za oleje płacił 50 proc. ceny. Po otrzymaniu gotówki od Kazimierza W. ajenci natychmiast sprzedawali pozostawioną benzynę prywatnym właścicielom samochodów, którzy nie żądają przecież rachunków. W ten sposób uzyskiwali pokrycie w gotówce oraz w ilości paliwa i smarów nie rejestrując tego w dokumentacji stacji CPN. W tym czasie Kazimierz W. otrzymane od ajentów rachunki rozliczał w kasie Łódzkich Zakładów Cewek Przędzalniczych.

Dokumentacja każdej stacji CPN jest dość prosta i nie wymaga specjalnych umiejętności w jej prowadzeniu. Dokumenty „D-1" to rejestr przychodu i zapasów towarów, „D-2" — protokół odbioru towarów, „D-3" — rejestr skupywania opakowań i olejów zużytych, „D-4" — zestawienie utargów, „D-5" — dzienny raport gotówkowy, „D-6" — rejestr sprzedaży i rozliczeń utargów, „D-7" — ewidencja pomiarów i zapasów oraz „D-8" — kontrola druków rachunków. Ale to w zupełności wystarcza dla prowadzenia kombinatorskiego procederu (w czasie jednej zmiany ajent zarabiał „na lewo" około 1.800 zł).

Skoro ajenci wpadli na pomysł szybkiego dorobienia się, kierowcy nie chcieli pozostać w tyle. Prokurator **JACEK RZĄDKOWSKI** zna siedemnaście sposobów fałszowania wskazań licznika kilometrów w samochodach. Najbardziej popularne to podłączania silniczka elektrycznego poruszającego wycieraczki szyby czołowej samochodu do licznika, popychanie licznika specjalną szpilką, (przeróbka wewnętrzna szybkościomierza), przeróbka zamocowania linki szybkościomierza przy skrzyni biegów itp. I choć pomysłowość kierowców jest godna podziwu, nie daje ona gwarancji, że specę od kryminalistyki tego nie udowodnią.

Gros paliw płynnych pozostaje jednak w gestii przedsiębiorstw posiadających własne stacje benzynowe, które w języku urzędowym zwane są „garażowymi". Ponieważ kradzieże w stacjach benzynowych przydrożnych są coraz częstsze, Prokuratura Wojewódzka w Łodzi dokonała kontroli stacji garażowych w kilku przedsiębiorstwach na terenie m. Łodzi. Okazało się, że najczęstszymi mankamentami są: brak aktualnych świedectw legalizacyjnych dystrybutorów; etylina zawiera domieszkę oleju napędowego; występuje nadwyżka lub niedobór paliw; w studzienkach wlewowych do zbiorników znajduje się woda i są one zanieczyszczone; bardzo często występują zaniedbania higieniczne i przeciwpożarowe; paliwo jest wydawane bez żadnej dokumentacji.

Ponieważ prokuratorzy wierzą faktom, a nie ustnym wyjaśnieniom pracowników odpowiedzialnych za pracę stacji garażowych, pobrali przeto próbki paliw do zbadania przesyłając je do Laboratorium Kontrolnego Przedsiębiorstwa Obrotu Produktami Naftowymi CPN w Łodzi. Okazało się, że w **etylinie z „Transbudu" Bełchatów Oddział w Łodzi ul. Wedmanowej 3 było 1,5 proc. oleju napędowego, zaś w etylinie z „Transbudu" w Łodzi, ul. Teresy 109 — 2 proc. oleju napędowego.** Wnioski są proste i sądzę, że nie wymagają zbędnych komentarzy.

Poważną sprawą jest brak legalizacji dystrybutorów, gdyż nie ma możliwości sprawdzenia czy licznik pokazuje prawidłową ilość przepływającego przez dystrybutor paliwa.

Tak więc codziennie kanałami podziemia gospodarczego przepływa spora rzeka etyliny i olejów napędowych. Pieniądze z tego tytułu trafiają do prywatnych kieszeni nieuczciwych kierowców, brygadzistów odpowiedzialnych za transport w zakładach pracy, ajentów w stacjach benzynowych CPN. Jeśli chodzi o tych ostatnich, zastanawia fakt przedkładania przez nich zaświadczeń o kilkuletniej nienagannej pracy w przedsiębiorstwach uspołecznionych, a także zaświadczeń o niekaralności. I nagle ci kryształowi ludzie kradną! I to jeszcze jak! A może zaświadczenia składane w dyrekcji CPN są grzecznościowym listem wręczanym na pożegnanie niesolidnym pracownikom przez zakłady pracy, które pozbywają się wreszcie kłopotliwych ludzi? Czytając akta prokuratorskie nasuwa się wiele pytań i rodzi wątpliwości. Jedno jest wszakże pewne: wewnętrzne kontrole nigdy nie wykrywają przestępstwa.

Jadąc jakąkolwiek drogą często otrzymuję sygnalizację od kierowców ciężarówek: dwa palce uniesione w górę — ma 20 litrów paliwa do sprzedania, trzy palce — trzydzieści. Nie zatrzymuję się. Ale inni biorą. Pomagają w przestępstwie. Stają się wspólnikami.

Sądzę, że zbliżające się „procesy benzynowe" dostarczą być może trochę sensacji, lecz nie ukrócą kradzieży. Zbyt wielu ludzi chce kupić paliwo po tańszej cenie.

INTYMNA

przekazuje na lekcji i jego osobistą postawą. W odniesieniu do żadnego przedmiotu tak wyraźnie i tak jednoznacznie nie daje dziś znać o sobie zapotrzebowanie na autentyczny autorytet, wysoki poziom moralny i ogromną wiedzę i erudycję. I to jest zrozumiałe. Przecież od nauczycieli przygotowania do życia w rodzinie oczekuje się ustalenia, potwierdzenia — w każdym razie uporządkowania — zrelatywizowanego stosunku do wielu norm.

A przecież trudno, żeby jeden nauczyciel był przysłowiowym omnibusem. Stąd też tak często w wypowiedziach uczniów słyszy się, że nauczyciele „jak ognia" boją się pytań dotyczących życia erotycznego i natychmiast wekslują problem „na boczne tory", choć właśnie te sprawy interesują młodzież najbardziej. Nowy przedmiot traktowany jest trochę jako zło konieczne, lekcje są pełne „frazesów" i „pustosłowia", nauczyciele najchętniej sprzedają na nich ideały i marzenia z czasów własnej młodości, a nie potrafią odpowiedzieć na proste pytanie o współczesnych poglądach na antykoncepcję. O blaskach i cieniach „przygotowania do życia w rodzinie" można by powiedzieć wiele.

Nie trzeba być ekspertem, żeby wiedzieć, że bez tego elementu wychowania trudno mówić o małżeństwie, a później o macierzyństwie i ojcostwie. Dlatego też, nie przykładałbym zasadniczej uwagi do zamierzanego przez szkołę 10-letnią włączenia problematyki przedmiotu do tzw. „godzin wychowawczych", a głównego problemu szukałbym w treściach „przysposobienia do życia w rodzinie", w marginalnym w dalszym ciągu traktowaniu tego typu zagadnień przez szkołę, w ciągle występującej niechęci nauczycieli do omawiania tych wszystkich zagadnień dotyczących bardzo intymnej sfery życia, która przez całe lata uważana była za swego rodzaju „tabu".

Mama i tata nie mają czasu.

Otóż to. Pierwszym i podstawowym środowiskiem wychowawczym dziecka do przyszłego życia seksualnego, małżeńskiego i rodzinnego jest bez wątpienia rodzina i dom. Pozwoliłem sobie jednak przestawić tę chronologię z uwagi na fakt, że jak wykazują badania i wypowiedzi samych rodziców, zakres tej problematyki w kręgu rodzinnym jest generalnie obszarem dziewiczym, a sami rodzice przyznają, że na ogół nie interesują się tą stroną życia swych synów i córek. Jedni dlatego, że po prostu nie umieliby im tych wszystkich „rzeczy" wytłumaczyć, inni — bo uważają, że i bez ich udziału zdobędą potrzebne im wiadomości. Poważny odsetek rodziców hołduje w ogóle przekonaniu, że kształtowanie cech charakteru dzieci, dawanie im potrzebnej wiedzy etc. to sprawy wyłącznie należące do kompetencji szkoły. Dodać do tego jeszcze można mocny i trwały mit — gdy idzie o wychowanie dzieci — braku czasu. Brak czasu rodziców jest głównym źródłem niepowodzeń wychowawczych — twierdzą nawet niektórzy publicyści. Tak jakby można było ustalić określone godziny, w których tata z mamą zasiadają w fotelach i zaczynają pogadankę: a teraz będziemy cię wychowywać.

W jednym jednak rodzina zgadza się idealnie ze szkołą, że łatwiej jest mieć w domu dziecko, a w szkole ucznia, aniżeli partnera do rozmowy i działania; łatwiej jest stosować system kar i nagród, aniżeli spróbować wytłumaczyć, pomóc, ułożyć, konkretne plany przyszłego życia, podyskutować. Któż w tej sytuacji pamięta, że przecież swój pierwszy model własnej rodziny, własnego małżeństwa, pierwszy wizerunek ukochanej lub ukochanego tworzy się właśnie w oparciu o doświadczenia wyniesionego z rodzinnego domu, o wzory stwarzane przez kochających się matkę i ojca? Któż chce pamiętać, że podstawowym uświadomieniem dziecka winni zająć się przede wszystkim rodzice (następnie przedszkole), szkoła zaś powinna uzupełnić i poszerzyć tę wiedzę. Przecież trudno sobie wyobrazić nauczyciela lub nauczycielkę wygłaszających precyzyjnie przed 40-osobową klasą zbliżenie między mężczyzną a kobietą, skoro nawet rodzicom objaśnienia „tych spraw" własnemu dziecku przychodzi z dużą trudnością. Najczęściej też, rezygnują z tego przedsięwzięcia.

Warunkiem dającym szansę powodzenia działań wychowawczych w tej dziedzinie jest jedynie rozpoczynanie świadomego procesu wychowawczego znacznie wcześniej niż to się obecnie stara robić. Nie ulega wątpliwości, iż trzeba od samego początku wychowywać nasze dzieci w przeświadczeniu, że poczęcie i przyjście na świat człowieka nie jest jakąś brzydką, wstydliwie przez dorosłych ukrywaną tajemnicą, lecz sprawą naturalną i czystą, że warunkiem współżycia seksualnego są ciepłe i dobre uczucia, którymi darzą się partnerzy; że szczęśliwe współżycie seksualne musi się łączyć z miłością, serdecznością i odpowiedzialnością za los partnera. Nie możemy jednak w tej dziedzinie — jak potwierdza to życie — polegać na kulturze i odpowiedzialności ogółu polskich rodziców. W tej sytuacji podstawowym pomocnikiem młodzieży w zdobywaniu edukacji o życiu małżeńskim i rodzinnym staje się prawie wyłącznie ruch społeczny, poradnie planowania rodziny, przedmałżeńskie i rodzinne, świadomego macierzyństwa i ojcostwa, szkoły matek i ojców oraz wiele innych form działalności oświatowo-wychowawczej inspirowanej głównie przez Towarzystwo Planowania Rodziny. Działalność ta, to nie tylko przykłady zmiany obyczajowości, postępu oświaty seksualnej, troski o ludzi o społecznikowskiej pasji o przygotowanie młodych do dorosłego życia. To również jeszcze jedno świadectwo niespełnienia przez dom rodzinny i szkołę (od podstawowej do wyższej) ich wszechstronnie rozumianej funkcji wychowawczej.

Kto mnie nauczy kochać?

Jeżeli więc, ani rodzina, ani szkoła nie są w stanie wszechstronnie przygotować do życia małżeńskiego i rodzinnego, to warto jeszcze zajrzeć do księgarni, bibliotek, czytelni, poszukać tam książek z zakresu przygotowania do życia w rodzinie Tak, każdy z nas wie, jaki jest efekt poszukiwań lektur z tej dziedziny. Kiedy pokazała się niedawno na półkach księgarskich książka Jaczewskiego „Jesteśmy małżeństwem" młodzi ludzie kupowali po kilka egzemplarzy, a w kolejce po „Sztukę kochania" Wisłockiej na kiermaszu warszawskim ustawiono się o świcie. Warto dodać, że przed kilku laty, Towarzystwo Planowania Rodziny bezskutecznie poszukiwało na terenie kraju wydawnictwa, które zechciałoby wydać tę pozycję. Kozakiewicz, Jankowski, Starowicz, Sternadel i inni, to autorzy o których książki księgarnie są molestowane bez przerwy. Gdzieś w końcu przecież musi młodzież szukać odpowiedzi na gnębiące pytania, gdzieś musi odnajdywać swoich mistrzów i nauczycieli sztuki życia. Jest przecież zrozumiałe, że w żadnej książce, w żadnym najlepszym podręczniku i najlepszej szkole nie znajdzie się gotowej recepty na szczęście, która pasowałaby dla wszystkich, ale trzeba pokazywać i poznawać różne strony życia, sytuacje oraz sposoby rozwiązywania konfliktów, bo w przeciwnym razie nasze dążenia do szczęścia i trwałości rodziny mogą pozostać w sferze mitów, których nie przesłoni nowe mieszkanie czy kolejne doskonalenie kredytów dla młodych małżeństw.

Jeśli znamy już dzisiaj potrzeby młodej rodziny od jej ekonomicznej i socjalnej strony, to spójrzmy również wszyscy, i to o wiele poważniej niż dotychczas, na jej potrzeby w zakresie edukacji do życia małżeńskiego i rodzinnego. Mamy przecież w tym względzie już dobre i rzetelnie opracowane programy wychowawcze, których niejednokrotnie zazdroszczą nam zagraniczni pedagogowie. Okazuje się jednak, i jeszcze raz potwierdza doświadczenie, że programy żyją swoim odrębnym życiem a praktyka swoim. Wypada się tu zgodzić z publicystą „Zielonego Sztandaru", który niedawno pisał:

„Coś niedobrego dzieje się więc z naszą oświatą, wychowaniem, kulturą masową. Bo skoro dla wykonywania najprostszego nawet zawodu trzeba ukończyć odpowiedni kurs, przejść szkolenie, czy uczęszczać kilka lat do szkoły — to czemu pozostawia się bez opieki, instytucjonalnego przygotowania, pełnienia najważniejszej bodaj roli w życiu, roli małżonka czy rodzica?"

Proponuję odpowiedzi na to pytanie szukać po części we własnych domach i rodzinach, w szkołach, w organizacjach społecznych i młodzieżowych, w gabinetach i zespołach ludzi odpowiedzialnych za wychowanie, albo upodobnić się do nastolatków, którzy głęboko wierzą, że skoro się kochają, skoro oboje dążą do założenia rodziny — to wszystko będzie, musi być w porządku! Nieprawdziwe to, ale przecież wygodne.

KONIEC WAKACJI

ODCINEK VIII

WACŁAW BILIŃSKI

Zbudził go Zenek. Kossowicz ujrzał w mroku jego oczy, ich dziki wyraz. Nim usłyszał pierwsze słowa, wiedział co się stało. W popłochu zerwał się na nogi.

— Zaczyna się? — wybełkotał zapinając pas na rozchełstanym mundurze.

— Major każe zaprzęgać konie do auta — dyszał mu w twarz ciężkim oddechem Zenek. — I żeby nas tu nie było!

Budynek huczał od głosów, okrzyków, rozkazów. Zaspałem! — pomyślał Adam, sięgając po swą torbę. Wciąż jeszcze był z nim ten wróżebny sen. Drzwi od kancelarii szeroko otwarte ukazywały mroczną sień wypełnioną gorączkowym ruchem. W całej szkole, po korytarzach, we wszystkich kierunkach dudniły ciężkie kroki. Przekrzykiwały się nawoływania. Wwiercały w mózg gwizdki. Do gabinetu wpadł jak burza Wilczyński. Był w hełmie, na piersiach dyndała mu lornetka. Znieruchomiał na sekundę.

— Wy jeszcze tu? — zakrzyczał ochrypłym głosem. — Już was nie ma!

Rzucił się do telefonu. Rzęził do słuchawki jakiś kryptonim, zachłystywał się z przejęcia.

— Co widzisz? Mów co widzisz? Do dupy z mgłą! Musisz zobaczyć! Po co masz oczy!

Nagle poderwał wzrok w górę, zamilkł z półotwartymi ustami zapatrzony w sufit.

Nawoływania, galop podkutych żołnierskich butów, trzaskanie drzwiami, ciężkie cwały po schodach, cały ten hałas zamknięty wewnątrz budynku szkolnego miał dotąd jakby za tło jednostajne, dalekie buczenie, metaliczne i wibrujące. Na ten monotonny dźwięk spadł nowy, donośniejszy, przypominający stęknięcie. Aż zabrzęczały szyby. Co to takiego? — zdążył pomyśleć Adam. Wszystko działo się z zawrotną szybkością. Nie zapiął jeszcze munduru, palce mu drżały, guziki nie trafiały do dziurek. A w górze, wysoko, nadlatywały chyba samoloty. Taka była pierwsza myśl: jakże szybko zbliżają się! Za szybko, nawet jak na samoloty!

Szum zmienił się w poryw huraganu i na miasteczko spadły uderzenia, ciosy. Z brzękiem wyleciały szyby w oknach, rozwarły się puste framugi i tłukły histerycznie o ramy. Opadający tynk siłą podmuchu zamieniony w mąkę stanął słupem, zatkał oddech. Wszystko zakołysało się, przez moment podłoga uciekała spod nóg, chybnęły się ciężkie szafy.

— Wysadzaj! Słyszysz mnie! Wysadzaj! — wpółleżąc na biurku krzyczał Wilczyński do słuchawki.

Adama rzuciło na ścianę, na jego głowę osunęły się z szafy dziesiątki zeszytów, spadł globus i jakaś pełna szkła skrzynka. Błyski i eksplozje burzyły Braszkę, podmuchy szarpały firankami, zatykały dech w piersiach. Wydawało się, że bezpośrednie trafienia dosięgły i szkoły. Ktoś blisko krzyczał okropnym głosem.

— Mamuńciu! — łkał Adamowi do ucha Zenek w szoku, zupełnie nieprzytomnie. Obaj upadli na kolana, dźwigali się zataczając jak pijani.

— Ogień! Ogień z wszystkich luf! — darł się Wilczyński klęcząc przed biurkiem. — Przechodzę na bojowe PeO. Co, co? Zaraz...

Skoczył do drzwi i przekrzyczał ten ogłuszający hałas:

— Ze Straży Celnej pytają co robić z tym Niemcem?

Adam dźwignął się z podłogi. Przecierał pięściami zasypane pyłem oczy. Gra wywiadowcza! Błąd sztuki! Klon-Sawicki, żeby on tu był teraz! Niemiec chciał nas ostrzec, on wiedział, on jeden wiedział na pewno. Naiwne, wiejskie, sielskie, polskie durnie, jakoś to będzie, cała nasza filozofia. I samozachwyt: jesteśmy sprytniejsi!

Zatoczył się na ścianę, chwycił za ramię Zenka, czując w miękkich kolanach cały swój strach, całą panikę zaskoczenia. Zmuszając się do decyzji pomyślał. Boże! Przecież nie jesteśmy jeszcze i na dobitek tchórzami.

— Zabieramy go! — wołał za Wilczyńskim w głąb sionki. — Będziemy tam za pięć minut!

W korytarzu zderzył się z jakimś oficerem, było tu ciemno, stał gęsty pył, już rudziejący od łuny. Wypadł ze szkoły ciągnąc za sobą Zenka. Plutonowy wyrywał się.

— Puść do cholery! — szczeknął nieswoim głosem.

Na progu zachłysnęli się gorzkim, trującym odorem wybuchów. Uliczka, jak i całe miasteczko stała w ogniu, pierwsza salwa zapaliła tyle strzech, zburzyła tyle domów, to zaskoczenie — i myśl smagająca niby biczem — Hochman mówił prawdę. To się tylko odwlekło!

— Musimy po tego Niemca — zakrzyczał w twarz Zenkowi. — Szybko!

— Tak ryzykować dla jakiegoś Szwaba?

Adam machnął z wściekłością ręką, ścisnął pięść i pokazał ją plutonowemu. Pobiegli pod ścianami, w stronę rzeczki. Braszka huczała jak podpalony stos chrustu. Zenek zostawał w tyle. Adam wyrwał z kabury pistolet.

— Wal przodem.

Nagle wydało mu się, że od tego czy zdąży wyrwać Hochmana stamtąd, że właśnie od tego zależy wiele, może wszystko. Chciał coś ocalić. Co? Samego siebie, swą godność, szacunek dla własnych racji. W błyskawicznym skrócie ujrzał tę zabawę w zgadywankę. Szpieg czy dywersant? I próby wróżenia z fusów. Będzie wojna, czy nie będzie? Głupota, co za głupota, Klon, rozmówki z nim. Pomyślał i o Niemcu: jeden Sprawiedliwy. Bielmo na oczach. Powtarzał w kółko, przecież nie mogę pozwolić, nie mogę pozwolić! Już nie miał wątpliwości. Nie czuł strachu, tylko dławiące podniecenie.

— Myślisz, że ja się boję? — wyszczerzył do niego zęby plutonowy.

Biegli wzdłuż murku kościelnego, z którego odpadł cały tynk, potykali się o jego zwały, nurkowali w smużący się dym, chyłkiem, byle szybciej, co sił. Znów dudnienie na tle tego wibrującego dźwięku. Wysoki, złowieszczy szum zbliżał się, rósł. Padli w rów akurat gdy pierwszy pocisk ugodził w bliski dom, przez chwilę ziemia pod nimi dygotała w konwulsjach. Na Braszkę spadła nowa lawina żelaza i ognia.

Przecież wiedziałem, że tak będzie, rozpaczliwie pomyślał Adam. Ta Braszka, te strzechy, i my, cała Polska, od tej chwili coś się kończy i nigdy już nie będzie jak przedtem.

Najbliższy dom rozniosło w drzazgi, drewniana, kryta strzechą chałupa rozsypała się w płonące szczapy. Wszystko zagłuszały eksplozje. Dławił dym spalenizny. Smród wybuchów. Jeszcze nie zacichły ostatnie detonacje, a już zerwał się ludzki wrzask, wycie, jęki, zawodzenia i buczący, pełen lęku, rozpaczliwy ryk bydła. A także tępy, rytmicznie dudniący grzechot broni maszynowej. Przeskoczyli pełen ludzi ryneczek. Pod domy wyroił się tłum miejscowych Żydów, starcy, kobiety, dzieci. Czarny potok spływał w wąską uliczkę wiodącą na wschód, jazgot, płacz, cienki kobiecy lament. Po wyboistym placu, w szalonym pospiechu gnały we wszystkich kierunkach grupy żołnierzy, jacyś policjanci, straż graniczna. Z uliczki nadrzecznej wybiegali chłopi i baby z chudobą na postronkach. Wśród ludzkiej ciżby przejeżdżały galopem wojskowe zaprzęgi. Krowy w ślepym popłochu, nisko opuściwszy łby ciągnęły za sobą łańcuchy. Rżały bezpańskie, spłoszone konie. Ile czasu minęło od pierwszej salwy? Wozy taborowe i sanitarne torowały sobie bezwzględnie drogę. Woźnicy, na stojąco, z lejcami w garści, batożyli konie i ludzi. Adam dostrzegł, jak bezpańska kuchnia polowa, dymiąca, wprzężona w parę oszalałych ze strachu koni tratuje ludzi, jak bluzga kipiącą kaszą, miażdży leżących na ziemi, uderza o pryzmę kamieni, odbije się od niej, kaleczy konie i wpada w jamę wykopu. Wszędzie wokół pod ścianami, na środku placu, na drodze, ciała żołnierzy, chłopów, Żydów. Zrobiło się ciemno. Nad Braszką wzbijała się chmura dymów. A więc tak wygląda wojna. Zaczęło się. Skokami, odrywając się od bram pełnych ludzi dopadli synagogi. Adamowi przeszkadzała w biegu torba, ale nie mógł jej odrzucić. Kończyła się zabudowa miasteczka. Dalej — targowica, płaska łąka pokryta zaschłym błotem i kupami gnoju. Za nią w ogniu biały budynek Straży Celnej. Jakoś się przecież ostał, choć objęty płomieniami, trafiony pociskiem artyleryjskim. Jeszcze dalej dymiło po wysadzeniu rumowisko granicznego mostku. Saperzy zrobili co do nich należało. Teraz wszyscy musimy. Od każdego z nas, od tego właśnie, myślał Adam nie mogąc złapać oddechu. Trzeba naprawić błędy. Bezmyślność, tę bierność. Teraz, właśnie teraz. Przylgnęli do ściany synagogi. Zenek wparł się w nią plecami, nogi pod nim się ugięły, przysiadł. Adam zza węgła patrzył w ten pusty, dzielący ich od celu plac. Po karku spływały mu strużki potu. Nie dać się, powtarzał w myślach, nie dać się!

Otwarą przestrzeń przed nimi wypełniał nieustanny, jadowity, jazgotliwy poszum pocisków, grzechot broni ręcznej i maszynowej, nisko smużące się dymy gnane przez wschodni wiatr, resztki porannej mgły, coś sygnalizujące rakiety, dalej, bliżej.

— Jezus Maria. Trzeba wariata! — skomlał Zenek. Z trudem dźwignął się na nogi, rozpinał spodnie. Oddał mocz.

— Ja pierwszy, ty za mną — wypluł z siebie Adam. — No, prędzej! Już!

Skoczył. Jakże to było daleko! Strzępy myśli: Nie uda się! Mój ojciec. Po co to? Co za fatum? Nisko schylony biegł z sercem w gardle.

Już targowisko. Pod nogami kupy mierzwy. Stos niezauważonych przedtem desek. Resztki rozeschłej beczki, która zmieniła się w sidła na ich nogi. Padł na zżółkłą darń, za zasłoną płonącego budynku, jeszcze daleko od jego ściany, ale stamtąd, zza rzeki już go nie mogli widzieć. — Ty bufonie! Głupi donkiszocie! Po co to? Instynkt samozachowawczy dawał znać o sobie. Jeszcze dwadzieścia kroków biegiem. Ostatkiem sił. Zenek gdzieś został. Już pewnie spieprza do tyłu, cwaniak. Nareszcie przy ścianie. Dopadł wypalonego muru, właśnie zwalił się strop. Osypało go iskrami. Rozejrzał się. Wokół twarze żołnierzy, celników, jakiś oficer.

— Po tego Niemca!

— To go bierz! — odwrzasnął tamten.

— Na łódkach! Na łódkach! — zakrzyczał ktoś obok. Adam rozejrzał się. Tu, zza tej ściany, gdy tak siedzieli, zza tych na wpół zburzonych, wypalających się budynków widzieli rzeczkę, która otaczała ich szerokim, zawierzbionym rozlewiskiem. Na całej jej długości zjawiły się małe, czarne, pełne ludzi pontony, tamten brzeg zaroił się nimi, były szybkie, niektóre już dobijały do polskiej strony.

— Wycofujemy się! — krzyczał oficer. — I po nich, ognia!

Poderwał się na nogi. Był wysoki, chudy, wymachiwał nad głową Adama ręką z pistoletem, przypominał wiatrak o ruchomych skrzydłach.

Kossowicz wciąż jeszcze po biegu tchu nie mogąc złapać wypatrzył pod ścianą Hochmana w żałobnym, ślubnym ubraniu. Niemiec leżał twarzą do ziemi, przy swej walizce. Nie żyje? — pomyślał Kossowicz. — Po co było tu biec, idioto! Przyskoczył targnął za ramię. Hochman usiadł. Miał osmoloną twarz, był bez okularów, błyskał jak Murzyn białkami, czerwonymi od ognia.

— Ta zwłoka... — wymamrotał. — Ta zwłoka, nie rozumiem...

Natomiast Adam nagle pojął znaczenie wszystkich snów ostatnich nocy. Poczuł, że już wie wszystko. Otrząsnął się z lęku. Był pewny. Tak trzeba, pomyślał. Skądyś wziął się obok Zenek. Nie zwiał, jest, a już go osądziłem! Plutonowy wychynął z kłębów dymu, całą twarz miał we krwi. Ocierał ją oburącz. Zajrzał w oczy Adamowi, schwycił Niemca za lewe ramię.

— Łap za drugie i do tyłu! — krzyknął.

Adam zrobił to, Hochman ogłupiały, a może w szoku nie puścił walizki musiał ją wyrwać z rąk Niemca i odrzucić. Obrońcy budynku Straży Celnej przebiegali pojedynczo przez wolną przestrzeń. Tylko niektórym się udawało. Inni leżeli już nieruchomo na zgnojonej glinie targowiska. Tuż przed nimi biegł wysoki oficer, schylony, niezgrabny, gdy dostał serię — Adam usłyszał ją, zaświergotała w powietrzu jak stado szpaków — wyrzucił ręce wysoko nad głowę, jakby się poddawał.

Jego by ratować! — pomyślał Adam. Lecz przecież ciągnął Niemca. Z wysiłku miał krew w ustach. Dopadli skokiem zbawczego węgła synagogi, potem pierwszej, płonącej chaty, przystanęli plecami do ściany, dusząc się z wysiłku i dymu. Byle tylko złapać oddech.

Górą nad ich głowami, nad ogniem pożarów, szły niemieckie eskadry.

— Zaczęli tak, jak mówiłem, o czwartej — krzyczał Niemiec. Był ogłuszony, aż nadrywał głos. — Jestem ranny w lewą nogę.

Istotnie bardzo krwawił. Czarna nogawka lepiła się do łydki tłustą, coraz większą plamą. Ale te pontony, pontony! — przeraził się Adam. — Oni zaraz tu będą.

— Bierzemy go — powiedział i dźwignął Niemca.

— O, k... mać — jęknął Zenek. I on był ranny. Rozmazywał po twarzy krew. — Źle widzę.

— Możesz biec?

— Spierdalajmy czym prędzej.

Przebiegli kilkadziesiąt metrów wiejską uliczką, zupełnie opustoszałą, wśród złowieszczego świergotu kul. Za plecami mamy już tamtych, z pontonów — pomyślał Adam. Trzeszczał nad głowami ogień pożarów. Dym zamykał się jak pułap, płonęły z hukiem domy po obu stronach uliczki. Ogień na strzępy rwał w górę zbutwiałe strzechy, słupami godził w zasłaniającą niebo czarną chmurę. Adam zgubił Visa, jeszcze przed chwilą miał go w garści. Niemiec jęczał ciągnąc za sobą bezwładną nogę, Kossowicz przerzucił sobie jego ramię przez kark.

— Czy warto się tak męczyć? Mówię, zostawmy go, ratujmy się — stęknął Zenek. — Co z moimi oczami? Ja nic nie widzę.

To moja sprawa, pomyślał Adam, sprawa honoru, ależ błazen ze mnie, kabotyn.

— Ja się nim zajmę — wypluł decyzję. — Uciekaj!

Twarz osmalona ogniem piekła, oczy łzawiły. Teraz inaczej. Od takich jak my. Skończyły się czasy... Nagle uświadomił sobie że Wilczyński będzie kontratakować, nie pozwoli, by ci w pontonach zawładnęli miasteczkiem. Tego był pewny. Tylko patrzeć, a ruszy kontratak. Żeby się wtedy nie znaleźć między walczącymi.

— O, k... mać, ale mnie pokarało — pojękiwał Zenek. — Wycierał rękawami krew z czoła, brwi, policzków. Zarzucił sobie drugie ramię Hochmana przez kark i we dwójkę pociągnęli go środkiem uliczki. Co za cel. Niemcy nas skoszą, myślał Adam. — Czwarta godzina!

A jednak udało się przebiec i tę uliczkę, nie dosięgnęły ich kule, wbiegli na rynek. I wszystko to okazało się niepotrzebne. Wszystko na próżno.

KONIEC

Tym odcinkiem kończymy druk fragmentów powieści Wacława Bilińskiego „Koniec wakacji", która ukaże się nakładem wydawnictwa MON.

ALEG ŁOJKA

KIEDY GINIE POETA

Tu poległ Krzysztof Kamil Baczyński
(Z napisów na ulicach Warszawy)

Kiedy ginie poeta,
Ginie wtedy więcej, niż człowiek:
Pieśń, na którą lud czekał,
Wizja świata pod skrzydłem powiek.

Kiedy ginie poeta,
To ginie coś więcej, niż żołnierz:
Spada świetlna kometa
Z nocy sierpnia w mroki zapomnień.

Kiedy ginie poeta,
Ginie więcej, niż syn jedyny:
Świat, barwy jak paleta,
Dźwięczne serce twojej ojczyzny.

Kiedy poeta ginie,
Mniejsza, na której z ulic miasta,
Świat odnawia swe imię
I w legendę jego obrasta.

przełożył:
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

ALEŚ RAZANAU

Z CYKLU: „LINIA PRZERYWANA"

* * *

I wczoraj, i dzisiaj
obyłem się bez twojego głosu,
bez twego oddechu...
I teraz nie potrafię sobie odpowiedzieć,
bez czego nie można się obyć?

* * *

Głos wołał —
dlatego przychodziłem...
Głos zamilkał, kiedy przychodziłem.

* * *

Sosny czekają na burzę —
to ona wyznaczy wybrane,
które roztrzaska piorun.

* * *

Pić mleko...
Nie zaznać mdłości,
po miastach się nie włóczyć,
być młodym w młodości,
później umiaru się nauczyć.
Pić mleko!

* * *

Nie powróci żołnierz,
nie powróci wędrowiec,
ale siewca powróci...
Zawsze powraca
siewca.

* * *

Drogo do domu!
Wszystkie drogi,
po których chodziłem i jeździłem,
wchłania droga do domu.

* * *

Przekładam szept deszczów,
spojrzenie oczu,
trzepot zagajników...
Dotykam,
słucham,
oglądam
I nic nie piszę — przekładam.

Tłumaczył z białoruskiego:
JAN HUSZCZA

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

TO, CO JEST

Na kolejny, już szósty Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku wybrałem się po raz pierwszy. Dotychczasowe festiwale omijałem, przewidując nie bez racji, że nie zdarzy się na nich nic godnego szczególnej uwagi. Filmy polskie były takie, jakie były, a cała ta impreza miała służyć bardziej animacji, aniżeli prezentacji osiągnięć polskiej kinematografii. Owszem, pamiętam o ostatnich filmach Wajdy, Zanussiego czy Królikiewicza, ale po cóż jeździć do kina z Łodzi do Gdańska, aby obejrzeć 2—3 filmy na szarym, nudnym, wręcz odpychającym tle „całej reszty"?

W tym roku wiele znaków na niebie i na ziemi wskazywało, że ta nieszczęsna proporcja, która od kilkunastu lat prześladowała film polski zostanie zachwiana, że w ciągu minionych kilku lat w kinie krótkometrażowym i telewizyjnym dojrzewały zjawiska, które właśnie w tym roku winny dać pierwsze owoce, że nowa generacja filmowców stoi ante portas. Z takimi przeczuciami nie ja jeden jechałem w tym roku na gdański festiwal i przeczucia te nas nie zawiodły.

Istotnie, ostatni festiwal gdański był w zgodnej opinii bywalców najciekawszy z dotychczasowych, stał się bowiem aktem oficjalnej promocji nowej formacji światopoglądowej w naszym kinie, która zyskała już krytyczną etykietę „kina moralnego niepokoju". Pod tym nieostrym hasłem wywoławczym ukrywa się spora grupa filmów młodych (częstokroć w cudzysłowie) reżyserów, którzy z godnym pozazdroszczenia impetem wkroczyli na ekran w solidarnym szeregu. Jednakże istna eksplozja młodego filmu nie byłaby możliwa, gdyby nie umożliwiły jej warunki organizacyjno-produkcyjne. Otóż w minionym sezonie nasza kinematografia wreszcie przekroczyła granicę 30 filmów fabularnych rocznie. Przestała być produkcją — jak to określił Andrzej Wajda na Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich — a stała się przemysłem. Tym samym tak wyraźny i dawno oczekiwany skok ilościowy przyniósł pożądaną zmianę jakościową. Bowiem przy takim potencjale produkcyjnym można było w większym stopniu umożliwić debiuty, stworzyć szanse młodym, zdolnym, „dobrze zapowiadającym się". Blisko jedna trzecia filmów zrealizowanych w ostatnim sezonie to debiuty. Po raz kolejny sprawdziła się teoria „świeżego dopływu krwi" postulowana przez krytykę.

W przekonaniu, że nastąpił ważny moment w krystalizacji istotnej i od kilku lat narastającej tendencji twórczej Stowarzyszenie Filmowców Polskich zaprosiło na tegoroczny festiwal gremium najwybitniejszych przedstawicieli europejskiej krytyki filmowej, organizując dla nich znakomicie przygotowane seminarium poświęcone analizie nowych zjawisk w filmie polskim na tle jego dotychczasowej tradycji światopoglądowej i artystycznej. Obserwatorami festiwalu były obok krytyki polskiej tej miary postacie jak Marcel Martin i Albert Cervoni z Francji, Lino Micciche z Włoch (aktualny przewodniczący FIPRESCI), Peter Cowie z Anglii, Ulrich Gregor i Hans — Joachim Schlegel z Berlina Zachodniego czy Miron Czernienko i Irina Rubanowa z ZSRR. Dzięki ich relacjom, esejom i recenzjom tegoroczny sukces polskiej kinematografii nabierze — jak wolno mniemać — międzynarodowego znaczenia. Jego pierwszym symptomem był Złoty Medal przyznany „Amatorowi" Krzysztofa Kieślowskiego na moskiewskim festiwalu. Werdykt ten potwierdziło jury w Gdańsku, przyznając „Amatorowi" również Grand Prix, bowiem był to bezsprzecznie najżywiej przyjmowany i najbogatszy myślowo film festiwalu.

Nowe zjawiska w sztuce nie rodzą się bez przyczyny, nie powstają i nie egzystują w społecznej próżni. Kiedy powstaje ruch umysłowy wokół wkraczającego do kultury pokolenia nieuchronnie pojawiają się pytania o jego rodowód ideowy, o krąg wybieranych i proponowanych wartości, o stosunek do generacji poprzednich i ich wkładu w kulturę, wreszcie o twórcze perspektywy drogi, którą idą jego przedstawiciele. Dopiero odpowiedź na tak sformułowaną ankietę pozwala na definicję ideowej i artystycznej postawy wobec rzeczywistości debiutujących pod wspólnym sztandarem artystów i stwarza sensowny kontekst dla analizy ich pierwszych wyrażonych pełnym głosem utworów.

Spoglądając na dzieje europejskich kinematografii po II wojnie światowej łatwo odkryć znany mechanizm przemian, który polega na dialektycznej walce pomiędzy „starym" i „nowym". Ten wzór historycznej dynamiki sztuki filmowej staje się częstokroć instrumentem nader schematycznej interpretacji, która przeceniając nowatorskie elementy lekceważy niejednokrotnie na wpół uświadomione zakorzenienie w tradycji. Wydaje się, że fenomen „kina moralnego niepokoju", jeśli stanie się w przyszłości obiektem zainteresowania historyków, winien zmusić ich do rewizji tego schematu. Jednakże może zdarzyć się i tak, że ujrzana z historycznej odległości, po latach formacja ta, nie legitymując się dostateczną wyrazistością estetyczną, straci na znaczeniu bezwzględnym pozbawiona oparcia w społecznym klimacie, z którego tak bezpośrednio hic et nunc wynika. Tego rodzaju prognozy są przedwczesne, ponieważ pierwsze utwory naszej „nowej fali" są — ufamy — jedynie zapowiedzią dzieł bardziej pełnych, dojrzałych i zróżnicowanych, ale warto o takiej możliwości przyszłego osądu pamiętać. Podkreślam ten perspektywny charakter ekranowej moralistyki, gdyż namysł nad dalszym kierunkiem rozwoju był bardzo istotnym motywem festiwalowych debat i kuluarowych komentarzy.

Moraliści z kamerą w ręku są ludźmi urodzonymi w latach 40-tych. Stwierdzenie to oznacza, że są oni pierwszym pokoleniem w kulturze wyzbytym kompleksu wojny. Ale nie tylko to jest ważne. Ważne jest również i to, że są oni rówieśnikami ustroju socjalistycznego w Polsce, że jest to jedyny znany im układ społeczno-polityczny, którego ideały w pełni akceptują, lecz ich sprzeciw wzbudzają nieprawidłowości występujące w naszym życiu społecznym. Celem ich ataku są objawy, jak np.: klikowość, podwójna moralność, demagogia, cynizm, zanik odwagi cywilnej, rutyna nadużywanie władzy, przewaga racji instytucjonalnych nad racjami jednostki, argumentacja z pozycji siły, obniżenie kryteriów etycznych w ocenie ludzkich działań, zasad „cel uświęca środki", recydywa drobnomieszczańskiego ethosu, brak aspiracji wyższego rzędu związany z konsumpcyjnym stosunkiem do życia, czy bezwzględny arywizm. Zabierają głos w tych bolesnych sprawach w imieniu jednostki, wyrażają powszechną tęsknotę do moralnego ładu.

Z tak sformułowanego kanonu tematycznego, który jednoczy we wspólnym przesłaniu sporą grupę filmów wynika, że ich problematyka kontynuuje tradycję moralistyki uprawianej w drugiej połowie lat 50-tych, w okresie „odwilży" przez Andrzeja Munka, który podejmował temat ludzkiego losu nie tylko w trybie — w „Człowieku na torze" — najszlachetniejszej publicystyki, ale również w perspektywie — w „Zezowatym szczęściu" — wielkiej syntezy o historiozoficznych ambicjach. Po tragicznej śmierci Munka, która zbiegła się z końcem „szkoły polskiej" kino polskie niekiedy ocierało się o dylematy etyczne („Nóż w wodzie", filmy Jerzego Skolimowskiego), jednakże ich pełna ekspresja wymagała innego klimatu politycznego. Właśnie klimat polityczny wyrażany w zmieniających się zasadach polityki kulturalnej wydaje się czynnikiem decydującym w ujawnianiu lub zawężaniu odruchu krytycznej pasji moralnej w sztuce nie tylko filmowej. Tradycja Munkowska znalazła swoją twórczą kontynuację w latach 70-tych w twórczości Krzysztofa Zanussiego, który dla dzisiejszych debiutantów stał się jeśli nie klasykiem, to przynajmniej arką przymierza między dawnymi a nowymi laty.

Tak zarysowany rodowód niewątpliwie nobilituje młode kino polskie, którego przedstawiciele — jakby dyskontując tę okoliczność — ostentacyjnie podkreślają brak buntu wobec poprzedników w swoim programie, natomiast całą gniewną pasję kierują przeciwko „skrzeczącej rzeczywistości". Z orientacji na rzeczywistość, z otwarcia na znaczenia, które w sobie kryje, rodzi się lekceważenie dla poetyk wyrafinowanych formalnie i dla eksperymentu w sztuce. Do tytułowego bohatera filmu „Amator", który jest porte parole autora odzywa się na festiwalu (sic!) filmów amatorskich jeden z bywalców: „Ty filmujesz to, co jest. Ciekawa koncepcja!". Właśnie, młodzi twórcy, o których mowa pokazują w swoich obrazach „to, co jest" i pokazują to bez cudzysłowu stylistycznego, lecz w sposób niezwykle naturalny, prosty, bezpośredni. Na festiwalu wiele mówiło się o wadze dokumentalnego doświadczenia, które przeszli przynajmniej niektórzy z nich (przede wszystkim Kieślowski). Praktyka w dokumencie obdarzyła ich świetną znajomością rzeczywistego wyglądu świata oraz ludzi, którzy w nim żyją. Ta wiedza spowodowała nie znane do tej pory w polskiej kinematografii nasycenie obrazów w ich filmach realiami, które znaczą, sprowokowała zmiany w budowie bohaterów, w ich sposobie bycia, w dialogach, w ich wzajemnych odniesieniach, wywołała odmienny styl reżyserii polegający na zagęszczeniu przestrzeni kadru i rozgrywaniu akcji w kilku planach nie tylko przestrzennych, ale również dźwiękowych (przy, niestety, częstokroć fatalnej jakości technicznej dźwięku), wreszcie, wpłynęła na o wiele bardziej dynamiczny styl narracji aniżeli w celebrowanych „moderato cantabile" dotychczasowych filmach rodzimej produkcji. Na tę generalną rewolucję warsztatową wpłynęła również widoczna gołym okiem uważna lektura filmów amerykańskich.

Jednocześnie nie sposób opędzić się od dręczącego przekonania, że to, co jest siłą tych filmów staje się zarodkiem ich słabości. Demonstracja „tego, co jest" fascynuje odkryciem... oczywistości. Wszyscy doskonale wiemy „co jest" i „jak jest", bo z tego składa się nasze życie codzienne, bo to jest tematem naszych myśli i rozmów, istotą naszego potocznego bytu, naszym „chlebem powszednim". Nasza radość płynąca z ujrzenia fragmentu rzeczywistości, jaką znamy i ludzi, jakich spotykamy na ulicy jest naiwna, bo przypomina doznanie dziecka, które po raz pierwszy zobaczyło swoje odbicie w lustrze. Ustawienie tego lustra przed nami jest sukcesem błyskotliwym, ale łatwym, ponieważ istotna wiedza o ludzkiej kondycji, prawdziwe odkrycie natury człowieka w jego społecznym bytowaniu leży nieco głębiej, pod powierzchnią efektownych obserwacji. Fascynujący przy pierwszym zbliżeniu, paradokumentalny weryzm tych filmów grozi niebezpieczeństwem chwytów nazbyt publicystycznych, doraźnych, interwencyjnych. Z migotliwej warstwy trafnie zauważonych ludzkich zachowań, dialogów, sytuacji, z trudem wykluwają się prawdy uniwersalne.

Oto film debiutujący Agnieszki Holland „Aktorzy prowincjonalni", koronny przykład pułapek kryjących się w tej postawie. Dopóki autorka obnaża, demaskuje, krytykuje i szydzi solidaryzujemy się z nią w całej pełni, ale kiedy z pomocą Wyspiańskiego usiłuje w twórczym mozole wznieść „na samym dnie" konstrukcję pozytywną od razu czujemy żałosną nierówność obojga partnerów. Film Agnieszki Holland jest wymownym dowodem „drogiej odwagi, ale taniego rozumu". A chciałoby się, aby w cenie było dzisiaj jedno i drugie.

Symptomem innego niebezpieczeństwa, które wynika z pokoleniowej wspólnoty przekonań moralnych i estetycznych jest zanik w wyjątkowo solidarnym, zespołowym działaniu twórczym głosów indywidualnych, silnie zarysowanych osobowości artystycznych. Bezpośrednio wrażenie to wyraził jeden z uczestników festiwalowych dyskusji: filmy Kieślowskiego, Holland, Falka, Andrejewa czy Kijowskiego zlewają się w jedną całość podpisaną przez jednego autora, ponieważ skaczą do oczu ich zbieżności w wyborze tematyki, w penetracji identycznych środowisk społecznych, w psychologicznej, socjalnej i etycznej charakterystyce bohaterów w konstrukcji konfliktów i sytuacji fabularnych czy w stylistycznej orientacji. Powtarzam, jest to dopiero niebezpieczeństwo, groźba, ponieważ oglądamy w większości dopiero pierwsze filmy reżyserów, którzy znajdują się na progu swojej drogi w sztuce, ale warto o tym pamiętać.

Podejmując charakterystykę zawartości i poetyki filmów moralnie niespokojnych nieco przekornie wyliczyłem ich słabości, albowiem drażniła mnie na festiwalu starannie kreowana wokół nich aura sukcesu, którego propaganda w oczywisty sposób dowartościowuje to co jest zapowiedzią wartości prawdziwie dojrzałych i twórczych. Tymczasem uroki sukcesu bywają zdradliwe. Pisał o nich w „Małych listach" Sławomir Mrożek: „Biada ci, jeśli napiszesz coś, co odniesie sukces. Nigdy się już potem spod tego nie wygrzebiesz. Będą ci to wypominali do końca życia i zamienisz się w konia, co musi biegać coraz szybciej". Jednakże terror sukcesu windowanego ponad miarę powoduje zachwianie hierarchii wartości, utratę uniwersalnej perspektywy w ocenie sztuki na rzecz krótkowzrocznej koniunktury, rodzi postawy naśladowcze, uniemożliwia wielokierunkowy rozwój kultury.

Z drugiej strony byłoby ślepotą przeoczenie w tych filmach ogromnie ważnej dla rozwoju polskiej kinematografii okoliczności, jaką jest nawiązanie poprzez ekran dwustronnego kontaktu: z rzeczywistością, która rozpościera się poza murami kina, która nie jest fikcyjna, lecz przejmująco prawdziwa oraz — właśnie dzięki temu — z widzami, którzy łakną prawdy. Ten kontakt jest uzdrawiający, zrywa bielmo z obiektywu kamery, olśniewa ukazaniem fundamentalnej prawdy. Pozostaje tylko problem najważniejszy: co począć dalej z tą prawdą, w którą stronę skierować jej oczyszczającą moc, jak naprawić świat, któremu tak trafnie wymierza się sprawiedliwość? Nie wydaje się, aby generacja powołująca się na tak szlachetną genealogię była zwolniona od poszukiwania odpowiedzi na te dręczące społeczeństwo pytania.

Tymczasem odpowiedzi formułowane w opisywanych filmach mają nierówną wartość. Brzmią histerycznie i bełkotliwie w „Aktorach prowincjonalnych", popadają w szlachetny, ale nazbyt retoryczny stereotyp w „Szansie" Feliksa Falka, wreszcie proponują rozwiązania moralnie dwuznaczne w „Kung Fu" Janusza Kijowskiego. Jedynym filmem moralistycznej fali, który wszystkich pogodził i uzyskał powszechny aplauz przypieczętowany oficjalnym uznaniem był „Amator" Krzysztofa Kieślowskiego. Reżyserowi udało się związać w jedną całość plan wnikliwej, realistycznej obserwacji z konstrukcją metaforyczną, która organicznie wyrasta z warstwy konkretów. Chciałbym z tego filmu wyjąć zaledwie jeden wątek problemowy, który stanowi znakomity komentarz do filmów jego przyjaciół. Bohater filmu, filmowiec-amator powodowany namiętną pasją mówienia prawdy poznaje nie tylko gorycz szczerości, ale również ciężar odpowiedzialności, która z niej wynika.

O innych filmach festiwalowej konfrontacji za tydzień.

FILM

„PANNY Z WILKA"

Proza Jarosława Iwaszkiewicza była w minionym 35-leciu naszej kinematografii materiałem literackim przyciągającym uwagę filmowców nader często. Podwójny jubileusz — nestora polskiej literatury i, jakże skromniejszy w datach, jubileusz naszej kinematografii jest pretekstem do przypomnienia, iż „PANNY Z WILKA" w reżyserii Andrzeja Wajdy poprzedziły następujące adaptacje opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza: „Dom na pustkowiu" Jana Rybkowskiego (1950), „Matka Joanna od Aniołów" Jerzego Kawalerowicza (1961), „Ubranie prawie nowe" (według „Róży") Włodzimierza Haupego (1964), „Kochankowie z Marony" Jerzego Zarzyckiego (1966), „Brzezina" Andrzeja Wajdy (1970). W trzech wspomnianych tu przypadkach można mówić tu o wybitnych filmach. Zwycięsko zmierzyć z prozą Iwaszkiewicza udało się bowiem Kawalerowiczowi i dwukrotnie Wajdzie. Obaj reżyserzy dotknęli tych strun, które wydały dźwięk najwłaściwszy, choć nie zawsze w pełni zgodny z wszystkimi tonacjami literackiego pierwowzoru. Te udane przykłady i te nieudane, są dowodem, jaką pułapką jest dla filmowca ta proza. Jak trudno w obrazowej wypowiedzi wydobyć delikatne odcienie pisarstwa Iwaszkiewicza, jego stosunek do natury człowieka i przyrody, mistrzostwo gry i analizy psychologicznej, jak trudno posłużyć się jego techniką niedopowiedzenia.

Jeśli jednakże powstał film taki, jak „Panny z Wilka", to można sądzić, że dziś adaptacja filmowa dzieła literackiego to nie tylko obrazowa konkretyzacja fabuły i postaci bohaterów czy zastosowanie podobnych układów kompozycyjnych i form narracyjnych. To także umiejętność dotarcia do tajemniczego pierwiastka oryginalności adaptowanego tekstu i odnalezienia dlań filmowych ekwiwalentów. To także pełna znajomość walorów tworzyw znamiennych nie tylko dla sztuki kina i pełna wyobraźni twórczej swoboda posługiwania się nimi w sposób, który pozwala tworzyć dzieła w artystyczności swej autonomiczne i piękne, choć wszystkim tym, którzy pierwowzór literacki znają, przypominające jego istnienie, zmuszające do porównawczej refleksji. Refleksja ta przydaje estetycznemu przeżyciu smak dodatkowy, dostępny nie wszystkim. Nie zapominajmy jednak, że filmowe „Wesele" i filmowa „Brzezina" Andrzeja Wajdy dzieła, które szły w świat bez swych literackich kontekstów, odnosiły sukcesy tylko dlatego, że są po prostu wspaniałymi filmami. To zapewne stanie się też z „Pannami z Wilka", choć piękno tego filmu ma dla nas ów smak dodatkowy, zrodzony z tej kulturowej perspektywy, którą przydaje mu samo opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza.

To w nim, a nie gdzie indziej, odnalazł Andrzej Wajda rzeczywistość, którą wypełnił swój film. Owo słowo rzeczywistość odnosi się tu nie tylko do świata realności przedmiotowej, to także świat obyczaju i stylu życia sprzed lat. To również świat sytuacji psychologicznych, o których najłatwiej powiedzieć nam, że są ponadczasowe. I choć to prawda, to jednak te, które nam dano w literackich i filmowych „Pannach z Wilka" w swym klimacie wydają się dziś, w rzeczywistości dla nich tak innej, niepowtarzalne.

Piękno filmu Andrzeja Wajdy tkwi więc między innymi w owej rekonstrukcji świata, którego w całym splocie jego ówczesnej realności już nie ma. To filmowi i tylko filmowi tak wszechstronnie oddziaływającemu na nasze zmysły zawdzięczamy uczucie obecności w tym świecie, uczucie dotykalności, wrażenie smaku i zapachu przyrody, ciepła słońca, ciszy mroku, fizycznego piękna człowieka. To wszystko Andrzej Wajda i operator Edward Kłosiński wyczarowali na ekranie, dając nam owo niezwykłe, mówiąc słowami klasyka, uczucie „obcowania z materią". Jej częścią jest świat ludzi z ich radościami i smutkami, marzeniami i rezygnacją, zawodami i klęskami, z ich poszukiwaniem i wiecznym czekaniem.

Są „Panny z Wilka" rzadkim w naszej literaturze i filmie przypadkiem, gdy w centrum uwagi autora staje świat kobiet. Mistrz psychologicznych niuansów daje tu Andrzejowi Wajdzie, po raz pierwszy w jego twórczości, taką szansę. Jeśli wspomnimy jego filmy, to przyjdzie nam stwierdzić, że choć portrety kobiet nigdy nie były w nich banalne, że ich rysunek prowadzony był kreską mocną i wyrazistą, to jednak zawsze były one tłem lub czynnikiem towarzyszącym wielkim męskim sprawom, nawet bohaterki „Wszystkiego na sprzedaż", „Polowania na muchy" i „Człowieka z marmuru" były jedynie kreowane po to, by przy ich pomocy mówić o sprawach małych lub wielkich, lecz zawsze mających sens ogólniejszy.

Tej nowej szansy Andrzej Wajda nie zmarnował, sam ją zresztą wybrał i jeszcze raz, na dość obcym sobie dotąd terenie, okazał się zwycięzcą. Niezawodny w wyborach obsadowych, tym razem oderwał się także od potocznych konwencji urody kobiecej i odnalazł aktorki, które w bezbłędnym z reżyserem porozumieniu stworzyły postacie wypełniające film całą swą różnorodnością kobiecej natury, z całym jej fizycznym i psychologicznym bogactwem. Ożywiający i wyzwalający owo bogactwo mężczyzna, pozostając czynnikiem sprawczym, jest tak w pierwowzorze jak i w filmie jedynie autorskim pretekstem, by móc mówić o kobietach. Ten pretekst ma jednak swą funkcję podwójną — jest, jak się rzekło — pomysłem autorskim, jest też jednak życiem samym, obrazem zależności obu światów.

Bezimiennym, choć centralnym bohaterem pozostaje w „Pannach z Wilka", czas, czas oczekiwania, trwania, przemijania, czas zostawiający swój ślad w materialności świata i w ludzkiej psychice. Temu bohaterowi filmowe „Panny z Wilka" pozwoliły zaistnieć jeszcze raz, rekonstruując to, co już minęło, co naprawdę powtórzyć się nie da, co może uczynić tylko sztuka. Wiedzą o tym wszyscy bohaterowie zdarzeń, wie przechadzający się, zadumany Mistrz Iwaszkiewicz, wiemy i my. Ten czas zatrzymał na ekranie człowiek, który uznał „Smugę cienia" za swą porażkę, który przysięgał, że nigdy nie będzie adaptował literatury.

EWA NURCZYŃSKA

W DWIE STRONY TEATRU

Interesującym akcentem rozpoczął się nowy sezon w łódzkim Teatrze Lalek „ARLEKIN". Widzowie mają bowiem okazję porównać dwie premierowe inscenizacje, które — choć zrealizowane w krótkim odstępie czasu — różnią się postawą wobec teatralnej tradycji i stylem tak bardzo, iż kontrast ten nasuwa coś w rodzaju zdziwienia, że oba spektakle rodziły się niemal równocześnie obok siebie pod jednym dachem... A jednak tak się stało, co tylko dobrze świadczy o „otwartości" i wszechstronności teatru, którego znakomite od niedawna warunki zachęcają do wielokierunkowych poszukiwań.

Różnice, będące w gruncie rzeczy wynikiem odmiennych modeli teatru, dotyczą przede wszystkim reżyserii, a więc sposobu organizowania czasu i przestrzeni, traktowania dostępnych współczesnemu teatrowi środków, w końcu także rozumienia roli scenografii, muzyki oraz gry aktorów.

Dla obu wszakże twórców: **Stanisława Ochmańskiego**, z którego sceniczną wersją pięknej baśni Leśmiana „Zaklęty rumak" mogliśmy się zapoznać nieco wcześniej, oraz **Jana Dormana**, reżyserującego gościnnie w tym teatrze własną adaptację **„Skrzydlatego złoczyńcy"** Juliana Tuwima, wspólnym punktem wyjścia jest tradycja; ich dalsze drogi rozmijają się jednak całkowicie, prowadząc w dwie różne strony teatru.

Związek z tradycją u Ochmańskiego wyraża się przede wszystkim jasną świadomością tych środków, jakie pozostawiła do dyspozycji współczesnemu inscenizatorowi historia teatru — wiedzą na temat tego, co każdy z nich może znaczyć, gdy wyjmie się go na chwilę z zastanej rekwizytorni i przymierzy na nowo do, nietkniętego jeszcze myślą inscenizatora, literackiego tworzywa. Stanisław Ochmański zdaje się więc należeć do grona tych reżyserów, dla których tradycja jest wartością samą w sobie, żywym źródłem stylistycznych identyfikacji, źródłem dostatecznie jeszcze silnym, by nie wymagało uciekania się do jakichś specjalnych zabiegów, „chwytów" i „pomysłów" (o tej symbiozie z tradycją i chęci jej pogłębiania świadczą też najbliższe plany repertuarowe „Arlekina", w których znalazły się dwie pozycje, nawiązujące bezpośrednio do teatru renesansowego i dworskiego: Henryka Jurkowskiego „Historia Parysa" w reżyserii Ochmańskiego właśnie i Urszuli Radziwiłłowej „Julija, czyli Opatrzności boskiej dzieło", przygotowywana przez Wojciecha Wieczorkiewicza).

Co więcej, ten stosunek do teatralnej tradycji przenosi również Ochmański na relacje do utworów, które znajdują się w orbicie jego reżyseskich zainteresowań. Ostatnio „nietkniętym jeszcze myślą inscenizatora literackim tworzywem" posłużyła oparta na motywach ze Wschodu baśń Bolesława Leśmiana, którą przysposobił do potrzeb sceny Zbigniew Kopalko. Baśń tę sprezentowano w „Arlekinie" z dużym pietyzmem dla tkanki oryginału, bez odwoływania się do środków wyrazu zaskakujących jakąś wynalazczością, po prostu w granicach wyznaczonych szacunkiem dla poetyckiej wizji Leśmiana, który to szacunek, nie ma wszelako nic wspólnego z odwzorowywaniem tamtego świata, lecz wynika z wyczucia poetyki tekstu i potrzeb małego widza. Umiejętnie dobrał też reżyser najbliższego współpracownika — w osobie scenografa Rajmunda Strzeleckiego, który wykreował naprawdę piękne tło dla akcji baśni, poprowadzonej przez Ochmańskiego bez zbędnych meandrów, czytelnie i dyskretnie (choć może w paru miejscach II aktu nie udało się uniknąć dłużyzn).

Natomiast w teatrze Jana Dormana tradycja jest — jak się zdaje — tylko pozbawionym głębszych i bardziej konsekwentnych odwołań pretekstem; takim pretekstem jest w „Skrzydlatym złoczyńcy" comedia dell'arte, na którą autor tego teatralnego eksperymentu pragnie jedynie „zwrócić uwagę młodych widzów" (jak się sam wyraził w czasie popremierowej konferencji prasowej), ale w rezultacie czyni to nazbyt pobieżnie, w natłoku wielu innych aluzji, odwołań, skojarzeń — gubiąc tej intencji czytelność.

O ile jednak Ochmański — dosłownie i w przenośni — pozostaje w ramach teatru i przyjaznym uścisku z tradycją, Dorman opuszcza je od wielu lat programowo, sytuując się tym samym na linii poszukiwań wyznaczanych przez awangardowe dokonania Teatru Laboratorium, Cricot-2 czy Studia Szajny (choć z pewnym zastrzeżeniem: u Dormana najważniejszym adresatem jest młody widz). Sam Dorman najchętniej przyznaje się do powinowactw z Tadeuszem Kantorem. Można ich zresztą z powodzeniem szukać choćby w sposobie plastyczno-ruchowego komponowania przestrzeni, w metodzie wypowiadania tekstu itd.

To, iż stawia się Jana Dormana w kręgu głośnych awangardystów polskiego teatru, jest w dużej mierze zasłużonym komplementem. Należy bowiem twórca Teatru Dzieci Zagłębia do nielicznych naszych reżyserów, których niepokoje i pasja poszukiwań nie zmniejszają się z wiekiem, a nawet przeciwnie: pozyskali sobie oni wspólne miano „wiecznych eksperymentatorów" (na ogół zadziwiających żywotnością, acz bywa — tak jak np. w przypadku Grotowskiego, gdy pod koniec lat 60 żegnał się z teatrem, obierając drogę „kulturowych poszukiwań" — że czyni im się z tego tytułu zarzuty zmienności i niekonsekwencji). Postawa taka może więc budzić szacunek, ale może też — irytować, wówczas zwłaszcza, gdy z pasji eksperymentowania rodzą się zjawiska balansujące niebezpiecznie na granicy sztuki i nadużycia.

Do takich należy również „Skrzydlaty złoczyńca". „Modne" zagospodarowanie przestrzeni z dala od pudła sceny i widowni, szafowanie elementami „czystej formy" (nie tylko zresztą w plastyce, także np. w traktowaniu słowa, które częściej „znaczy" tu swoją stroną dźwiękową, aniżeli semantyczną), skłonność ku „grze swobodnych skojarzeń", (która w ciągłym sugerowaniu, „nieskończonych znaczeń" może sama w sobie być wartością, może też być jej przeciwieństwem, gdy wyobraźnia twórcy szybuje sobie nazbyt beztrosko...), upodobanie do mnożenia symboli, budowania z nich „lasu", w którym nieprzygotowany młody widz porusza się nieco zagubiony — ich natłokiem i odległością skojarzeń — wszystko to sprawia, iż powstało dzieło w strukturze swej chwiejne, pogmatwane, a przez to mocno kontrowersyjne. Dzieło, które może prowokować zarówno do reakcji krytycznych — jak zamieszczona obok pióra Konrada Frejdlicha, co — z równym powodzeniem — do gwałtownej obrony...

Nie sposób wszelako nie przyznać nawet największemu polemiście, że — pomimo swej skłonności do „komplikacjonizmu" — posiadł Dorman dar tworzenia prawdziwych wizji, w których słowo, plastyka i ruch splata się w jedno — scen pięknych w swej wielowarstwowej symbolice, (której rodowód jest nader złożony: zahacza bowiem o Biblię, zapomnianą ludową obrzędowość i rytuał mszy katolickiej, dziecięcej zabawy i psychoanalizę...) Takich, jak choćby ta w początkowej części „Skrzydlatego złoczyńcy", inspirowana Starym Testamentem i powtarzalną historią ludzkiego rodzaju, scena „zaślubin z grzechem".

Teatr Dormana pozwala przeżyć odbiorcom osobliwą przygodę wyobraźni i pamięci, polegającą na odszukiwaniu w owym „lesie symboli" znaków, archetypów, odniesień, mitów bliskich, niegdyś przeżytych, potem — zepchniętych w podświadomość — tych cząstek, które składają się na kulturowe doświadczenia człowieka — tkwią zanurzone w głębinach, a wydobyte niepokoją, żądają dookreślenia. Uczestnictwo w podobnym teatrze-wędrówce pamięci przez czas i przestrzeń wymaga jednak — rzecz jasna — dobrej woli ze strony widza. No i przygotowania, którego młodszemu odbiorcy, pozbawionemu dzisiaj w szkole tego, co dałoby się nazwać wiedzą o kulturze czy wychowaniem estetycznym, może — niestety — zabraknąć...

PTL „Arlekin" — „Skrzydlaty strzelec"
Foto: A. Dębowski

TOMASZ SOLDENHOFF

PTL „ARLEKIN": Bolesław Leśmian — „Zaklęty rumak", adaptacja — Z. Kopalko, reżyseria — St. Ochmański, scenografia — R. Strzelecki, muzyka — zespół „Ossian", premiera prasowa — 5 września 1979 r. PTL „ARLEKIN": „Skrzydlaty złoczyńca" wg Juliana Tuwima, tekst adaptacji — Jan Dorman, inscenizacja, reżyseria i scenografia — Jan i Jacek Dorman, premiera prasowa — 17 września 1979 r.

CZAS TERAŹNIEJSZY NIEDOKONANY

Znany twórca teatralny JAN DORMAN wziął na warsztat nie ukończony poemat prozą JULIANA TUWIMA „SKRZYDLATY ZŁOCZYNCA" i zaadaptował dla potrzeb sceny, a dyrektor STANISŁAW OCHMAŃSKI wprowadził jego realizację do repertuaru teatru „Arlekin". Sama inicjatywa wymagała sporo odwagi, bo nie kto inny jak Tuwim przestrzegał przecież w futurystycznym wierszu „Poezja":

„Będę ja pierwszym w Polsce futurystą,
A to nie znaczy, bym się stał głuptasem,
Co sport z poezji czyni i z hałasem
Udaje maga, a jest tylko glistą;"

W spektaklu „SKRZYDLATY ZŁOCZYNCA" hałasu nie brak: trzaskają drewniane klapy będące to podestem szafotu, do odrzwiami więzienia, donośnie gra muzyka potęgowana aparaturą nagłaśniającą, głucho dudnią deski estrady. Dorman zrezygnował z sześciennej klatki sceny odgrodzonej od widowni rampą, toteż ten agresywny hałas atakuje bezpośrednio wszystkich uczestników spektaklu, tych, których rola ma być bierna i tych, którzy są postaciami działającymi, wypowiadają kwestie przydzielone przez reżysera i wpisani zostali w rytuał Comedia dell'arte. Z włoskiego widowiska scenicznego jest tu luźna struktura tekstu opartego nie tyle o logikę typu linearnego, ile o skomplikowany system aluzji realizowany głównie przez gest, a przede wszystkim rekwizyt i, być może, osoby luźno kojarzące się to z Pantalone (tutaj ubrany w strój dostojnika zakonnego), to z Arlekinem (zakochany młodzieniec, którego gra doskonały zresztą STEFAN GUZIK), to z subretkami, z których w spektaklu Dormana nazwana została jedynie Klarysa, odpowiednik Colombiny.

Spektakl został przygotowany bardzo starannie (pomysłowa scenografia JACKA DORMANA) nieoczekiwanie precyzyjnie zagrali aktorzy (JOLANTA BASIŃSKA, DANUTA PAJOR, BARBARA SZYMAŃSKA, JERZY POKRANT, ANTONI ROSZKOWSKI, JAN ZANIO, ALEKSANDRA PARA i wymieniony już przeze mnie Stefan Guzik), którzy przecież w teatrze lalkowym rzadko mają okazję bezpośrednio zaprezentować się publiczności, jest wiele pomysłowych rozwiązań inscenizacyjnych, choćby z kosą, która raz jest nożem gilotyny, innym razem bronią insurgentów, to znów balansem pozwalającym łatwiej pokonać równoważnię. A przecież mimo tych wszystkich smaczków widownia siedzi na schodach foyer teatru zastępujących fotele zupełnie zobojętniała, nie dając się, mimo zachęt ze strony realizatorów wciągnąć do gry. Spektakl jest bowiem laboratoryjnie czysty, studyjny, ale jest jednocześnie laboratoryjnie zimny, bliski temperaturze zera absolutnego. Zawiódł nie tyle Tuwim i jego szczątkowy poemat wygrzebany przez Dormana, ile nieprawdopodobne poszatkowanie tekstu na kwestie, którym zabrakło idei porządkującej. Jeśli przez skrzydlatego złoczyńcę rozumiał Tuwim rozszalałego Pegaza, to koń Dormana pochodzi chyba ze stajni w domu wariatów i skutecznie konkuruje z szalonym Feliksem (jedna z postaci spektaklu). Nie ratuje tego rozwichrzenia obsesyjne, symultanicznie powtarzane „Zabił mnie brat mój Kain, zabiłem brata mego Abla" przechodzące w modlitwę, w zbyt długo jednak rozwijającej się ekspozycji.

„Skrzydlaty złoczyńca" adresowany jest do młodzieży klas licealnych oraz do widzów dorosłych. O tych ostatnich głowa mnie nie boli, ale żal mi trochę gimnazjalistów, którzy przychodząc do „Arlekina" zrażą się raz na zawsze do teatru awangardowego. Nie dlatego, że spektakl Dormana jest zły. Raczej dlatego, iż jest tak impregnowany, że nie przepuszcza ani jednego wzruszenia. Tego rodzaju inscenizacja mieści się doskonale w formule eksperymentalnego teatrzyku studenckiego, do którego przychodzi widz świadomie godząc się niejako z góry na zaproponowane mu widowisko.

Dobrze, że „Arlekin" czyni ambitne poszukiwania repertuarowe i inscenizacyjne, ale chyba zbyt wcześnie sięgnął po czystą formę. Gdyby „Skrzydlaty złoczyńca" był piątą, powiedzmy, realizacją, może ton mojej recenzji byłby inny. Tymczasem staję w obronie dziewiczo nie przygotowanego widza, dla którego „Skrzydlaty złoczyńca" może być szokiem. Zamiast zachętą do odbioru sztuki współczesnej, która na scenie „Arlekina" grana jest w czasie teraźniejszym niedokonanym.

KONRAD FREJDLICH

WITKACY FOTOGRAFEM?

St. I. Witkiewicz. Zakopane ok. 1930 r.
Foto: J. Głowacki

W Muzeum Sztuki w Łodzi czynna jest wystawa pod lakonicznym tytułem „Stanisław Ignacy Witkiewicz — Fotografie". Wybierając się na nią można by oczekiwać wystawy fotografii pamiątkowo-okolicznościowej, dokumentalnej, jako że z tego rodzaju fotografią można było się dotychczas spotkać w różnego rodzaju publikacjach poświęconych Witkacemu. Pierwszy kontakt z wystawą, z plakatem i katalogiem nie potwierdza naszych oczekiwań. Reprodukcja fotografii wnikliwie wpatrującego się w widza Witkacego na plakacie i okładce katalogu wprowadza nas w sferę zupełnej „nowalii" z Witkiewiczowskiego dorobku.

Witkacy znany jest przede wszystkim jako dramaturg i malarz, mniej jako powieściopisarz, teoretyk sztuki i filozof. Teraz mamy okazję poznać go jako fotografa. Czy rzeczywiście jako fotografa? Czy to co pokazano na wystawie jest fotografią tego typu jaką można spotkać na różnego rodzaju wystawach fotograficznych? Niewielka ilość prac (pejzaże, niektóre portrety) mieści się zapewne w konwencji tzw. fotografii artystycznej. Ale to nie jest najważniejsze, jako że rdzeń wystawy tworzą portrety Witkacego powstałe na przestrzeni kilkudziesięciu lat, konsekwentnie realizujące jeden z ramowych wątków w jego twórczości — a mianowicie wątek autotematyczny. Wczesne portrety z lat 1900—1914 reprezentują typ psychologicznego portretu fotograficznego, niezwykle interesującego od strony formalnej. Artysta stosuje w nich zupełnie nowoczesne środki fotograficznego obrazowania. Śmiało operuje dużymi zbliżeniami, eksperymentuje z oświetleniem, stosuje niekonwencjonalne ujęcia i skróty perspektywiczne. I jeśliby traktować je jako „czystą" fotografię, to niewątpliwie uznać je można za wybitne osiągnięcia polskiej fotografii pocz. XX wieku. Witkacego jednak fotografia nie interesowała jako samodzielna sztuka — w znaczeniu akademickim — lecz raczej jako forma rejestracji, zapisu pewnych stanów i sytuacji, które w żaden inny sposób nie mogłyby być utrwalone (czemu dał wyraz w artykule z 1931 r. pt. „Bez kompromisu").

Te wczesne fotografie, które należą jeszcze do „tamtej epoki" są zarazem początkiem podjęcia problemów odnoszących się do relatywizmu samego medium fotograficznego i podważających autonomiczność pojedynczego zdjęcia. W pracach z lat dwudziestych i trzydziestych Witkacy nie posługuje się pojedynczym zdjęciem jako formą zapisu. Zapis ten przybiera formę cyklu fotograficznego składającego się z kilku lub kilkunastu zdjęć. Pojedyncza fotografia wyrwana z któregokolwiek cyklu niewiele mówi, dopiero umiejscowiona w swoim kontekście nabiera właściwego znaczenia. Przedmiotem tej swoistej gry z widzem i z samym sobą jest własna osobowość artysty. Bowiem on sam, jak już wspomniałem na początku, jest przede wszystkim przedmiotem tych badań. Prace te są poszukiwaniem prawdy o sobie oraz granic własnej tożsamości. Autoironia i groteskowość gestów, grymasów twarzy, niezwykłych przebrań i parateatralnych scenek nie powinny mylić. Jest to tylko kamuflaż, za którym kryje się dramatyczne pytanie o „granice tożsamości istoty ludzkiej".

Pytanie to przewija się również przez powieści, dramaty, a wcześniej malarstwo St. I. Witkiewicza. Wypływa ono z wątpliwości i obaw o autentyzm i autonomiczność jednostki wobec współczesnej cywilizacji, w której coraz trudniej o miejsce dla zindywidualizowanych jednostek. Autoironia i autokpina są jedynie efektem poczucia bezsilności.

Warto jeszcze wspomnieć, że niewątpliwie źródłem tych fotografii jest teatr Witkacego, który Jan Błoński określił jako „uprawianie twórczości życiowej" przez bohaterów tego teatru. Twórczości życiowej rozumianej jako komponowanie swego życia jak dzieło sztuki. Twórczości życiowej jako „zdolności przeżywania jedności w wielości własnej osobowości". Zapisem poszukiwań tej jedności w wielości jest właśnie prezentowana na wystawie działalność fotograficzna St. I. Witkiewicza.

Wystawa „St. I. Witkiewicz—Fotografie", której towarzyszy obszerny katalog czynna jest w Muzeum Sztuki w Łodzi do połowy października.

LECH LECHOWICZ

JAK STARTOWAĆ NA MIEJSCA REKTORSKIE

Na wstępie odnotować muszę z zadowoleniem, że „teatr poniedziałowy" TV zaprezentował nam tydzień temu widowisko o tematyce współczesnej. Fakt ten godny jest odnotowania, gdyż współczesność polska tak rzadko pojawia się w repertuarze teatralnym TVP jak rodzynki w cieście ze społemowskiej piekarni.

Dobry przykład dał osobiście dyrektor programów teatralnych telewizji Jan Paweł Gawlik, za co należą mu się słowa uznania. Wielu z nas przypomina sobie sztukę teatralną tegoż autora „Egzamin", która na deskach Teatru Nowego cieszyła się rekordowym powodzeniem, a to przede wszystkim dlatego, że dotknęła (może zaledwie musnęła) sprawy życiowej i istotnej, jaką jest system protekcji i nacisków występujących w szkole średniej.

W widowisku telewizyjnym „Miejsce rektorskie" porwał się Gawlik na inne tabu, wokół którego narosło w społeczeństwie wiele nieufności, sprawdzonych lub nie sprawdzonych pogłosek i tak zwanej złej krwi. Chodzi o funkcjonujący u nas mechanizm przyjęć na wyższe uczelnie. Jak wiadomo, co roku więcej młodych ludzi startuje do egzaminów wstępnych niż uczelnie wyższe w kraju są w stanie pomieścić. Nie ma problemów tam, gdzie przygotowanie kandydata jest niedostateczne, ale nie brak przecież i przypadków, gdy ubiegający się o indeks egzamin zdaje, ale na uczelnię nie dostaje się z braku miejsc.

Wtedy właśnie rozpoczyna się walka o miejsca rektorskie, czyli o pewną niewielką ilość miejsc rezerwowanych na ewentualne odwołania i pozostających w dyspozycji rektora. Istnieją wprawdzie pewne obiektywne kryteria, jakimi należy się kierować przy rozdziale tych miejsc, ale pozostaje pewien obszar dla dowolności i subiektywnych decyzji, wprawdzie kolektywnych (bo rektorzy nie załatwiają tych spraw z reguły jednoosobowo), ale podejmowanych w wąskim gronie. Na zespół rektorski wywierane są przy tym najróżnorodniejsze presje i naciski, idą w ruch telefony, powoływania się na dawne znajomości... A ostatecznie o miejscach rektorskich decydują ludzie, zaś cechą człowieka jest, że zdarza mu się pobłądzić. Zdarzają się i nadużycia.

Tak więc rodzi się w różnych kręgach społeczeństwa brak zaufania do instytucji miejsc rektorskich, czasem oparty na konkretnej przesłance, częściej wydemonizowany, dyktowany osobistym niepowodzeniem. Chętniej zaś dopatrujemy się przyczyn swego niepowodzenia w czynnikach zewnętrznych niż w samym sobie.

Można więc bez przesady stwierdzić, że Gawlik swą sztuką wszedł na teren podminowany ludzkimi emocjami, rozczarowaniami, wątpliwościami. Na to potrzeba odwagi, może przezwyciężania pewnych oporów, o czym świadczyłoby, że „Miejsce rektorskie", w reżyserii Wojciecha Solarza, awizowane było w programie telewizyjnym już przed wielu miesiącami, a weszło na antenę dopiero teraz.

Trudno byłoby twierdzić, że sztuka ta rzuciła jasny snop światła na skomplikowane i pełne niuansów zagadnienie. Co najwyżej jak migotliwy płomyk świeczki wyłowiła pewne fragmenty zagadnienia, nie rozpraszając mroku. Jak widać z tego i autorowi nie było łatwo sięgnąć głębiej do korzeni zjawisk, ujawnić pełniej przyczyny nieprawidłowości.

Idąc po omacku przez zdradliwą gęstwinę faktów społecznych, Gawlik ześliznął się z głównego traktu, który pozwoliłby skutecznie, frontalnie zaatakować temat. Stara historia z okresu walk z reakcyjnym podziemiem, która splotła na zawsze dwóch ludzi wówczas z przeciwnych obozów, odżywa nagle po latach, gdy jeden z nich zjawia się jako ojciec nie przyjętej na uczelnię dziewczyny u drugiego, który jest teraz docentem na fakultecie prawnym.

Trudno uznać sytuację tę za typową. W swoim dramatycznym napięciu odsuwa ona na plan dalszy sprawę miejsc rektorskich. Należy wątpić, czy powinny one stanowić walutę, którą można by spłacać dawne długi wdzięczności. Chyba tego samego zdania jest i autor, czyniąc starania docenta (świetna rola Władysława Kowalskiego!) o miejsce rektorskie bezowocnymi. Może tylko zanadto ułatwia Gawlik sprawę. Interwencja docenta u rektora jest już po prostu spóźniona, nie może więc być wzięta pod uwagę.

A gdyby docent przyszedł z interwencją do rektora we właściwym terminie? — chciałoby się zapytać. Wtedy sztuka Gawlika stałaby się bardziej drapieżna. Zachowanie rektora w rozmowie z docentem, jego dość cyniczne odzywki, pozwalałyby domniemywać, że interwencja mogłaby zostać uwzględniona na płaszczyźnie — nazwijmy to — grzecznościowej. Jak wówczas czułby się docent? Czy nie doszedłby do wniosku, że osobisty dług moralny spłacił z kasy społecznej? Ale tych dylematów autor nam oszczędza, każąc docentowi osobistym wysiłkiem zająć się losem dziewczyny, która zresztą nie zechce, jak się zdaje, z proponowanej pomocy skorzystać.

„Miejsce rektorskie" Gawlika nie jest więc mocnym głosem w dyskusji na temat miejsc rektorskich, a przecież wdzięczni jesteśmy autorowi za samo poruszenie tematu tabu.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Z WIZYTĄ U NICH

Wedle klasycznych zaleceń savoir-vivre'u każdy z zaproszonych gości powinien podczas wizyty mieć swoje pięć minut. Wizyta wówczas przebiega przy obopólnym zadowoleniu gospodarzy, którzy zapobiegliwie wyreżyserowali całe spotkanie, i gości, bo mogli zaprezentować się od najlepszej (we własnym mniemaniu) strony. Telewizja, która prowadzi dom otwarty na gigantyczną skalę (nawet Radziwiłła Panie Kochanku nie byłoby na to stać), tę kardynalną zasadę grzeczności na co dzień opanowała w stopniu wielce zadowalającym. Ponieważ pomieszczeń gościnnych na Woronicza jest wiele program telewizyjny jest nieskończonym ciągiem wizyt. Ale są goście i goście. Jednym każe się odpowiadać na przeróżne pytania, albo wykonywać przedziwne czynności. Gdy nie umiesz, nie potrafisz wywiązać się z nałożonych zadań, to zostaniesz wyproszony, z uśmiechem bo z uśmiechem, ale zawsze przykro. Wtedy wizyta taka nazywa się teleturniejem. Innych sadza się z uszanowaniem i uroczystym marszem tytułów i funkcji. Gospodarze usuwają się w cień. Wówczas jest to dyskusja na ważny temat. Mamy także stałych bywalców, causeurów i tak zwane „dusze towarzystwa". Nie ma tematu, na który nie mogli by się wypowiedzieć. Zawsze pewni i pełni swady. Ich opinie i oceny są bezdyskusyjną kropką nad i. Goszczą zazwyczaj w najbardziej ekskluzywnych living-roomach, gdzie mówi się o literaturze, sztuce, filmie i teatrze. Tego rodzaju wizyty nazywają się najczęściej „Pegaz". Są jeszcze uroczyste audiencje „tych których nie znacie" a „tych których poznać powinniście". A więc stylowe meble, kawa w porcelanie, koktajlowe suknie. Rozmowy, aby nie były nużące, przedziela występ dobrze (biorąc pod uwagę słowa gospodyni) zapowiadającego się barytona, albo sopranistki. Gospodyni jest ujmująca. Z równą uwagą wysłucha opowieści o wytopie stali, jak i mechanicznej niedrożności jelit, o działalności kulturalnej na Bródnie, a także o badaniach kraterów pometeorytowych. Niekiedy baryton stremowany najeżdżająca kamerą wyciągnie nie tę nutę, ale wrażenie to natychmiast tonują starannie ułożone w wazonach kwiaty pospiesznie wmiksowane przez realizatora programu.

Aby ten ciąg odwiedzin nie stał się nużący (patrzą na nas miliony)! gospodarze z Woronicza nie ustają w poszukiwaniach atrakcyjnych form goszczenia. Ze wszech miar interesującą i niebanalną konwencją towarzyską są przyjęcia Niny Terentiew w programie „XYZ". Wizyta ta ma charakter dwustopniowy. Najpierw czterej państwo, albo czterej panowie umiejętnie inspirowani przez panią domu, bez jakiejkolwiek żenady, plotkują na temat gościa, który ma właśnie nadejść (jakże dobrze znamy to z życia). Wydziwiają, że lubi zachody słońca, szydzą iż nie podoba mu się Picasso, ironizują, że fascynuje się Sienkiewiczem, no i, przepraszam bardzo, Żeromskim. Ma psa i ogląda się za blondynkami. Niby nie wiedzą o kim mówią a zaglądają mu w garnki. Kiedy ów iks wreszcie nadchodzi jakby przycichają, łatwo zgadzają się z nowym gościem, solidaryzują z indywidualnymi poglądami. Rzeczywiście ten Żeromski, to przecież wspaniały pisarz, a Picasso nie umywa się do Mony Lisy. Ale jak powiedziałem są goście i goście. Nina Terentiew zna ich dobrze. Po wejściu profesora Stanisława Lorentza czterej państwo wstali w niejakim zmieszaniu. Zatem kiedy pani domu spodziewała się wizyty Krzysztofa Kieślowskiego (19 września), opromienionego wielkimi nagrodami festiwali w Krakowie, Moskwie i Gdańsku, zrezygnowała z zaproszenia Zygmunta Kałużyńskiego (ten nie wiadomo co powie i wizyta będzie nieudana), zaprosiła natomiast Gustawa Holoubka o gołębim sercu i o kulturze, która, wesprze swoim autorytetem nieśmiałego i „nie lubiącego udzielać wywiadów" potrójnego laureata. Jak zwykle przybył Stefan Treugutt. Pan profesor na światło reflektorów wyciąga sprawki swego ulubionego Janusza Głowackiego, a jeśli już plotkuje o iksie, to w stylu takim, w jakim chciałby każdy aby o nim plotkowano. Wizyta więc zapowiadała się wspaniale. I rzeczywiście. Oczekujący na iksa, aż dziw brał, zgodnie stwierdzili, iż ten co nadejdzie to z całą pewnością wspaniały człowiek. Ktoś sugerował, że będzie to Hamilton, ale to z przekory raczej niż z rozsądku. Krzysztof Kieślowski, gdy już nadszedł arcydzielnie utrafił w ton charakterystyki sformułowanej przez czterech panów. Wprawdzie określając credo ideowo-twórcze swojej twórczości powiedział, iż kiedyś wybory moralne były proste. Ten był ubrany tak — mówił — tamten inaczej. Ktoś strzelił. I tak po prostu. Teraz natomiast — kontynuował — chcąc być w porządku wobec siebie w życiu, trzeba dokonywać ciągłych moralnych wyborów. Ktoś próbował zauważyć, że być uczciwym wobec siebie i wobec życia jest podstawową zasadą etyki zawsze i nie jest to wynalazek z ostatniej chwili, ale program się skończył i trzeba było sobie ściskać dłonie.

Z wizyt ostatniego tygodnia na uwagę zasługuje ta, zaplanowana przez Janusza Pichlaka i Teresę Sukniewicz w „Potyczkach ze sportem". Ale niestety, goście (głównie Jan Mulak) przyparci do foteli trudnym problemem (odczłowieczenie sportu wyczynowego) starali się zagadać sprawę i gospodarzy. Dobrze zatem że Janusz Pichlak autentycznie zirytowany nie tylko nie zakończył programu sakramentalnym „do problemu będziemy jeszcze wracać" ale wyskandował, to, pod czym każdy z oglądających program widzów podpisze się oburącz. Jan Mulak uśmiechał się wyrozumiale. Jednak tym razem nie sędzia miał rację. Tę potyczkę wygrała redakcja sportowa. I to bardzo dobrze.

GRZEGORZ GAZDA

W KRĘGU POLONIKÓW

Zagadnienie obecności i oddziaływania kultury polskiej na inne narody należy bez wątpienia do ważnych aspektów multilateralnych relacji, jednak badania z tego zakresu nie mogą od lat nabrać w naszym kraju należnych im cech obligatoryjnego obowiązku eksploracji naukowej. Tym wyżej więc należy cenić wysiłki skromnej raczej grupy osób, które systematycznie, jakkolwiek dosyć powierzchownie, śledzą wzajemne wpływy i zależności kultury, a przede wszystkim literatury, polskiej i obcej. Do najwytrwalej zajmujących się tą działalnością należy bez wątpienia zaliczyć Jana Koprowskiego, którego pasja tropienia zagranicznych poloników datuje się od wczesnych lat pięćdziesiątych. W swych licznych publikacjach autor „Z południa i północy" systematycznie dzielił się z czytelnikami kolejnymi informacjami które jednoznacznie świadczyły o stale rosnącym prestiżu i popularności literatury polskiej poza granicami kraju.

Jan Koprowski słusznie decyduje się co kilka lat na zebranie swych szkiców literackich rozsianych po czasopismach (chociaż w ostatnim okresie nastąpiła polaryzacja jego publikacji) i wydaje interesujące tomy przynoszące wybór najcelniejszych pozycji. Tak było przykładowo w wypadku tomu „U nas i gdzie indziej", przynoszącym ciekawy zestaw m. in. esejów zajmujących się dziejami polskiej książki w świecie. Autor mówi o tym zresztą w komentarzu do swej najnowszej publikacji pt. „Jak nas widzą, jak nas piszą": „Tom niniejszy stanowi niejako dalszy ciąg rozważań, podjętych w poprzedniej mojej książce „U nas i gdzie indziej". A więc, po pierwsze, próbę odpowiedzi na pytanie, co o nas piszą i jak o nas piszą w świecie, i po drugie: jak się przyjmuje, rozumie i ocenia przekłady dzieł polskich autorów na inne języki".

Tak więc wybór szkiców literackich „Jak nas widzą, jak nas piszą" jest przede wszystkim poświęcony polonikom, i chociaż poszczególne rozdziały były uprzednio drukowane w latach 1974—77 na łamach „Literatury", to jednak możność ponownej ich lektury pozwala na badziej syntetyczne widzenie problemu, co było mocno utrudnione podczas rozrzuconych w czasie kontaktów ze szkicami Koprowskiego publikowanymi w prasie literackiej.

Niniejszy wybór przynosi około 70 szkiców, z czego większość ma za temat recepcję naszych utworów w innych krajach względnie zajmuje się obecnością motywu polskiego w literaturze obcej. Eseje poruszają tematykę poloników m. in w Czechosłowacji, obu państwach niemieckich, Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych, krajach skandynawskich, na Węgrzech czy w Rumunii. Podziw budzi doskonała orientacja Jana Koprowskiego w ogromie materiału, do którego poza tym dostęp był z oczywistych przyczyn mocno utrudniony. Szczególnie wiele uwagi poświęcił autor polonikom niemieckim, zarówno dawniejszym, jak i polonikom NRD i RFN, jako że sprawy te pojawiają się niemal w połowie esejów. Jest rzeczą zrozumiałą, iż Koprowski preferuje poloniki niemieckie z tego powodu, że na tym terenie czuje się szczególnie pewnie. Jednak tego rodzaju proporcje nieco deformują rzeczywisty obraz, gdyż np. głównym importerem polskiej literatury jest Związek Radziecki, zaś o polonikach radzieckich (względnie rosyjskich) mówi się w tomie niemalże na marginesie; także o dziejach naszego piśmiennictwa w Czechosłowacji należałoby napisać nieco więcej, gdyż kraj ten jest drugim z kolei (po ZSRR) państwem co do liczby i wysokości nakładów polskich tłumaczeń. Inna sprawa, że polski odbiorca ze szczególnym zainteresowaniem czyta szkice o relacjach niemiecko-polskich, gdyż problem niemiecki zawsze cieszył się u nas popularnością.

Mimo tych uwag lektura poszczególnych szkiców jest zajęciem pasjonującym, gdyż każdy esej poświadcza atrakcyjność naszej kultury, która z pewnymi oporami, jeśli idzie o kraje zachodnie, ale coraz w szerszym zakresie zdobywa sobie prawo obywatelstwa i wzrastające szeregi czytelników. Koprowski przekonująco pisze np. o całym szeregu czynników, które utrudniały, i w dalszym ciągu utrudniają, popularyzację naszej książki za granicą. Z całą pewnością należy do nich sprawa języka, jak i specyfika tematyki polskiej literatury, przesyconej treściami narodowymi. Z tym większym uznaniem informuje Koprowski o coraz liczniejszych tłumaczach naszego piśmiennictwa, jak np. Klaus Staemmler, Karl Dedecius czy nieżyjący już Hermann Buddensieg.

Jak wspomnieliśmy, przede wszystkim penetruje Jan Koprowski poloniki niemieckiego obszaru językowego, i niestety trzeba mu tutaj wytknąć nieco błędów. I tak przykładowo błędnie podaje datę przyznania Hermannowi Buddensiegowi tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, w wypadku twórczości Hermanna Sudermanna nic nie pisze o jego mocno antypolskim nastawieniu. Niektóre szkice można było nieco uaktualnić, jak np. podając tytuł powieści Kurta Davida „Die Überlebende" jako „Ta, która przeżyła", podczas gdy już dobrych parę lat temu książka ta ukazała się po polsku, w tłumaczeniu Z. Rybickiej pt. „Ocalona". Drobna to wprawdzie usterka, ale niepotrzebnie dezorientuje ewentualnie zainteresowanego tą pozycją czytelnika.

Jak pisaliśmy, wybór w zasadzie przynosi szkice poświęcone polonikom zagranicznym, jednak Jan Koprowski odstępuje kilkakrotnie od tej zasady, z całą pewnością ze szkodą dla jednolitości książki. Szczególnie w końcowych partiach tomu dysonansem są takie szkice nie mające nic wspólnego z pojęciem polonika jak przykładowo „Szok za wszelką cenę", „O podróżowaniu", „Bilans przegranego życia" itp.

Tom szkiców Jana Koprowskiego o znajomości literatury polskiej w innych krajach oraz o odbiciu zagadnienia Polski i Polaków w literaturze obcej jest jednak bardzo ważkim i potrzebnym źródłem informacji o pozycji polskiej kultury w świecie. Mimo drobnych usterek zbiór ten może zaimponować ogromem informacji, a przede wszystkim autentyczną pasją autora w wyszukiwaniu poloników. Lektura tomu jest nie tylko frapującym, ale także i pouczającym zajęciem. Niejednokrotnie pisze Jan Koprowski o sprawach, które mogą umknąć uwadze, zaś ich waga i znaczenie są często niezwykle istotne dla lepszego i pełniejszego ocenienia pozycji naszego kraju na forum międzynarodowym.

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Jan Koprowski, „Jak nas widzą, jak nas piszą", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, s. 295.

WYBITNY ANONIM

150 lat temu, po trzyletnim śledztwie, zmarł w więzieniu Karmelitów w Warszawie człowiek, który za życia był wybitnym Anonimem, a jeszcze długo po śmierci postacią kontrowersyjną i niedocenianą. Jego miejsce urodzenia ustalono dopiero po dwustu latach...

I.

Dziś w sięgającej tysiąclecia Rozprzy leżącej pod Piotrkowem, prócz kościoła o strzelistej wieży, góruje nad osadą, ongiś siedzibą kasztelanów, jasny gmach szkoły noszącej imię Józefa Pawlikowskiego. Nawet pierwszaki powiadają, że „był sekretarzem Kościuszki". Zanim jednak doszło do zbudowania gmachu Zbiorczej Szkoły Gminnej i nazwania jej imieniem słynnego dziś tu ziomka, uściślono Wielką Encyklopedię Powszechną PWN dociekliwymi badaniami w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego, bo encyklopedia informowała dość nieściśle, że Józef Pawlikowski, słynny jakobin epoki Sejmu Czteroletniego „urodził się ok. 1768 r. koło Piotrkowa".

Józef Pawlikowski pozostawił pamiętnik swego trwającego sześćdziesiąt dwa lata życia. Lecz luki w tym pamiętniku są spore. Dowiadujemy się, że postanowił on poświęcić się zawodowi prawnika i studiował prawo w Krakowie ale w metryce studentów Akademii Krakowskiej, choć dziewięć razy figuruje nazwisko Pawlikowski, w interesującym nas okresie poprzedzającym Sejm Czteroletni brak jednak Józefa.

Czy jest to dowód, skoro późniejsza działalność polityczna Józefa Pawlikowskiego świadczy o jego wyjątkowej dojrzałości umysłu i jest przykładem nieprzeciętnej — jakbyśmy to dziś powiedzieli — wiedzy społeczno-prawnej? W końcu Pawlikowski pracował jako prawnik w Warszawie, kiedy tu przygotowywał z innymi słynnymi później spiskowcami Insurekcję Kościuszkowską.

Z pierwszym głośnym wystąpieniem Józefa Pawlikowskiego mamy do czynienia w roku inauguracji Sejmu Czteroletniego 1788. Mówiono wtedy o wystąpieniu dwudziestolatka, który w oficynie drukarskiej Grebla w Krakowie wydał dziełko-broszurkę poświęconą obronie praw chłopów i będącą prekursorskim przyczynkiem do zniesienia poddaństwa — „O poddanych polskich". Wkrótce po tym młody autor pisze list do Stanisława Augusta Poniatowskiego. W liście tym, odnalezionym w zbiorach korespondencji króla Stasia, Józef Pawlikowski zwraca uwagę na swoją broszurę i proponuje królowi usługi w dziedzinie prawodawstwa. Król nie zareagował. W każdym razie brak dowodów, że ustosunkował się do listu młodziutkiego poddanego, który w końcu tego roku był już w Warszawie, a w rok później (1789) ogłosił kolejną rozprawę pt. „Myśli polityczne dla Polski" (wyszła ona spod prasy warszawskiej drukarni „Wolna" J. Potockiego). I to dzieło, jak poprzednie, ukazało się anonimowo.

W Warszawie jest Pawlikowski w kręgu działaczy współtwórców reform społecznych i Konstytucji 3 Maja. W okresie konfederacji targowickiej przechodzi na pozycje lewicy jakobińskiej, staje się antymonarchistą, republikaninem. Działa wraz z Ignacym Działyńskim na rzecz przygotowań do zbrojnego powstania, a kiedy ono wybucha, zostaje delegowany do Krakowa, by przyspieszyć przyjazd Kościuszki.

Mylnie z tym właśnie okresem życia Józefa Pawlikowskiego wiąże się inny tytuł do jego chwały: „sekretarz Kościuszki". Został nim rzeczywiście, lecz dopiero po klęsce maciejowickiej i powrocie naczelnika z Petersburga, gdzie był on przymusowym gościem komendanta twierdzy pietropawłowskiej, a więc już na emigracji powstaniowej. Wcześniej, 22 sierpnia 1795 r. Pawlikowski podpisuje w Paryżu akt zawiązania Deputacji Polskiej — radykalnej organizacji emigrantów, głoszącej hasła zrównania stanów i wolności osobistej dla chłopów.

Pod wpływem przyjaźni i licznych rozmów z Kościuszką pisze Pawlikowski słynną broszurę „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość". Wydano ją w Paryżu w 1800 roku, znów anonimowo. Toteż drugie, trzecie i czwarte wydanie zawiera na stronie tytułowej nazwisko Kniaziewicza jako autora! Później najpowszechniej autorstwo słynnej rozprawy politycznej przypisywano Kościuszce. Dopiero prace badawcze późniejszego okresu ustaliły w sposób bezsporny, że ten wybitny utwór literatury politycznej, jak i inne: „O poddanych polskich", „Myśli polityczne dla Polski" są autorstwa Józefa Pawlikowskiego — człowieka odważnej myśli i czynu, bo za czyn niepodległościowy już u schyłku życia zostaje w 1826 roku aresztowany po wykryciu spisku Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, którego był członkiem od 1821 roku, a więc od chwili jego powstania.

II.

Przed kilkunastu laty rodzinne strony odwiedził łodzianin, ówczesny rektor Akademii Medycznej w Łodzi, prof. dr Tadeusz Pawlikowski. Plonem dociekań prawnuka wielkiego jakobina polskiego był m. in. artykuł pn. „Zapomniany syn Ziemii Piotrkowskiej", opublikowany w „Spojrzeniach" — dodatku świątecznym (1968) nie istniejącej już „Gazety Ziemi Piotrkowskiej". Profesor Pawlikowski trafił na ślad, który wkrótce zawiedzie do miejsca urodzenia wybitnego Anonima.

Był synem kowala z Rozprzy, pochodzącego ze zubożałej rodziny szlacheckiej. Mimo degradacji rozpierskich Pawlikowskich, rodzina żyjąca w dobrach folwarcznych w Sieradzkiem, w okolicach Szadku, nie zerwała więzów z powinowatymi.

W Rozprzy mieszkał inż. Sławomir Jaros, sprawca wielu odkryć dotyczących dziejów okolic Piotrkowa. Wkrótce po profesorze Pawlikowskim odezwał się inżynier Jaros:

„Ze szczerym zadowoleniem pragnę podać jako rodowity piotrkowianin i długoletni mieszkaniec Rozprzy, że Józef Pawlikowski z całą pewnością jest synem Ziemi Piotrkowskiej i rodowitym rozprzaninem urodzonym w Rozprzy w 1767 roku". („Gazeta Ziemi Piotrkowskiej" z 13 II. 1969 r.).

Gromadząc materiały o słynnych rozpierskich rodach, inż. Jaros zwrócił uwagę na często powtarzające się nazwisko PAWLIKOWSKI, szczególnie po roku 1740. Wtedy właśnie do rąk inżyniera — humanisty trafiła „Metryka Chrztów Parafii Rozprza", pisana po łacinie, a zaczynająca się dokładnie sto lat przed męczeńską śmiercią Józefa Pawlikowskiego. Na dolnym marginesie jednej z kart tej księgi jeszcze łatwo czytelny był dopisek „sławny Pawlikowski". Wyżej „po porządku" spisano tekst łaciński, także dobrze czytelny, który w tłumaczeniu księdza Kubowicza, proboszcza rozpierskiego, przychylnego badaniom historycznym brzmiał:

„Tego samego dnia (tj. 28 marca 1767 r. co wynika z poprzednich zapisów — przyp. mój) ochrzciłem noworodka imieniem Józef Herman z małżonków Jana i Brygidy Pawlikowskich z miasta Rozprza. Chrzestnymi byli Gilbert Puziński, prepozyt rozpierski i profesor witowski oraz wielmożna pani Franciszka Bykowska z Białocina".

Opisanego aktu chrztu miał dokonać ks. Roch Kukulski...

Tak po dwu wiekach znalazł miejsce swego urodzenia wybitny Anonim czasów, które pod mianem epoki Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 Maja przeszły do naszej narodowej historii.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

ANDRZEJ F. GRABSKI

TROSKI I NADZIEJE UCZONEGO SOCJALISTY

— IV —

Kiedy B. Limanowski tak uporczywie i bez powodzenia starał się o otrzymanie jakiejś pracy, która zapewniłaby mu i jego rodzinie materialną podstawę egzystencji, dowiedział się o wolnej posadzie, która by mu ze wszech względów odpowiadała, mianowicie stanowisku bibliotekarza w Bibliotece Polskiej w Paryżu, mieszczącej się pod numerem 6 przy Qui d'Orleans. Nic w tym dziwnego, że zaraz też zwrócił w tę stronę swoje nadzieje. W pamiętnikach tak zdawał sprawę ze swych starań:

„We wrześniu umarł Wrześniewski. Starałem się dostać na jego miejsce. Krakowowa przez swoich znajomych starała się mnie poprzeć. Bartkowski, u którego bywał Gaden, dyrektor Biblioteki Orleańskiej, przemawiał za mną. Lecz Gaden otwarcie powiedział, że mnie, jako socjalistę, nie może zalecać na kandydata krakowskiej Akademii Umiejętności, której dawne Towarzystwo Historyczno-Literackie przekazało tę bibliotekę.”

W archiwum Biblioteki Polskiej w Paryżu przechowały się dokumenty, rzucające światło na szczegóły tej sprawy. B. Limanowski znał osobiście Leona Wrześniewskiego, był bowiem częstym czytelnikiem w Bibliotece i pożyczał z niej książki do domu. Bibliotekarz zmarł nagle w początku września 1892 r. i niemal natychmiast, jeszcze podczas uroczystości pogrzebowych, ujawnili się kandydaci do objęcia opróżnionego stanowiska. Najwcześniej została zgłoszona kandydatura B. Limanowskiego. Weteran powstania listopadowego, znany działacz demokratyczny Jan Bartkowski, z którym B. Limanowski poznał się podczas obchodu ku czci T.T. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego) w Genewie przed kilkoma laty, zaprzyjaźniony z dyrektorem Biblioteki Polskiej Ludomirem Gadonem, wystosował doń dnia 11 września obszerny list, w którym zalecał B. Limanowskiego jako człowieka, szczególnie nadającego się do objęcia posady adiunkta biblioteki. Przedstawiał go jako męża *„nieskazitelnego charakteru”*, który wprawdzie był związany z socjalistami, przecież *„nigdy nie posuwał swych opinii socjalistycznych bardzo daleko”, ceniąc nade wszystko miłość Ojczyzny*. Zwracał się do L. Gadona by wstawił się za jego protegowanym u księcia Władysława Czartoryskiego. Do prośby J. Bartkowskiego przyłączył się — w osobnym dopisku — Leon Urmowski. Zawarta w liście charakterystyka B. Limanowskiego była bardzo znamienna. Stary demokrata rekomendując go jako kandydata na posadę w Bibliotece Polskiej, starał się przedstawić go w taki sposób, który by ułatwił korzystne załatwienie sprawy. Wiedział, że sprzyjający galicyjskim stańczykom L. Gadon bynajmniej nie sympatyzuje z ruchem socjalistycznym — wiadomo, że był jego zdeklarowanym wrogiem — sam też nie był jego zwolennikiem, w szczególności zaś tego nurtu, który odrzucał dążenia niepodległościowe, tak zawsze drogie dawnemu członkowi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Podkreślając patriotyzm B. Limanowskiego przeciwstawiał go więc J. Bartkowski — nie bez podstaw zresztą — rzecznikom kierunku, zajmującego skrajnie internacjonalistyczne stanowisko programowe, kontynuatorom poglądów, głoszonych jeszcze przez ideologów Wielkiego Proletariatu. Inna sprawa, że przeciwstawienie to odzwierciedlało i postawę samego B. Limanowskiego, który akcentując konieczność wysuwania przez polski ruch socjalistyczny postulatów niepodległościowych, budował pomost między tradycją polistopadowej emigracyjnej demokracji, a współczesnym ruchem socjalistycznym.

W kilka dni później sam zainteresowany zgłosił swoją kandydaturę do wakującej posady, składając na ręce dyrektora Biblioteki Polskiej pismo, datowane w Paryżu 15 września 1892 roku. W swym liście, mającym charakter podania, B. Limanowski pomijał, rzecz zrozumiała, informacje o swej działalności politycznej, które mogłyby mu u L. Gadona tylko zaszkodzić, nie wspominał nawet o swym doktoracie, natomiast podkreślał swoje kwalifikacje bibliotekarskie. Powoływał się mianowicie na okoliczność, że podczas studiów w Dorpacie został w 1860 r. bibliotekarzem organizacji studenckiej o nazwie „Ogół”. Pracę tę — jak zaświadczył w pamiętnikach — traktował bardzo poważnie, zająwszy się uporządkowaniem i skatalogowaniem zbioru. Następnie B. Limanowski wspominał że pełnił funkcję bibliotekarza Polskiego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy w Genewie, od 1883 r., gdzie tak samo, jak w Dorpacie, rozpoczął pracę od sporządzania katalogu. Kandydat wspominał wreszcie o swej pracy w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich. Pod koniec 1869 r., z rekomendacji Józefa Krzywickiego, pracował tam przy sporządzaniu kart katalogowych. Szybko mu się to jednak sprzykrzyło: „nie pamiętam, czy dłużej niż miesiąc nią się zajmowałem”, wspomni potem o tej pracy w pamiętnikach.

B. Limanowski przypomniał wreszcie L. Gadonowi, że od trzech lat bywał częstym gościem w Bibliotece Polskiej, gdzie pracował nieraz całymi dniami. Znajduje to pełne potwierdzenie w zachowanych — chociaż nie w całości — papierach bibliotecznych, dotyczących frekwencji czytelników. Zachowały się mianowicie miesięczne spisy czytelników za lata 1881—1892, w których znajdujemy wiadomości o polskich socjalistach, pracujących nieraz w czytelni przy Quai d'Orleans, zachowała się również księga zastawów pieniężnych za książki, wypożyczane przez czytelników do domu, w której znajdują się nazwiska i adresy wypożyczających oraz tytuły pożyczanych przez nich dzieł. W świetle tych źródeł nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Biblioteka Polska, pozostająca we władaniu konserwatywnego środowiska emigracyjnego, związanego z Hotelem Lambert, ostatnio zaś przekazana krakowskiej Akademii Umiejętności, zgodnie z pierwotnymi założeniami utworzona jako Biblioteka Narodowa, dostępna dla wszystkich, niezależnie od ich przekonań politycznych, była warsztatem pracy licznych polskich działaczy socjalistycznych. Pracowali w niej Szymon Dickstein, Kazimierz Dłuski, Stanisław Mendelson, Witold Jodko-Narkiewicz, pojawiali się tam Adam Sąsiedzki i Bronisław Białobłocki.

Nazwisko B. Limanowskiego znalazło się w spisach czytelników Biblioteki Polskiej po raz pierwszy w styczniu 1890 r. W tym miesiącu był on czterokrotnie w czytelni, później stale ją odwiedzał, od lutego korzystał też z możliwości wypożyczania książek do domu. Z pamiętników wiadomo, że z początkiem lutego B. Limanowski rozpoczął w Paryżu wykłady o panowaniu Stanisława Augusta oraz, że potrzebne do nich dzieła brał właśnie z Biblioteki Polskiej. Znajduje to swoje potwierdzenie w aktach bibliotecznych. W 1890 r. B. Limanowski bywał w czytelni po kilka razy w miesiącu, podobnie też w roku następnym, choć z przerwą w marcu i kwietniu, w czerwcu zaś pojawiał się najczęściej, bo jedenaście razy. Kontynuował swe wizyty w bibliotecznej czytelni w 1892 r., przy czym w maju okazał się najgorliwszym ze wszystkich czytelników, skoro był tu aż 19 razy. Jednocześnie wypożyczał książki za kaucją, początkowo pieniężną w wysokości 20 fr., później pod zastaw włoskich papierów wartościowych. Niekiedy brał również książki dla któregoś z przyjaciół: dnia 25 lutego 1891 r. wypożyczył dwa dzieła, dotyczące dziejów powstania kościuszkowskiego, które 3 marca wysłał H. Gierszyńskiemu do Ouarville. W dokumentach bibliotecznych zachowały się ślady wypożyczania przez B. Limanowskiego książek do października 1892 r. Późniejsza dokumentacja się nie zachowała. Nie ulega wątpliwości, że słowa o częstych odwiedzinach w Bibliotece Polskiej, zawarte w liście Limanowskiego do Gadona, miały swoje pełne pokrycie.

Jak już powiedzieliśmy, do posady w Bibliotece Polskiej oprócz B. Limanowskiego zgłaszali się także inni kandydaci. Szczególnie energicznie zabiegał o nią niejaki Ignacy Trysiński, popierany przez koła kościelne. Już 14 września 1892 r. I. Trysiński pisał z Juvissy, gdzie przebywał w zakładzie, prowadzonym przez siostry miłosierdzia, do działacza Towarzystwa Dobroczynności Dam Polskich, Józefa Rusteyki, z prośbą o poparcie jego kandydatury u L. Gadona wyrażając nadzieję, że praca bibliotekarza byłaby znacznie mniej męcząca niż nauczycielska, której kandydat ostatnio się poświęcał. Jednocześnie I. Trysiński czynił zabiegi u innych osób. Zgłosił swą kandydaturę w liście do L. Gadona, datowanym w Juvissy 21 września 1892 r., w którym podał informacje o swym życiu i kwalifikacjach. Urodził się 30 sierpnia 1840 r., w Ożarowie w ówczesnej guberni radomskiej, kształcił się w szkołach sandomierskich, w czasie wybuchu powstania był kancelistą przy trybunale lubelskim, uczestniczył w powstaniu. W latach 1866—1871 kształcił się w Wielkim Seminarium Duchownym w Autun w zakresie teologii, pełnił tam też różne funkcje, od 1875 r. poświęcał się pracy nauczycielskiej, od 1888 r. do 1890 r. uczył w Szkole Polskiej w Paryżu. Dnia 26 grudnia 1890 r. zachorował, obecnie przebywa w Juvissy. W ślad za zgłoszeniem się Trysińskiego nadchodziły listy protekcyjne: od biskupa Autun z 23 września, jak również pismo, przesłane przez jednego ze znajomych L. Gadona z Galicji wraz z listem datowanym w Gołuchowie 27 września 1892 r. Ten ostatni zalecał I. Trysińskiego w następujących słowach: „Tego kandydata znam dobrze, miałby on niezawodne kwalifikacje, tylko obawiam się, że jego zdrowie nie jest tak dobre, jak on to sobie wyobraża. Przed kilku miesiącami musiał on opuścić Szkołę Batignolską właśnie z powodu zdrowia”. Autor listu — nieczytelny podpis uniemożliwia jego identyfikację — wyrażał przekonanie, że gdyby I. Trysiński był rzeczywiście zdrowy, byłby on „lepszy od Bobrownickiego”, którego lepiej byłoby nie ruszać z Zakładu Ś. Kazimierza w Juvissy, dokąd trudno byłoby mu już powrócić. Dowiadujemy się więc o istnieniu jeszcze trzeciego ewentualnego kandydata, choć nie zachował się żaden ślad wskazujący, by zgłaszał się on do wolnej posady w Bibliotece Polskiej. Byłżeby nim ów inżynier Bobrownicki, o którym B. Limanowski pisał, że „świeżo się przeniósł z Londynu do Paryża”, a który z jego namowy wygłosił przemówienie za zorganizowanym w Paryżu w styczniu 1891 r. obchodzie rocznicy powstania? Nie znamy jego biografii, prócz paru szczegółów, dotyczących działalności jeszcze w kraju. Wiemy, że B. Limanowski omawiał z nim szczegóły jego wystąpienia, że podczas długiej rozmowy — jak pisał o tym do H. Gierszyńskiego z Paryża 17 grudnia 1890 r. — wskazywał mu, „że byłoby dobrze, gdyby on zaznaczył wielki wpływ ruchu naszego narodowego i powstania na radykalne rozwiązanie sprawy włościańskiej i następnie, jako znający dobrze opinię narodu angielskiego, przedstawił, że sprawa polska, jak sam o tym mówił, ma powszechne uznanie pomiędzy Anglikami i wreszcie, na zakończenie, starał się podnieść ducha obecnych, przelewając w nich wiarę swoją w przyszłość narodową”. Ów Bobrownicki nie w pełni sprostał nałożonemu nań zadaniu, skoro B. Limanowski wspomni później w pamiętnikach, że „nie mieliśmy z niego pociechy”. Czyżby owego inżyniera, a może inną osobę o tym samym nazwisku, brał pod uwagę jako ewentualnego kandydata do posady w Bibliotece Polskiej korespondent L. Gadona z Galicji?

Równocześnie ze zgłoszeniem się I. Trysińskiego zaoferował swoją osobę inny jeszcze kandydat. Był nim Tadeusz Żuk-Skarszewski, który zgłosił się listownie z Paryża dnia 16 września 1892 r. Miał 34 lata, ukończone studia prawnicze w Strasburgu, Krakowie i Wiedniu, był współpracownikiem warszawskiego „Słowa” oraz „Niwy”, gdzie pisywał pod pseudonimem Alfred Zyndram. Oświadczał, że rekomendacji mogą mu dostarczyć Julian Dunajewski, Stanisław Tarnowski — którego był dawnym uczniem — objaśnień zaś co do jego osoby może udzielić jego ojciec, będący posłem do Rady Państwa w Wiedniu. W Paryżu kandydat powoływał się jedynie na Władysława Mickiewicza, który przez kilka miesięcy był jego pracodawcą. Zważywszy pozycję ojca kandydata, biorąc pod uwagę galicyjskie powiązania Biblioteki Polskiej i jej dyrektora, oferta T. Żuka-Skarszewskiego przedstawiała się wcale poważnie.

Listę kandydatów do posady po L. Wrześniewskim zamykał nieznany nam bliżej W. Orlikowski. Zgłosił się on najpóźniej, bo dopiero listem z Paryża, datowanym 22 grudnia 1892 r. Oferując swą kandydaturę nie informował o swojej biografii, nie podał nawet pełnego imienia, pisał jedynie, że dobrze zna francuski, niemiecki i rosyjski, zaś trochę rozumie po angielsku i po włosku. Nie ma wątpliwości, że ze wszystkich zgłaszających się kandydatów, najpoważniejsze kwalifikacje do objęcia wakującej posady miał B. Limanowski, jako człowiek obeznany już z zawodem bibliotekarskim, uczony-humanista, autor licznych dzieł naukowych. Nie jemu jednak, ani też żadnemu spośród zgłaszających się, przypaść miało upragnione stanowisko.

W archiwum Biblioteki Polskiej pomiędzy papierami, dotyczącymi sprawy obsadzenia stanowiska adiunkta bibliotecznego, znajduje się pismo adresowane — jak wynika z jego treści — do dyrektora L. Gadona, datowane w Krakowie 23 września 1892 r., a podpisane przez Józefa Korzeniowskiego. Autor powiadamiał adresata, że po rozmowie z kilkoma członkami zarządu Akademii Umiejętności otrzymał polecenie, by prosić go o nie obsadzanie wolnej posady po L. Wrześniewskim, w szczególności zaś o nie podejmowanie jakichkolwiek zobowiązań w stosunku do T. Żuka-Skarszewskiego. J. Korzeniowski prosił jednocześnie dyrektora o informację, dotyczącą uposażenia adiunkta Biblioteki Polskiej i obiecywał, że zgodnie z jego życzeniem zbierze i zakomunikuje mu informacje o T. Żuku-Skarszewskim. Z listu tego wynika, że L. Gadon poważnie potraktował kandydaturę tego ostatniego, skoro zwrócił się do Krakowa o odpowiednie o nim informacje.

Interwencja J. Korzeniowskiego wynikała z aktualnego układu stosunków między paryskim Towarzystwem Historyczno-Literackim i Biblioteką Polską a Akademią Umiejętności w Krakowie. Od końca 1890 r. trwały już oficjalne pertraktacje, w związku z uczynioną przez Towarzystwo ofertą przekazania Akademii całej swej własności „duchowej i materialnej”. Przewlekały się one ze względów formalnych, ale już 18 września 1891 r. doszło do podpisania wstępnej umowy, która oddawała „zarząd starego emigracyjnego ośrodka badań i wydawnictw historyczno-literackich (...) w ręce instytucji w kraju”. Akademia przejmowała majątek Towarzystwa pod pewnymi warunkami, wśród których naczelne miejsce zajęło zobowiązanie do zachowania Biblioteki Polskiej w Paryżu jako placówki publicznie dostępnej i utworzenia przy niej Stacji Naukowej. Otwarcie Stacji nastąpiło dopiero 16 stycznia 1893 r., kiedy to delegowany przez Zarząd Akademii jej Sekretarz Generalny Stanisław Smolka przejął w jej imieniu dom Towarzystwa „oraz ruchomości, zbiory i kapitały i wprowadził w czynności określone regulaminem Komitet miejscowy, delegata i adiunkta”. Delegatem został znany nam już J. Korzeniowski, stanowisko zaś adiunkta przy Bibliotece przypadło wybitnemu — w niedalekiej już przyszłości — romaniście Edwardowi Porębowiczowi.

Vacat na stanowisku adiunkta Biblioteki, który nastąpił jesienią 1892 roku, był wydarzeniem, które nie utrudniało, lecz przeciwnie, ułatwiało władzom Akademii załatwienie po swojej myśli sprawy obsady personalnej paryskiej placówki. Wszystko już było bowiem przygotowane, projekt ostatecznego układu przyjęła Akademia na swym walnym zgromadzeniu 31 października 1892 r. Trudno byłoby się spodziewać, by niemal w przededniu przejęcia Biblioteki Polskiej przez Akademię, dotychczasowa dyrekcja paryskiej placówki mogła podjąć decyzję personalną, niezgodną z zamierzeniami krakowskiej instytucji naukowej.

C.d.n.

KAREN W.

Do modnego ostatnio tematu samookreślenia się współczesnej kobiety przedstawianego chętnie zarówno w powieści, jak i w filmie dołączyła swój głos Gerti Tetzner, nie znana jeszcze w Polsce przedstawicielka młodej generacji pisarzy NRD. Jej powieść „Karen W.” to historia współczesnej kobiety, która po ośmiu latach małżeństwa opuszcza męża, młodego historyka-naukowca, zabiera córeczkę i wraca na wieś, gdzie się urodziła i wychowała.

Karen jednak nadal kocha swojego męża. Jakie więc są motywy jej decyzji? Chodzi o styl życia jej i jej męża. Wieś z jej problemami, praca w spółdzielni produkcyjnej mają być dla Karen odtrutką na styl życia środowiska, w którym do tej pory przebywała.

Gerti Tetzner szczegółowo analizuje stany psychiczne swej bohaterki, wiele miejsca poświęca analizie jej postępowania. Mimo to czytelnik może mieć wrażenie, że nie wszystko tu zostało powiedziane, że w motywacji postępowania Karen występują poważne braki. Forma buntu, jaką przyjęła Karen nie do końca przekonuje. Ciągle brakuje odpowiedzi na pytanie, czego właściwie w życiu szuka Karen? Chce sama decydować o swoim życiu. Nie chce być zależna od żadnego mężczyzny. Ale czy będzie z tym szczęśliwa? Gerti Tetzner zostawia to pytanie bez odpowiedzi.

Gerti Tetzner — „Karen W.”, przełożyła M. Gero-Rożniewicz, PIW, Warszawa — 1979, str. 279, cena zł 50,—

NOCNY KOWBOJ

„Nocnego kowboja” poznaliśmy najpierw w kinie, a dopiero teraz trafia do nas polski przekład powieści, która była podstawą dla scenariusza filmowego. Autorem tej powieści jest James Leo Herlihy.

Bohaterem powieści jest Joe Buck, chłopak pozbawiony opieki rodzinnej, prymitywny i zdemoralizowany. Wyrusza on z prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka na podbój Nowego Jorku. Jedynymi jego walorami są uroda i dobra sprawność erotyczna. Przebrany w kowbojski strój Joe Buck ląduje w Nowym Jorku i szuka kobiet, które zapewniłyby mu wygodne życie. Jednak dość szybko przekonuje się, że w Nowym Jorku nie zrobi kariery.

I tu zaczyna się druga część historii Joe Bucka. W tej części powieści głupawy i antypatyczny bohater Jamesa Leo Herlihy'ego zaczyna zdobywać sobie sympatię czytelnika. Okazuje się być rozpaczliwie samotny i zaczyna rozumieć swoje położenie. Szuka przyjaźni, życzliwości innych ludzi. Znajduje je u wykolejonego, samotnego kalekiego chłopca. Opis przyjaźni dwóch życiowych wykolejeńców, którzy znaleźli się wzajemnie w wielkim, obcym mieście, to najlepsze partie książki Jamesa Leo Herlihy'ego, wstrząsające psychologiczną prawdą.

James Leo Herlihy — „Nocny kowboj”, przełożył T. Mirkowicz, KiW, Warszawa 1979, str. 218, cena zł 30,—

ORKAN NA JAMAJCE

Czytelnik polski otrzymał, wydaną z serii „Kolibra”, słynną powieść Richarda Hughesa „Orkan na Jamajce”. Powieść ta należy do klasyki literatury angielskiej. Rebeka West nazwała ją: „parzącym usta wywarem poezji i wściekłej pierwotnej wyobraźni”, a Burton Rascoe powiedział o niej, że „jest to książka niepodobna do żadnej innej książka, która się nie zestarzeje”.

Sam Richard Hughes ma szczególną pozycję w historii literatury angielskiej, a to dlatego że jest pierwszym na świecie autorem słuchowiska radiowego. Życiorys ma też niebanalny.

Jako student napisał jednoaktówkę pt. „Tragedia sióstr” która spotkała się z ogromnym powodzeniem. Na londyńską scenę, sztukę tę wprowadził John Masefield, a sam George Bernard Shaw uznał ją za najlepiej napisaną jednoaktówkę.

W 1922 roku Richard Hughes debiutował jako poeta tomem wierszy pt. „Noc cygańska”. Wydał jeszcze jeden tom wierszy i na tym się zakończyła jego poetycka kariera.

Urodził się w 1900 roku, jest walijczykiem z pochodzenia. Po ukończeniu studiów wyruszył w świat, gdzie pędził na poły awanturniczy tryb życia. Wędrował po Bałkanach, po USA, był w puszczach Kanady, koczował w Maroku, pływał po morzach jako marynarz.

W 1929 roku wydał swoją pierwszą powieść: „Orkan na Jamajce”. W 1939 roku — „Huragan”, powieść porównywaną z conradowskim „Tajfunem”.

„Orkan na Jamajce” jest książką niezwykłą. Jest to fantastyczna bajka dla dorosłych, opisująca irracjonalny, amoralny i nieprzenikniony świat dziecka. W książce Richarda Hughesa w porównaniu z pozornie niewinnymi dziećmi straszni piraci są dobroduszni i bezradni.

Richard Hughes znów był tu pierwszy. Pierwszy bowiem w literaturze przedstawił okrutny świat dzieci. Dlatego też niekiedy książkę tę porównuje się do powstałej później książki Williama Goldinga „Władca much”. Obie traktują o podobnym, okrutnym świecie dzieci.

Richard Hughes — „Orkan na Jamajce”, tłumaczyła A. Demkowska-Bohdziewicz, KiW, Warszawa 1979, str. 278, cena zł 14,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Przed paru laty wydaliśmy specjalny numer „Odgłosów", w którym redaktorzy zamiast sami pisać teksty prezentowali utwory swoich szczególnie ulubionych autorów. Oczywiście, taki wybór jest zawsze rezygnacją — każdy z nas ma przecież nie jednego a kilku ulubionych autorów.

Mnie udało się wówczas zaprezentować dwu znakomitych autorów, których cenię, szanuję podziwiam i którzy stanowią dla mnie wzór — co prawda niedościgły, ale tym bardziej godny szacunku. Zaprezentowałem bowiem felieton Hamiltona o Janie Szelągu czyli Zbigniewie Mitznerze.

Hamilton — wiadomo. Znakomity felietonista „Kultury", którego teksty łączą w sobie klasyczne dziennikarstwo z literacką trwałością i głębią.

O Zbigniewie Mitznerze wie się natomiast coraz mniej, choć jest to jedna z piękniejszych postaci współczesnego polskiego dziennikarstwa. Na ogół pamięta się o tym, że Mitzner wspólnie z Lipińskim i Nowickim założył tygodnik „Szpilki" w roku 1935. Ale przecież jeszcze wcześniej zaczynał swoją publicystyczną działalność w prasie socjalistycznej — w „Robotniku", „Płomieniach", „Tygodniu Robotnika". W okresie międzywojennym wytyczono mu za działalność dziennikarską aż piętnaście procesów — prawie rok przesiedział w więzieniu.

W czasie okupacji zapisał się Zbigniew Mitzner głośną po wojnie, konspiracyjną akcją „Wisła". Polegała ona na zakupie u wybitnych polskich autorów prac, które miały być wydane po wyzwoleniu. Lista współpracowników „Wisły" obejmowała ponad sto nazwisk. Honoraria otrzymywane za przyszłe książki pomogły wielu twórcom przetrwać najcięższy okres okupacji. Niestety — nie powstała, jak dotąd, książka o tym bezprecedensowym w dziejach kultury wydawnictwie, choć ocalałe z pożogi wojennej resztki archiwum „Wisły" znajdują się w Muzeum Literatury w Warszawie.

SPOTKANIE ZE ZBIGNIEWEM MITZNEREM

Po wojnie Mitzner zamieszkał początkowo w Łodzi, gdzie znów redagował prasę socjalistyczną. Reaktywował „Szpilki" — był redaktorem naczelnym organu PPS „Robotnika"... Tego „Robotnika", w którym zaczynał w roku 1928 pracę dziennikarską jako osiemnastoletni student prawa.

Był wzorem pracowitości, co w dziennikarstwie — wbrew potocznemu mniemaniu — jest sprawą zasadniczą. Współpracował w swoim życiu z 200 redakcjami, wydał 53 książki z czego 7 własnych. Dokonywał wyborów, opracowywał, pisał wstępy do klasycznych dzieł literatury. Wygłaszał komentarze radiowe, pisał felietony...

Był człowiekiem niesłychanie aktywnym. O socjalistyczne ideały walczył z otwartą przyłbicą, przysparzając sobie wrogów z prawa i z lewa. Mawiał, że gdy taktyka przesłania strategię — to polityka przestaje być polityką, a staje się wyprzedażą ideałów.

Ci, którzy go znali twierdzą, że uporczywie domagał się odpowiedzi na trudne pytania. Nie umiał być układnym pisarzem dworskim. Towarzyszył polskiej codzienności — wszystkim zakrętom historycznym i burzliwej epoce. Nieraz się mylił — ale zawsze był uczciwy i zawsze najważniejsza była dla niego Sprawa.

Przez cztery lata nie publikował w ogóle — miał więc czas na spisanie pamiętników. Był jednak typowym dziennikarzem — nie potrafił pisać do szuflady. Jak sam kiedyś wyznał praca maszyny drukarskiej przypominała mu bicie ludzkiego serca i tylko w tym rytmie potrafił pisać.

Pozostawił po sobie wiele książek, które opracował i wydał, pozostawił parę książek własnego pióra — i tę ostatnią, może najważniejszą, a na pewno najbardziej osobistą, którą opracował jego syn Piotr Mitzner.

Zgromadzono w niej parę wspomnień i polemik, garść listów i parę kartek pamiętnika, którego w końcu nie napisał. A szkoda, bo życie miał ciekawe i burzliwe — a pamięć znakomitą. Historycy zwracali się do niego po informację, jak do archiwum. Tej pamięci Mitznera bali się zawsze ci, którzy do socjalizmu przypisywali się wówczas, gdy to już było wygodne i bezpieczne.

Najważniejsze jest jednak to, że tom „Spotkania" pozwala współczesnemu czytelnikowi spotkać się ze Zbigniewem Mitznerem — wspaniałym dziennikarzem i jednym z najlepszych współczesnych polskich felietonistów.

WIDOK

Z GALERKI

ZDZISŁAW GŁOWACKI

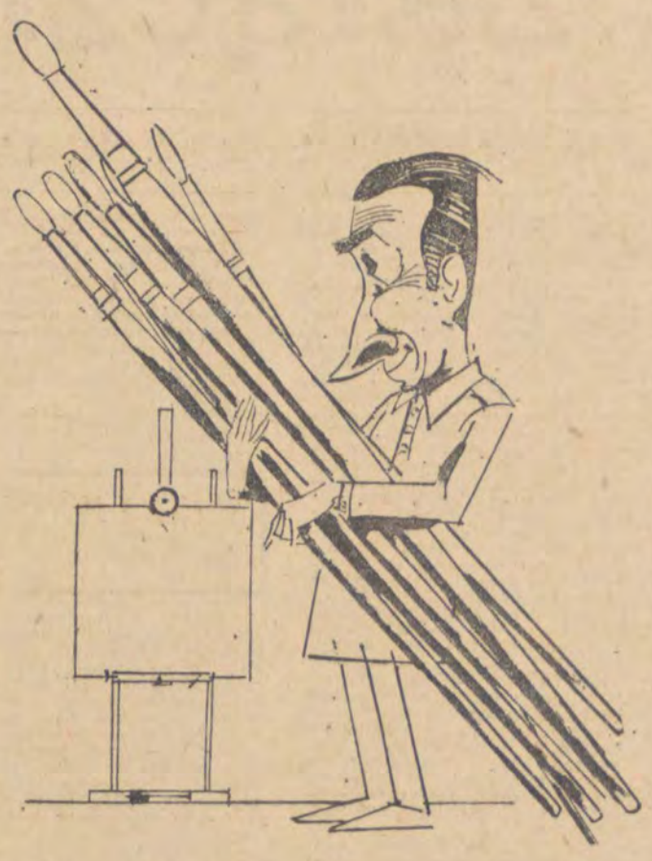

„Widzisz Panie Wielki,
Ty człowieka z gliny,
Ja obraz z uszczelki".

Rys.: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

W czasie wakacyjnych peregrynacji człowiek zagląda tu i tam, gdzie los zaniesie, albo znajomi zawiozą. Tak też trafiłem po latach nad pewne ładne jezioro, nad którym rozłożyła się wieś gminna, pełniąca też rolę wsi letniskowej. Zaletą tej miejscowości było do tej pory spokojne skojarzenie natury i cywilizacji. Można powiedzieć, że natura i cywilizacja zgodnie ze sobą współżyły. Aż oto nad brzegiem rozległego jeziora pojawiły się spychacze.

Jezioro przylega do szosy. Nic więc dziwnego, że w tym malowniczym zakątku wybudowano restaurację o niebagatelnym wnętrzu i smacznej kuchni, że niedaleko powstał bar szybkiej obsługi, gdzie można zjeść flaki, napić się piwa i posłuchać muzyki W pobliżu jest kiosk spożywczy i kiosk „Ruchu", co razem stanowi, że w tym miejscu nad jeziorem zawsze jest pełno ludzi. Tu zatrzymują się autokary z wycieczkami zagranicznymi.

Ktoś więc wpadł na pomysł, aby naturalny brzeg jeziora zamienić na wiejsko-miejską promenadę. Po to nad jezioro przyjechały spychacze, zniszczeniu uległy stanowiska wędkarskie, bo akurat w tym miejscu brała ryba, choć licho wie, dlaczego brała akurat tu, zwieziono betonowe płyty i zaczęto wytyczać chodnik, zatoczki dla ławek, które później tam staną. Obok poszerzano parking. Wycięto lub podcięto sporo drzew.

Jezioro jest rozległe, więc i zostanie jeszcze trochę miejsc naturalnych, gdzie woda będzie się swobodnie pluskać o brzeg nie okuty betonowymi płytami. Ale przecież nie o to chodzi. Nie uważam, że stało się coś złego, tylko dlatego, że ktoś postanowił uporządkować brzeg jeziora. Naturalnie ukształtowany brzeg nie prezentował się najładniej, to też prawda. Ale niepokoi mnie fakt, że piękno i porządek kojarzy się często z betonem, asfaltem i pod prostymi kątami poprowadzonymi ścieżkami. A przecież ten sam brzeg można było uporządkować posługując się tylko ziemią i łopatą.

Nad innym jeziorem znów zaskoczyła mnie kolonia domków letniskowych. Skończyliśmy już z „psimi budkami", jakimi próbowano zabudowywać lasy i wybrzeża morza oraz brzegi rzeki i jezior. I bardzo dobrze. Teraz wymagania są większe. Pojawiły się nawet wcale udane domki, ze stromymi dachami, przypominające trochę

WODA I BETON

góralskie chatki, co w niektórym krajobrazie wcale nie razi. Cieszy to. Ale nie wszędzie i nie zawsze tak się dzieje. Zdarzają się nadal budowle-potworki.

Ludzie chcą mieć „drugie mieszkanie", które mogliby używać i latem, i zimą. I bardzo dobrze. Stać ich na to, mają taką ochotę. Proszę bardzo, niech budują. Pytanie tylko, czy mają budować wszędzie, czy każde wolne pole, które stało się już komuś niepotrzebne, musi zaraz iść pod kolonię domków letniskowych? Czy każdy kawałek lasu, który komuś już nie jest potrzebny, trzeba zaraz pociąć na parcele dla letników? Czy znów w tej dziedzinie nie panuje zbyt radosna twórczość?

Zostało jeszcze w Polsce sporo takich jezior, gdzie można znaleźć ciszę i spokój. Jaką mamy jednak pewność, że i tam nie zawędrują geometrzy, nie podzielą ziemi na kawałki, nie przyjdą za nimi cieśle i murarze, nie zaczną stawiać domków, nie wysypie się szlaką, a może i wyleje asfaltem nad jeziorem ścieżek, nie zahuczą samochodowe silniki i spokojny kąt nie zamieni się w mini-miasteczko? Ja takiej pewności nie mam.

Człowiek swoją działalnością niszczy środowisko, a nie powinien. Jest to pobożne życzenie tych, którzy rozumieją, jakie skutki może spowodować niszczycielska działalność człowieka. Ale ci, którzy myślą o ochronie środowiska często jeszcze są bezradni, choć już powołano różne instytucje, które mają stać na straży naszego środowiska. Teraz zaczynamy też myśleć o ochronie krajobrazu. Działaniu na rzecz ochrony środowiska jest „wyższa szkoła jazdy". Wytycza się więc „parki krajobrazowe" i „strefy chronionego krajobrazu". Wszystko to jednak jest jeszcze dość mgliste. Nie bardzo jeszcze wiadomo, co to znaczy chroniony krajobraz? Na ile człowiek może go zmieniać? Bo przecież zmienia. Choćby stawiając nad cichym do tej pory jeziorem domki letniskowe, budując przystanie dla łódek i kajaków, drogi, po których z rykiem mkną motocykle i samochody.

Zmienia też ten krajobraz budując sobie domy. Stawia brzydkie pudełka z cegły i betonu, rozbierając przy tym stare domy o niepowtarzalnym uroku. Jeżdżąc trochę po kraju w czasie minionych wakacji szczególną uwagę zwracałem na starą architekturę. I muszę powiedzieć to, co wszyscy powinni wiedzieć i bez tego, że mamy wcale interesującą dawną architekturę i skutecznie wymieniamy ją na brzydkie betonowe pudełka. Czy to też nie jest niszczenie krajobrazu? Oj, jest. I to jeszcze jakie.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Wielowiekowa tradycja mieszczańska w Europie wymagała, aby młody człowiek, po paroletniej nauce zawodu u mistrza w rodzinnym grodzie, puszczał się w świat na długą wędrówkę, celem otarcia się wśród obcych ludzi, poznania różnych obyczajów, udoskonalenia swego rzemiosła. Każdy terminator przed ostatecznymi „wyzwolinami" odbywał takie „Wanderjahre". W Wiedniu do dziś pokazują wielki drewniany słup z wbitymi weń dziesiątkami tysięcy gwoździ: do obyczaju należało mianowicie, aby wędrujący młodzieniec przechodząc przez to miasto tak właśnie dokumentował swoja tutaj obecność: wbiciem gwoździa w ów słup.

Później czasy się radykalnie zmieniły i wędrówki stały się niemożliwe. Granice państw zatrzaśnięto szczelnie, ich przekraczanie wymagało wielkich biurokratycznych zabiegów i jeszcze większych pieniędzy. Jeszcze tylko synalkowie najzamożniejszych rodów jeździli na zagraniczne wojaże, snobowali się na stemple możliwie wielu uniwersytetów francuskich, niemieckich, szwajcarskich, szlifowali znajomość języków obcych na towarzyskich stażach u dalekich kuzynów i przyjaciół. Jeszcze później — wraz z ogólną demokratyzacją obyczaju i z jednoczesnym jeszcze wyższym podniesieniem granicznych szlabanów, upadły także i te tradycje. Dopiero dziś — to znaczy w ostatnich paru latach — zdają się powracać ciągi młodzieży przez świat, oczywiście już w zmienionym sztafażu.

Przy zbieraniu winogron i cebuli, przy wykopkach buraków cukrowych, przy wszelkich masowych robotach sezonowych, a także wszędzie tam, gdzie praca nie wymaga żadnych lub prawie żadnych kwalifikacji, uwijają się tysiące a tysiące młodych ludzi z wielu ościennych krajów. Przenoszą się gromadami z miejsca na miejsce, aby popracować raz tu, raz gdzie indziej, a jednocześnie poznawać świat i wyżywać swe koczowniczo-kontestacyjne ciągoty. Nie zmusza ich do tego ani bieda, ani potrzeba zdobywania kwalifikacji. Przeciwnie — są to dzieci dobrze sytuowanych rodziców, studenci posiadający już swój fach, tyle, że stroniący od stabilizacji, uciekający przed nią, przed zwykłym osiadłym i odpowiedzialnym życiem.

WĘDRUJĄCY MŁODZIANIE

Nie ma w tym nic złego. To nawet bardzo dobrze, kiedy przyszły prawnik, filolog, filozof pozgina kark na burgundzkiej winnicy, kiedy rozpieszczona panienka postoi gdzieś tam przy zlewozmywaku wielkiego hotelu, kiedy uczciwie zarobią naprawdę własny grosz i obrócą go na poznanie ludzi różnych narodowości. Nasi studenci włączają się także w ten nurt i też uważamy, że nie ma powodu aby im w tym przeszkadzać. Z jednym małym zastrzeżeniem.

Chłopak, który w domu palcem niczego nie tknął, który po maturze czy w czasie akademickich wakacji odrzucał z oburzeniem każdą pracę jako niegodną jego niezmiernych — we własnym przekonaniu — kwalifikacji, jedzie do Holandii solić śledzie, albo do Szwecji zbierać na plantacjach ogórki. Musi to robić półlegalnie, bo miejscowi robotnicy nie życzą sobie taniej konkurencji przybłędów. Zarabia dużo mniej niżby wymagały miejscowe przepisy. Ale po powrocie przelicza swe guldeny i korony, i funty po czarnorynkowym kursie i okazuje się, że tu, w kraju, jest nagle bogatym człowiekiem i znów przez szereg miesięcy może nie robić nic. Może nie robić i nie robi. Z pogardą patrzy na frajerów, widzących w pracy jakiś życiowy sens, szanse samorealizacji, drogę prawdziwych ambitnych awansów. Praca za złotówki — żeby nie wiem jaka już go mierzi. Wymaga ciągłości, systematyczności, wymaga — straszna rzecz! — stabilizacji. O ileż efektowniej za pół roku wyskoczyć znów na jakieś saksy, tu popracować, tam pokombinować handelkiem — o, to jest właśnie najbliższa i najgroźniejsza pokusa: handelek. Kombinacja. „Głowa na karku". Ani się spostrzeżesz, jak z układnego i nieźle rokującego studenta staje się wędrowny hochsztaplerek. Już są tacy, już zdążyli wypłynąć jak szumowina na fali. Wszelki pieniądz należy szanować jako owoc rzetelnego ludzkiego wysiłku, oni jednak szanują tylko pieniądz „wymienialny", twardy, zdobyty wszystko jedno jak. Nie wiem, co by należało zrobić, żeby taka postawa nie zaczęła się zbytnio upowszechniać. Na razie wskazuję tylko na zjawisko, na sprawę, którą muszą się zająć młodzieżowe organizacje i ich działacze. Większy szacunek budzi przecież człowiek, emigrujący z musu za pracą, za źródłem utrzymania dla siebie i swej rodziny niż cyniczny młodzik uciekający przed prawdziwym życiem węszący za byle okazją złapania jeszcze paruset „zielonych", a na co dzień pasożytujący na rodzicach i społeczeństwie.

ĆWIEK

SPORT

I CO DALEJ?

Nie mam zamiaru się skarżyć, ale proszę zwrócić uwagę, że wszelkie najważniejsze spotkania odbywają się przeważnie w środy, a nasza gazeta ukazuje się w kioskach w czwartek. Z tego też powodu o środowych wydarzeniach sportowych mogę pisać z tygodniowym opóźnieniem, co nie jest ani takie łatwe, ani też proste, skoro się już wszyscy na ten temat wypowiedzieli, a czytelnikowi nie wystarczy powtórzenie tych opinii, bo czeka na coś nowego. Pozostaje więc mi tylko prognozowanie — jakby to powiedzieli współcześni ludzie nauki — albo wróżenie — jakby to określili złośliwcy. Ale wróżenie też nie jest łatwe, gdyż czytelnik biorąc w czwartek gazetę do ręki sprawdza sobie spokojnie, czy się moje przewidywania spełniły, a ja wcale nie mam wielkich kwalifikacji na wróżkę.

W ubiegłym numerze „Odgłosów" pisałam, że nie samą ambicją wygrywa się z przeciwnikami. Pytałam też, co dzieje się z zespołem piłkarskim RTS Widzew? I pytanie to jest nadal aktualne, choć Widzew wygrał w Łodzi z drużyną St. Etienne.

Pytanie jest aktualne nadal, bo nie wiem, jak właściwie traktować Widzew? Z jednej strony jest to drużyna, która w lidze gra kiepsko. Drużyna, która walcząc na wyjeździe marzy o remisie, choć kiedyś należała do najgroźniejszych zespołów grających właśnie na wyjazdach. Drużyna, która jest szczęśliwa, jeśli zremisuje również u siebie. Z drugiej strony ta właśnie drużyna gromi lidera francuskiej ligi. Które oblicze Widzewa jest prawdziwe?

Po meczu Widzew — St. Etienne posypały się pochwały dla Widzewiaków. Słuszne, bo zagrali z ambicją, mądrze i wygrali. Czy to jednak znaczy, że są lepsi od francuskich piłkarzy? Nie sądzę. W tym jednym meczu byli lepsi, bo lepiej rozegrali ten jeden mecz. Już o drugim wszyscy mówią z troską: — będzie ciężko. Ale załóżmy nawet, że ten drugi mecz piłkarze Widzewa też wygrają, to co dalej? Czy przy obecnym stanie ich wyszkolenia, kondycji, formy mogą marzyć o dalszym awansie? Mam poważne wątpliwości.

Gdyby nawet piłkarze Widzewa okazali się tacy znakomici, to rodzi się kolejne pytanie, dlaczego ich nie stać na dobrą grę w pierwszej lidze? I na to pytanie nie ma jasnych odpowiedzi. Jest natomiast wniosek. Przykład chorzowskiego Ruchu wyraźnie to uwidacznia. Kto nie gra dobrze w lidze, ten nie może liczyć na długotrwałe sukcesy w Europejskich Pucharach. Ruch, co prawda, nie może liczyć w ogóle ani na jedno, ani na drugie. Boję się, że maluczko, a Leszek Jezierski znów będzie bez roboty. Ale to już zupełnie inny temat.

Los naszych drużyn w pucharach jest właściwie przesądzony. Jeśli nawet mielecka Stal — która, mimo remisu, ma najlepszą sytuację — awansuje do drugiej rundy rozgrywek, to przy jej obecnej formie łatwo się wyłoży w następnych rozgrywkach. Ruch może liczyć tylko na cud. Arka i Widzew muszą wysoko wygrać, aby awansować. A to nie będzie łatwe.

Nim jednak poznamy dalsze losy naszych pucharowych zespołów, do walki staną reprezentanci. Do pokonania jest kolejna przeszkoda — drużyna NRD. Raz nam się już nie udało. Teraz będziemy próbowali po raz drugi. Czy będzie lepiej?

Olimpijska reprezentacja Polski wygrała z olimpijską reprezentacją NRD 2:1. Niby dobry prognostyk. Ale to zupełnie inna sprawa. Obie reprezentacje są dopiero budowane i takie spotkania traktuje się przede wszystkim pod kątem przebudowy zespołu, jego tworzenia, wyszukiwania braków i tak dalej. W rewanżu z NRD gra idzie o co innego. Dla nas jest to mecz decydujący. Jeśli przegralibyśmy teraz z NRD — koniec z marzeniami o wyjściu z grupy. A pamiętajmy, że już ze Szwajcarią w Lozannie nie było łatwo. Wszystko może się jeszcze zdarzyć, choć każdy kibic życzy naszym jak najlepiej, więc i wygranej w meczu z NRD.

I znów, gdy ten felieton dotrze do Czytelnika wraz z numerem „Odgłosów" znany już będzie dalszy los polskiej reprezentacji w eliminacjach do Mistrzostw Europy w piłce nożnej. Ale jeśli nam się powiedzie i wygramy, to przed naszym zespołem wyrasta najgroźniejszy przeciwnik, najtrudniejsza przeszkoda — drużyna Holandii, która zwycięstwa łatwo nie odda.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680 99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 2197. A-2.

Załącznik nr. 44/.../79

HASŁO NUMERU: Nie żałuj lata! Jesienią deszcz pada równie często.

SWATY

Najpierw gruchnęła po wsi wieść, że do Zosi przystawia się docent. Trochę później że docent chciałby się żenić. A na końcu, że docent przyjedzie, aby się oświadczyć.

Wieś nasza była jeszcze jak za Mickiewicza tyle że perzu więcej chyba niż dzięcieliny. Nie powiem swojskie to, zwłaszcza latem jak zakwitna maki i kąkole. Ładnie to wygląda, raz nawet przejeżdżająca telewizja się zatrzymała, aby skręcić rolkę, jak mówił pan redaktor. Przez pół roku chodziliśmy wtedy do świetlicy aby obejrzeć naszą wieś w kolorze, ale nie pokazali. Później jeden chłoporobotnik spotkał w mieście redaktora i spytał czemu, to ten mu odpowiedział, że tematu nie przyjęli, bo był za bardzo zacofany.

Teraz więc, kiedy miał przyjechać docent wszyscy sobie przypomnieli zdarzenie z telewizja. A że jeszcze docent miał mieć na imie Tadeusz wszyscy wzięli ,to za nomen omen. — **Taki docent wiele może** — mówił nasz chłoporobotnik. — **I szkoda by było, żeby się pokazał tylko raz, jak telewizja** — **Taki docent, to może bardzo dużo** — zaczęto mówić — **Taki docent to może wszystko** — mówiła niedługo cała wieś.

Zosia, na która jeszcze miesiąc przedtem żaden nasz chłopak by nie spojrzał taka była jakaś chuda i blada, stała się, ni stąd ni zowąd, najładniejsza dziewczyna we wsi. Jak przyjechała na ferie, wszystkie ją zaczęły podpatrywać, kapać się, od słońca zasłaniać, jeść niskokalorycznie, a co poniektóre to i wcale.

Wkrótce też odbyło się zebranie kółka rolniczego. — **Wieś nasza stoi przed wielką szansą** — powiedział na początku przewodniczący. I zaraz wszyscy zaczęli radzić jak tę szansę wykorzystać. — **Przede wszystkim trzeba się dobrze pokazać, żeby było więcej postępu. Docent na pewno jest postępowy i jak mu się nasza wieś nie spodoba, to wpędzimy Zosię w nieszczęście** — mówili obłudnie jak by to o Zosię im chodziło. Zaraz też poszły zalecenia, ten to, ten tamto.

Za tydzień sołtys zorganizował lustrację. Faktycznie, poprawiło się. Droga miała jeszcze parę dziur do zasypania, ale można było nią przejechać. Płoty stały jako tako prosto, maku ani kąkola ani jednego. Narobili się wszyscy i wszyscy byli zadowoleni. Ale nie spodobało się jednemu z gminy, który przyjechał, zaproszony przez kółko. — **Taki postęp to nie jest na miarę docenta** — powiedział ten z gminy. — **Musi być więcej tego.**

Dopiero teraz zaczął się raban. Jak się Franek najbardziej postępowy z naszej wsi, nie mógł przez pięć lat doprosić siatki na ogrodzenie, zamiast płotu tak teraz przyszło z gminy polecenie, żeby wszystkie płoty wywalić i na siatkę wymienić. I dachówka przyszła, aby strzechy wywalić. I asfalt na drogę miał przyjść.

Na następną lustrację przyjechali już z województwa. Jeździli, chodzili wszędzie szperali, do chałup zaglądali. — **Pola są za małe** — powiedział jeden. — **Obsada na ha też poniżej średniej** — powiedział drugi. — **Umaszynowienie żadne** — stwierdził trzeci.

I zaraz poszły kolejne zalecenia. Wszystkie chałupy wymalowano olejną farbą. Miedze — co drugą — zaorano. Z gminy ściągnęli nowe traktory, snopowiązałki, nawet kombajn jeden. Nocą przyszedł transport krów i świń, rozdzielono je sprawiedliwie po gospodarstwach. Ale najwięcej zachodu było z Zosinym obejściem. — **Jasne, że stąd będzie docent patrzył na wieś** — mówili ci z województwa — **toteż obejście musi być na medal.** I tak w trymiga otynkowali chałupę, chlewnię nową postawili, cementem zalali podwórko. Meble wszystkie stare poszły na podpałkę, cały wóz nowych, na wysoki połysk, podesłali z województwa. — **Z czegóż ja to wszystko zapłacę** — lamentowała Zosina matka — **jakeście mi wszystko stare porąbali.** — **Stare musi być porąbane** — powiedzieli ci z województwa. — **A płacić pani nie musi, to dla dobra wsi.** I tylko zażądali, żeby ściąć owies przy chałupie. — **Jakże mam ściąć, kiedy jeszcze zielony** — sprzeciwiał się ojciec Zosi. — **Nie szkoda, ściąć trzeba, bo będzie wyglądało, że terminów agrotechnicznych nie dotrzymujemy.**

Wieś nasza zmieniła się. Antek, zaopatrzeniowiec z kółka, który wiosną pojechał w Polskę po sznurek do snopowiązałki, jak wrócił kiedyś wieczorem, to wsi w ogóle nie poznał i pojechał gdzieś dalej. Jeszcze dzisiaj go szukają. Był w telewizji komunikat o zaginięciu.

Wreszcie przyjechał docent. Syrenką przyjechał — **To dla niepoznaki** — mówili wszyscy. Nawet nie zauważył bramy wjazdowej, specjalnie dla niego wybudowanej. Podprowadziła go Zosia prosto do wypucowanej chałupy, siedzieli tam i siedzieli, mimo że cała wieś czekała na lustrację. Mija godzina, druga, trzecia, a docent nic. Cała wieś zebrała się przed chałupą, a tam nic. Zasłony tylko nowe, z województwa wyfasowane, zaciągnęli, nawet widać nic nie było. A pod wieczór za chałupą zapyrkoliła Syrenka. Zanim się kto zorientował, już ani docenta, ani Zosi we wsi nie było. Boczną drogą wymknęli się do miasta.

— **I co?** — pytamy Zosinej matki. — **A nic** — odpowiada. — **Zaręczyny się odbyły?** — **A co miały się nie odbyć.** — **I co?** — **I nic.**

Taka to była rozmowa. Dopiero później, na dożynkach, ojcu Zośki wymknęło się, że docent uciekł, bo jak zobaczył całą wieś przed chałupą, to się bał, że go chłopaki chcą pobić, że w konkury uderza.

Z początku wszyscy mieli do Zosinych ojców pretensję. Ale z czasem to przeszło. Traktory, krowy, świnie, co prawda zabrali, ale wszystkiego zabrać się nie dało. Jak by teraz Antek wrócił, to też by wsi nie poznał.

Odrosły maki i kąkole, ale ma przyjechać telewizja, więc chodzą słuchy, że trzeba będzie zrywać.

KATORŻNIK

Rys. Andrzej Adamowicz

W czynie:

Podczas czynu partyjnego, w atmosferze pracy, nie brakło też dowcipu. Łódzcy dziennikarze, pracujący w remontowanym Łódzkim Domu Kultury mogli się rozpoznać na rysunkach satyrycznych wykonanych (społecznie!) przez Ibisa-Gratkowskiego. „Ciężkie życie na szczycie" ma z pustakiem w ręku redaktor naczelny „Głosu Robotniczego" Jan Pakuła. Kudłaty człowiek z taczką, to (chyba) red. Lucjusz Włodkowski sekretarz POP w „Odgłosach".

Foto: R. Łucyszyn

Musztarda

Bohater opowiadania Jerzego Stawińskiego „Sprawa holenderska" pracuje w wydawnictwie. Właśnie ma zadecydować czy wydać książkę, której akcja dzieje się w fabryce czekolady gdyż w sklepach chwilowo brakuje czekolady. Na to dyrektor wydawnictwa:

— **Najbezpieczniej byłoby wydać powieść o fabryce musztardy, bo tej — jak dotąd — nigdy nie zabrakło.**

Tymczasem jak donosi „Życie Gospodarcze":

„W stołecznym mieście Warszawie pojawił się brak w dotychczasowych powojennych dziejach nie znany, mianowicie brak musztardy".

A wszystko przez ajentów, którzy pozakładali barki, bistra i inne budki z parówkami, hot dogami kiełbaskami i do wszystkiego pchają musztardę. W Łodzi natomiast musztardy nie brakuje, bo i u nas nie ma takiej ilości barków i innych małych lokalików, gdzie można byłoby zjeść szybko i smacznie.

Tym niemniej życie skorygowało literaturę.

S. M. AKOSZ

Remonty trwają u nas długo a już remonty sklepów, restauracji, kin i innych lokali publicznej użyteczności szczególnie długo. I nikogo to nie dziwi. Toteż kiedy jakiś długo remontowany lokal wraca do życia zostaje oddany do publicznego użytkowania donosi o tym prasa, radio i telewizja z wielką satysfakcją i radością. Tak właśnie doniesiono o przekazaniu konsumentom 21 września 1979 roku krakowskiego „Wierzynka".

Jubel to był wielki, choć wasz sprawozdawca na nim nie był, to i tak ślinka mu ciekła obficie na samą tylko myśl, jakie tam staropolskie specjały podawano. Może on wszakże zapewnić, że tym, którzy dawniej odwiedzali „Wierzynka" w czasie pobytu w Krakowie, wyda się on zupełnie innym lokalem.

Skąd wziąć halabardnika?

Przede wszystkim gości wita halabardnik w średniowiecznym — oczywiście — stroju. Po zostawieniu okryć w szatni czeka na klienta 14 sal restauracyjnych o powierzchni 670 m kwadratowych. Sale te zostały odrestaurowane i wyglądem swoim przypominają stare komnaty. Kuchnia w „Wierzynku" też ma być dobra i stara, zgodnie z tradycją tej restauracji.

Restauracji remontuje się wiele. Między innymi również łódzką „Europę". Remont potrwa pewnie długo, jak każe tradycja. Potencjalni klienci „Europy" mają wszakże nadzieję, że po otwarciu wyremontowanej „Europy", co też pewnie odbędzie się w pełnej gali, zerwie się jednak ze złą tradycją tej restauracji, w której była chyba najgorsza kuchnia w Łodzi. Halabardnika nie będzie, bo to nie ten styl. A szkoda! Przydałby się bowiem niektórym łódzkim restauracjom halabardnik, który stałby na straży dobrej kuchni. Tylko, skąd dziś wziąć halabardnika?

ZYG. ZYG.

Ludzie piszą listy

Ludzie piszą listy a poczta je rozwozi po kraju. Wysłanie listu jest sprawą indywidualną. Nikt nikogo nie zmusza do pisania. Po napisaniu listu, włożeniu go do koperty, zaadresowaniu — proszę nie zapominać o kodzie pocztowym! — nadawca udaje się osobiście na pocztę lub wrzuca list do najbliższej skrzynki pocztowej. Reszta należy już do poczty. Ale poczta wolałaby aby adresat sam przychodził do urzędu pocztowego i odbierał przesyłkę. Problem tylko w tym, jak zawiadomić adresata, że w takim to a takim urzędzie pocztowym czeka na niego ważny list?

Dla ułatwienia kontaktu poczty z adresatami przesyłek wymyślono skrzynki typu „Hermes". Tylko takich skrzynek nie ma. W Łodzi brakuje ich około 3 tysiące co w praktyce oznacza że około 45 tysięcy łodzian — przeważnie z nowych osiedli — musi szukać przesyłek do nich adresowanych na schodach, na parapetach okien w klatkach schodowych bądź w najlepszym razie u sąsiadów.

— Doręczanie wszelkiej korespondencji do każdego mieszkania oddzielnie jest niemożliwe ze względu na dużą ilość przesyłek — wyjaśnia poczta na pretensje swoich klientów.

Wniosek stąd prosty. Gdyby ludzie mniej pisali, mniej korzystali z usług poczty, to poczta pracowałaby lepiej. Ale ludzie nie chcą. Nadal piszą listy. I nadal je wysyłają. A poczta ma z tym kłopoty. Te kłopoty rozwiązałaby dostateczna ilość skrzynek typu „Hermes", ale ich brakuje. Koło jest zamknięte.

— Ludzie! — chciałoby się krzyknąć — nie piszcie listów. Mamy wiek XX. Lepiej telefonujcie do siebie.

Ba! Tylko, że nie ma telefonów. Telegrafowanie też nie rozwiązuje sprawy, bo telegram trzeba donieść do adresata i doręczyć mu osobiście. I to szybko. Więc najlepiej nie pisywać listów. Ale ludzie piszą listy.

Niestety.

I co teraz będzie? Co zrobi poczta?

A. D. RESAT

Z życia sfer

Przez 5 minut

Przez 5 minut spowiadał się na łamach „Expressu Ilustrowanego" **Krzysztof Krawczyk.** Przyznał się, że w Sopocie miał gorszy wynik, że Jan Wojewódka zaprosił go do USA, że w RFN występuje pod pseudonimem Krystof i zapowiedział **„zmianę swojego oblicza artystycznego (od uczesania do strojów)".**

Teraz z niecierpliwością oczekujemy na pojawienie się „nowego" Krzysztofa Krawczyka.

Z okazji pobytu

W Polsce bawił znany piłkarz **Kazimierz Deyna.** Na stadionie Legii w Warszawie rozegrano z tej okazji pożegnalny mecz Kazimierza Deyny, który przez pierwszą połowę grał w barwach Legii, a przez następną w barwach drużyny Manchester City. W obu połowach strzelił po bramce, co zresztą było z góry przewidziane.

Z okazji pobytu Kazimierz Deyna udzielił kilku wywiadów podkreślając niezmiennie, że jego marzenia się spełniły, a wola trenera jest święta. Dlatego bez sprzeciwu gra teraz w drugiej drużynie Manchester City albo siedzi na ławce rezerwowych. Poza tym wszystko jest okey.

Kazimierz Deyna w późnych godzinach nocnych zwołał też w zielonej sali hotelu „Victoria" spotkanie z dziennikarzami na które zresztą nie przyszedł — **Po prostu** — powiedział później dziennikarzowi „Sztandaru Młodych" przepraszając innych zawiedzionych dziennikarzy — **było sporo tzw. zajęć oficjalnych.**

A nam się wydaje, że trener po prostu nie pozwolił. Ot, co!

Najdroższy

W Polsce bawił też najdroższy piłkarz świata — **Steve Daley**, za którego Manchester City zapłaciło 1 470 tys. funtów. Zapytany przez dziennikarza czy najdroższy to jednocześnie znaczy najlepszy, odpowiedział bez fałszywego wstydu: — **Nie, ale chciałbym aby tak było.**

Tenże Steve Daley przy okazji dobrze wyraził się o Kazimierzu Deynie swoim koledze klubowym. Co prawda — zdaniem Steve Daley'a — Deyna gra „po europejsku", co w Anglii nie jest lubiane, a także „czasem przetrzymuje piłkę", ale w sumie to „bardzo dobry piłkarz". Steve Daley nie zdradził tajemnicy czy Kazimierz Deyna należy do grona najdroższych piłkarzy. Plotka głosiła, że raczej przeciwnie, ale kto dziś wierzy plotkom.

POŚWIĘCENIE

O języku sprawozdawców sportowych w polskiej telewizji wypisano już morze atramentu. Na komentarzach Jana Ciszewskiego dorobił się małego Fiata niejeden prześmiewca. Wygląda jednak na to że telewizyjną palmę pierwszeństwa w maltretowaniu ojczystego języka przejmie redaktor **Marek Madej**, który komentował pucharowy mecz Widzewa z francuskim zespołem „St. Etienne wygrał z Bayernem (!!!) Monachium" co dowodzi zwykłych. Tak np. rozkoszny sprawozdawca doniósł, że zawodnik Widzewa Marek Pięta **„był sam z pusta bramka"** W innym fragmencie komentarza redaktor Madej przypomniał że zespół „St. Etienne wygrał z Bayernem (!!!) Monachium", co dowodzi szczególnych umiejętności deklinacyjnych sprawozdawcy TV, który potrafi odmieniać nawet rzeczowniki nieodmienne. Inne rewelacje to wiadomość, że **„obrona Widzewa jest szczegółowo ustawiona"** co miało pewnie oznaczać dokładność jej ustawienia. Wg tego samego źródła **„Platini pilnowany był w skomplikowany sposób".** Były także próbki ekspresji. Tak np. miliony zdumionych telewidzów dowiedziały się, że jeden z zawodników Widzewa **„może poświęcić swój czas na odbieranie piłki"** przeciwnikowi. Jaka więc szkoda, że redaktor Madej nie może w wolnych chwilach poświęcić swego czasu na dokształcenie w języku ojczystym na którym w swoich sprawozdaniach popełnia niedopuszczalne faule. Chcielibyśmy widzieć pana Madeja sam na sam ze „Słownikiem poprawnej polszczyzny" Szobera.

K.F.